

LUPA POD LUPĄ, DOKTOR KLON, TARASEWICZ NA BRUK

PRZE

Numer 20/2969 19 maja 2002 r.

KRÓT

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

**NIE
SŁYSZĘ
TRÓJKI!**

**– tak Mann
z prezesem
Radia
rozmawiał**

ISSN 0033-2488



9 770033 248021

20

Indeks 371424 • Y-9013-C

DOM & WNETRZE

NR 8(81)/2002 CZERWIEC CENA 7,90 zł (w tym 7% VAT)

**SŁONECZNE WNĘTRZA
NOWOCZESNEGO DOMU**

tu liczy się pomysł
i szlachetny materiał

**WSZYSTKO NA
SVOIM MIEJSCU**

jak wyposażyć szafę
i urządzić garderobę
-porady projektanta

**WISZĄCE OGRODY
CZYLI WIOSNA
NA BALKONIE**

trzy praktyczne
rozwiązania

TEMAT NUMERU
**DOMY
LETNIE**

• na wiekiej łące
• blisko plaży
• w wiejskiej
chatupie

**5:20
100**
fotele
kanapy
krzesła
stoliki
stoły

WZORÓW MEBLI

PRZEGŁĄD OFERTY RYNKOWEJ

DODATEK SPECJALNY!

PODRĘCZNY KATALOG MEBLI.
BOGATA OFERTA RYNKOWA,
NAJCIĘKAWSZE WZORY,
MODNE PROPOZYCJE.

TEMAT NUMERU: DOMY LETNIE

DOM: Z HOLENDERSKIM AKCENTEM

INSPIRACJE: KOCHAMY KWIATKI

ARANŻACJE: AMBITNE PLECIONKI

NUMER 20/2969 • 19.05.2002



4 Ilustrowany „Przekrój” tygodnia

8 Wydarzenia: premiery
„Mistrza i Małgorzaty” KRYSIANA LUPY
i „Zmartwychwstania”
KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

10 Z tygodnia na tydzień DARIUSZ ROSIAK

11 Co Pani sądzi?

12 Betlejemskie wyjście fotoreportaż
16 Program Trzeci pogromem „Trójki”?

WOJCIECH MANN rozmawia z wiceprezesem
Polskiego Radia EUGENIUSZEM SMOLAREM

20 Doktor Klon OLGA WOŹNIAK

25 Krótka przerwa O marszczeniu nosków
BARTOMIEJ SIENKIEWICZ

26 Rosja na odwyku – z EWĄ WOYDYŁO,

psychologiem i terapeutą, rozmawia WOJCIECH MAZIARSKI

30 Ilustrowana biblia snobizmu

MARCEL ANDINO VELEZ

38 Dama i generałowie JAKUB MIELNIK

40 Mistrz, Lupa, guru MARYLA ZIELIŃSKA

46 Ulicznik AGNIESZKA RAYZACHER

50 Salon wytrzeźwień TADEUSZA NYCZKA

14 WOJCIECH MAŁAJKAT w rozmowie z MARIĄ CZUBASZEK

55 Polska Angola Rajd

56 Książki MAREK STASZYC Szczęście absolutne

58 Literatura

JAN KOTT Powiastki dla wnuczek

62 Bolesny żywot cyklistki OLGA WOŹNIAK

64 Kici Kici, JERZY BRALCZYK,

MAŁGORZATA BARANOWSKA, Obraz wyrażen,
Za 1000 złotych można...

66 Kulinarne PIÓRO Polski

67 HOFF

68 Piątka klepka, Senniczek,
Wyteż wzrok, STEFANIA GRODZIENSKA

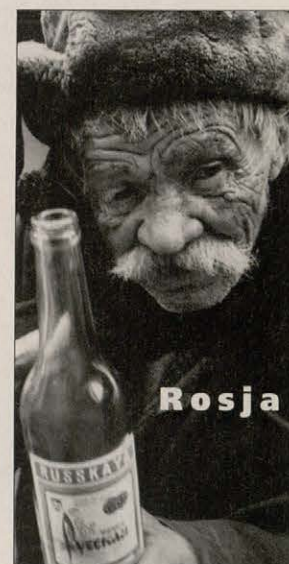
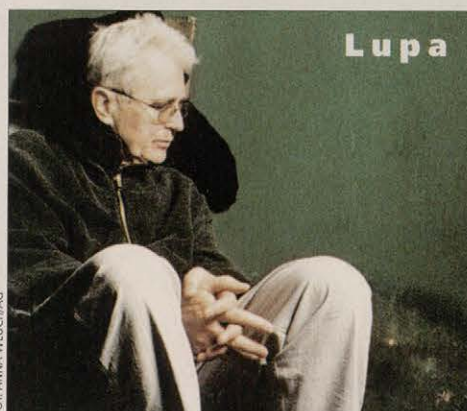
70 Listy, WILHELM SASNAL

72 Krzyżówka, zagadka i jolka

74 Co Pan na to, Panie LEM?

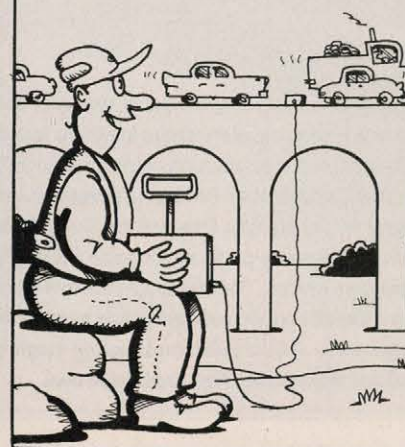
76 Rozmaiitości

„Wallpaper”



REDAKTOR WSZĘDOBYLSKI
ANDRZEJ MLECZKO

KĄŻDEMU REPORTEROWI POTRZEBNY
JEST W PRACY PRZYSTĘPIOWY
ŁUT SZCZĘŚCIA.



MUSI ZNALEŚĆ SIĘ TAM GDZIE
AKURAT MA MIEJSCE KATASTROFA
O KTÓREJ MOŻE POINFORMOWAĆ
ZŁAKNIONYCH SENSACJI OBYWATELI



.... ALE OCZYWIŚCIE CZASEM TRZEBA
POMÓC SVOJEMU SZCZĘŚCIU.





FOT. REMIGIUSZ SIKORA/PAP

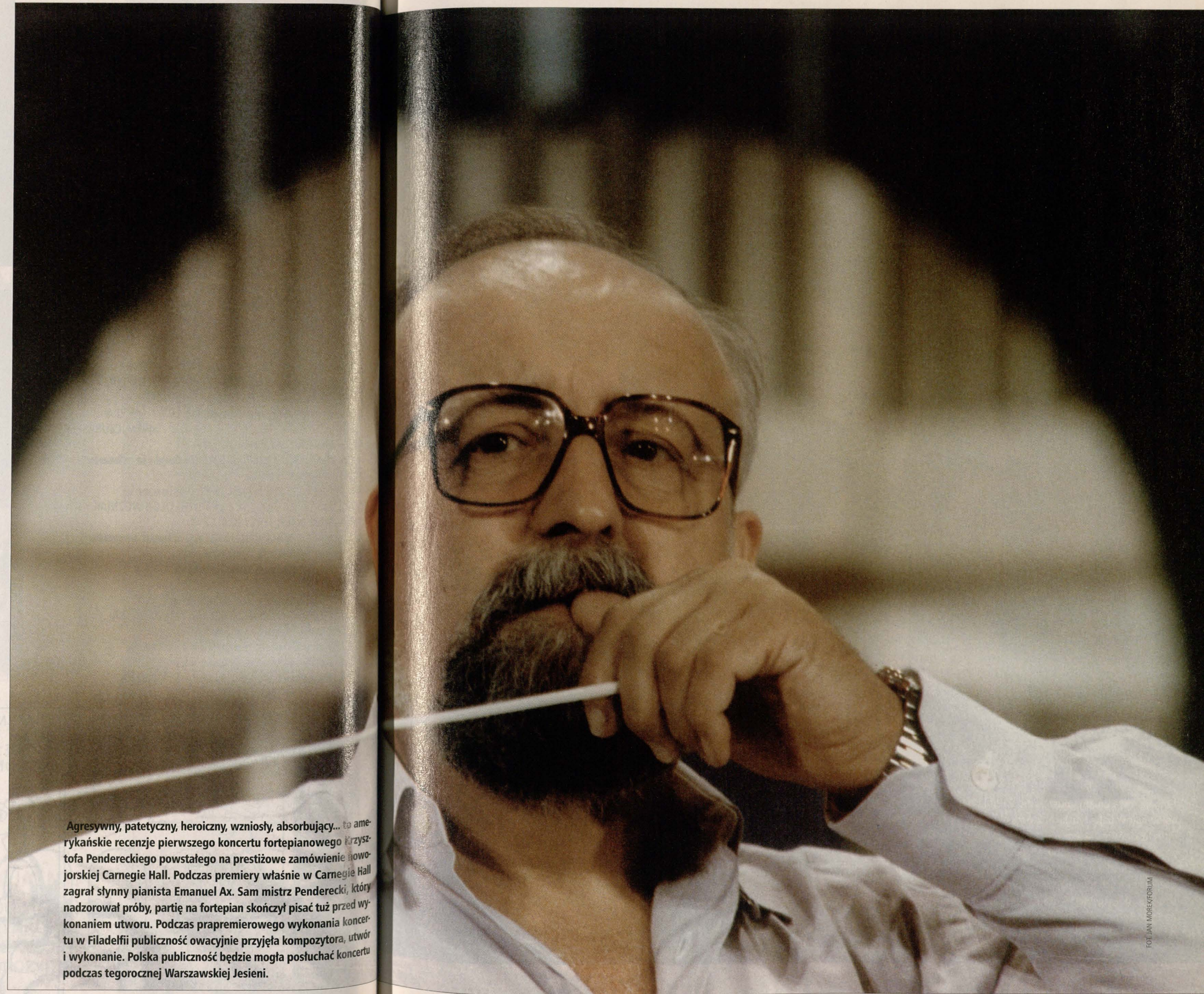
Oto pierwszy na świecie czarny tulipan szczepkowany (strzępiasty).
Wyhodował go Roman Szymański z Poznania.

ptaszek emeryta
(i rencisty)



czeczot PRZE
KROJ

Agresywny, patetyczny, heroiczny, wzniosły, absorbujący... to amerykańskie recenzje pierwszego koncertu fortepianowego Krzysztofa Pendereckiego powstałego na prestiżowe zamówienie nowojorskiej Carnegie Hall. Podczas premiery właśnie w Carnegie Hall zagrał słynny pianista Emanuel Ax. Sam mistrz Penderecki, który nadzorował próby, partię na fortepian skończył pisać tuż przed wykonaniem utworu. Podczas prapremierowego wykonania koncertu w Filadelfii publiczność owacyjnie przyjęła kompozytora, utwór i wykonanie. Polska publiczność będzie mogła posłuchać koncertu podczas tegorocznej Warszawskiej Jesieni.



FOT. JAN MOREVFORUM

12 maja, dwa dni po opuszczeniu Bazyliki Narodzenia Pańskiego przez bojowników palestyńskich, którzy okupowali to miejsce przez 39 dni, odbyło się w świątyni pierwsze nabożeństwo. Odprawił je grecki patriarcha Ereneos I. Nabożeństwo – jak poinformowała CIA – mogło dojść do skutku po usunięciu ze świątyni ładunków wybuchowych pozostawionych tam przez Palestyńczyków. Izrael już domaga się ekstradycji 13 z nich, wywiezionych początkowo na Cypr. Terrorysty – jak określają ich władze Izraela – na razie trafią do Hiszpanii, Włoch, Portugalii i Grecji. Patrz s. 12.

Nie gwiazdy, ale pasy będą nowymi symbolami Unii Europejskiej. Oto projekt nowej flagi zaprojektowanej przez holenderskiego artystę Rema Koolhaasa (po prawej). Wieloflagowa wariacja na temat kodu paskowego ma zastąpić dotychczasowe 12 gwiazd na niebieskim tle. Przeciwnicy nowego godła twierdzą, że przyjęcie następnych państw do Unii narazi obywateli całego świata na oczopląs.



FOT. ARCH. REMA KOOLHAASA (2)

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

...jak Urząd Ochrony Państwa na swoich stronach internetowych oficjalnie przyznał, że w roku 1990 zorganizował akcję wywiezienia z Iraku grupy amerykańskich oficerów wywiadu.

...o raporcie NIK, w którym stwierdzono, że zarząd Telewizji Polskiej wydał niezgodnie z prawem 48 milionów przez trzy miesiące roku 2001.

...o infekcji gardła Luciana Pavarottiego, która najprawdopodobniej była przyczyną niespodziewanego odwołania jego ubiegłotygodniowych występów w Metropolitan Opera w Nowym Jorku.

...o śmierci Diane Pretty, nieuleczalnie chorej 43-letniej Brytyjki, która nieskutecznie domagała się na drodze sądowej prawa do eutanazji.

...o tym, że w wieku 97 lat zmarł w Arizonie słynny boss mafii Cosa Nostra Joseph Bonnano, który był pierwowzorem tytułowego bohatera w „Ojcu chrzestnym” Francisca Forda Coppoli.



Zbigniew Kaleta (Mistrz)



FOT. TOMASZ ŻUREK (2)

Od prawej: Sandra Korzeniak (Małgorzata), Lidia Duda (Natasza), Jacek Romanowski (Azazello), na drugim planie Danuta Maksymowicz (Obywatelka Antonówna)

Siadaj i patrz

„Mistrza i Małgorzatę” Bułhakowa można przeczytać w osiem godzin. Na „Mistrza i Małgorzatę” Lupa również trzeba ośmiu godzin. Trzeba, nie trzeba – warto!

Żeby zobaczyć krakowskiego „Mistrza i Małgorzatę”, trzeba poświęcić dwa wieczory. Przez te dwa wieczory teatralni mieszkańcy Moskwy są zanurzeni w czymś ni to dawnym, ni współczesnym, kleistym, ulepionym z alkoholowej maligny, wyczekiwania, tęsknoty. Podglądają jak Małgorzata (Sandra Korzeniak) cudze sny; nie umieją jak Mistrz (Zbigniew Kaleta) rozgraniczyć jawy od rzeczywistości; wołają jak Piłat (Jan Frycz) żyć we własnych fantasmagoriach, gdzie są lepsi i odważniejsi.

Scena to biedny miejski placik. Zwiędły, rozkwita dopiero za sprawą siły nieczystej. Ale diabły pod wodzą Wolanda ingerują w niego jakby od niechcenia, umęczone jak objazdowi artyści. Oprócz chwil popisów, drak i gagów (Korowiów Piotra Skiby i Behemot Adama Nawojczyka bra-

wurowo rozgrywają wielką rewie) Lupa kazał im dręczyć ludzi i przeżywać kaca po każdej taniej sztuczce. Woland (Roman Gancarczyk) trwa w zapatrzeniu na ludzkie bydlęctwo i małość. Reżyser dopisuje bohaterom intencje, a nawet całe teksty i sytuacje.

Oglądając „Mistrza i Małgorzatę”, obcujemy niemal fizycznie z ponadroczną męką Lupa nad tym przedstawieniem. I po roku prób Lupa wchodzi w mrowisko zapisanych u Bułhakowa historii, ciesząc się samym faktem podróży przez tę gęstwę. Skryty w ostatnim rzędzie z mikrofonem przy twarzy reżyser jak zawsze dyryguje akcją sceniczną. Uruchamia światło i dźwięk, wygłasza fragmenty tekstu, gra na bębnie, wytrąca widza z komfortu pełnej iluzji. W scenie wizyty Korowiowa i Behemota w do-

mu nieudanych artystów Lupa po raz pierwszy wchodzi w spektakl. Wbiega na scenę z widowni jako gość restauracyjny, komplementuje portierkę, wypija setkę wódki.

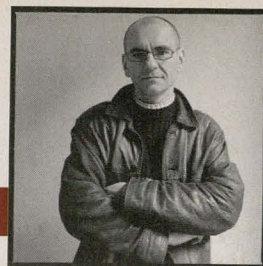
Robi jeszcze jedną woltę: obnaża przed widzami warsztat artysty. Każąc diabłom na oczach widowni wymyślić zakończenie spektaklu, reżyser pozwala zajrzeć w proces kreowania teatru z literatury. Widzimy cud transformacji, a zarazem samodemaskację teatralnej magii. Lupa odsuwa zasłonę, zdaje się wołać przez swoich aktorów: „Mój spektakl – jaka piękna katastrofa!”. Przyznaje się do porażki – niemożności przełożenia książki na poetykę swojego teatru w skali 1:1. To wielka sztuka: umieć opowiedzieć o swojej klęsce za pomocą doskonałego widowiska.

ŁUKASZ DREWNIAK

*Narodowy Stary Teatr w Krakowie,
„Mistrz i Małgorzata” według Michaiła Bułhakowa,
adaptacja, apokryfy, reżyseria i scenografia
Krystiana Lupa, muzyka Jacek Ostaszewski.
Premiera 9, 10 maja 2002 r.*

Jak patrzeć na Krystiana Lupa – mistrza i guru teatru? Przeczytaj wszystko do s. 40., a potem znajdziesz tekst Maryli Zielińskiej o Lupa.





FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

O LEPSZĄ PIŁKĘ

Za nieco ponad dwa tygodnie Polsce grozi największa fala nieuzasadnionych przerw w pracy od sierpnia 1980 roku. Moja teza jest mocna, ale mam podstawy do pesymizmu. Firma konsultingowa Hedron twierdzi, że w krajach europejskich, których reprezentacje zakwalifikowały się do finałów piłkarskich mistrzostw świata, ludzie na miesiąc przestaną pracować. Finały rozgrywane są w Korei i Japonii, a zatem mecze odbywać się będą rano lub wczesnym popołudniem czasu europejskiego. W samej Anglii straty wywołane lewymi zwolnieniami, pracą na kacu, przedłużanymi w nieskończoność przerwami obiadowymi i dyskusjami na temat futbolu, które – jak wiadomo – pochłaniają mnóstwo czasu i energii, mogą wynieść trzy miliardy funtów. Według Anglików ich gospodarcze grozi w czerwcu utrata pięciu milionów dni roboczych.

Tamtejsza minister przemysłu Patricia Hewitt pierwsza rzuciła ręcznik i zakazała urządzania ministerialnych narad w czasie meczów Anglii i Irlandii. Niektórzy pracodawcy odłączają telefony w swoich obiektach i zgadzają się na ruchomy czas pracy w najbardziej krytycznych dniach, na przykład w dniu meczu Anglia – Argentyna albo Niemcy – Irlandia.

Anglicy przewidują, że ich gospodarka może stracić ponad 400 milionów funtów za mecz, co będzie szczególnie dotkliwe,

jeśli ich drużyna wyjdzie z grupy. My możemy oczywiście założyć, że Polacy przegrają wszystkie mecze, a wówczas straty wynikłe z nieobecności albo pijaństwa w pracy będą znacznie niższe niż w Anglii. W obecnej sytuacji kraju byłby to postulat słuszny, a ewentualne porażki naszej drużyny należałoby odczytać jako wyraz troski o przyszłość ojczyzny oraz zaufania do nowego rządu, który robi, co może, żeby wyprowadzić kraj z bagna. Piłkarz-patriota nie powinien bowiem myśleć egoistycznie wyłącznie o własnym odcinku pracy, ale posiadać szerokie spojrzenie na całokształt.

Na szczęście nasi piłkarze, w przeciwieństwie do Anglików, Brazylijczyków, Włochów i Niemców, już teraz dają wyraz trosce o Polskę. Kilku z nich zaatakowało w ubiegłym tygodniu trenera Engela za to, że nie powołał do kadry ich kolegi Tomasza Iwana. Najbardziej cierpi nasz czarnoskóry as atutowy Emanuel Olisadebe, który zapowiedział wręcz, że będzie się domagał od trenera wyjaśnień.

Zapewne Jerzy Engel jako niespotykane rozsądny człowiek wyjaśni Oliemu swoje motywy, tak jak wyjaśniał przez ostatnie kilka dni prasie, a prasa kibicom. W ten sposób już teraz wszyscy możemy wziąć udział w narodowych rekolekcjach przed mundialem. Piłkarze, zamiast grać, dyskutują i krytykują trenera, wiceprezes związku Boniek krytykuje piłkarzy, a trener Engel

jeździ po Polsce, opowiadając o piłce i promując w supermarketach wydaną niedawno książkę. Może to i dobra taktyka na mistrzostwa. W końcu następne takie pięć minut może się nieprędko powtórzyć.

Moja złośliwość okaże się nie na miejscu, jeśli – co daj Boże! – Polacy, jak choćby przed 20 laty, zadziwią cały świat. Ale gdyby jednak nie zadziwili, to niech chociaż z tej gadaniny wyniknie coś pożytecznego. Może na przykład niech wzorem kolegów miernot-dziennikarzy nasze miernoty-piłkarze opracują projekt ustawy o zawodzie futbolisty. Autorzy projektu opublikowanego przed kilkoma dniami przez Stowarzyszenie Dziennikarzy RP domagają się nienagannej postawy etycznej dziennikarzy, obowiązkowej przynależności do samorządu dziennikarskiego, posłuszeństwa właścicieli mediów wobec pracowników i zatrudniania wyłącznie osób wskazanych przez samorząd. Z tymi kontrowersyjnymi – jak przyznaje główny autor projektu – propozycjami nie zgadza się wspomniany główny autor, co nie znaczy, że nie mają one szans w Sejmie.

Oczami wyobraźni widzę kilka punktów ustawy o zawodzie piłkarza: piłkarz decyduje o wyborze trenera, piłkarz pracuje do pierwszych objawów zmęczenia, za porażkę odpowiadają podatnicy. Wszyscy obywatele mają obowiązek oglądać mecze piłkarskie, szczególnie te rozgrywane w godzinach pracy. ■

TEMAT SAMOGRAJ

W ubiegłym tygodniu największe zainteresowanie światowych mediów wzbudziły następujące wydarzenia: zamordowanie szefa populistycznej partii w Holandii przez obrońcę środowiska naturalnego, spuszczenie bomby na kościół w Kolumbii przez lewicowych terrorystów, w wyniku czego zginęło 117 osób, starcia w Nepalu – 350 zabitych, 112 ofiar wypadku samolotowego w Chinach, zamach w Dagestanie – 36 zabitych, 15 osób zabitych w zamachu przed hotelem w Karaczi, 17 śmiertelnych ofiar samobójczego zamachu bombowego w Izraelu. Z punktu widzenia mediów to był niezły tydzień. Zapowiadało się, że po triumfie kartezyjańskiego rozsądku (który jest nudny) we Francji, nic wielkiego się nie wydarzy, a tu całkiem niezły „osiąg” jak na koniec wiosny.

Nie wiem, z czego wynika przekonanie, że najlepiej sprzedaje się śmierć, ale wiem, że jest ono słuszne. Pewnie chodzi o to, że śmierć jest łatwa zarówno dla dziennikarzy, jak i widzów czy czytelników. Najlepiej niech będzie nagła, niezrozumiała, paradoksalna. Wtedy można snuć refleksje, łączyć wątki i tworzyć konteksty, co w sposób nieoceniony rozbudowuje czas antenowy i rozpycha strony w gazecie. Media żyją od jednej katastrofy do drugiej i najbardziej dziennikarza jest przedłużający się brak ofiar. Na korytarzach redakcji zaczyna panować rozprężenie, ludzie nerwowo szukają tematów, niektórzy wracają do palenia rzuconego przed laty, a najbardziej zdesperowani chcą zmieniać pracę. Gdy nie ma śmierci, to – jak to się mówi – „nic się nie dzieje”. A jak nic się nie dzieje, to dziennikarstwo ginie. Dzięki śmierci ożywa. ■

Wyznanie może być oczyszczające

W ubiegłym tygodniu opublikowaliśmy dramatyczne wyznanie Andrzeja Saramonowicza, który opisał wspomnienie z dzieciństwa, kiedy to padł ofiarą księdza-pedofila. Zofia Milska-Wrzośńska, psycholog i psychoterapeutka z Laboratorium Psychoedukacji w Warszawie, mówi o skutkach, jakie tego typu przeżycie pozostawia u dorosłych ludzi

ZOFIA MILSKA-WRZOŚŃSKA



FOT. JERZY GUMOWSKI/AG

Ujawnienie, że w dzieciństwie człowiek padł ofiarą molestowania seksualnego, może być oczyszczające. Dlaczego? Bo milczenie często wiąże się z poczuciem winy i odpowiedzialności za to, co się działo. Powrót do zdarzeń z dzieciństwa i powiedzenie o nich na głos oznacza: to ja byłam/byłem ofiarą, to nie ja powinienem się wstydić. To jak przerwanie zamkniętego kręgu. Mówienie ma jednak w moim przekonaniu sens, wtedy gdy sprawca jest wciąż obecny w życiu ofiary, domaga się od niej szacunku lub bliskich relacji. Natomiast nie zawsze jest oczywisty sens robienia z tego sprawy publicznej, jeśli sprawca molestowania nie żyje lub jest nieobecny w życiu tej osoby. Psychologiczny koszt odsłonięcia swoich intymnych przeżyć może być bardzo wysoki. Czasami warto rozważyć, czy nie wystarczy powiedzieć o tym komuś z bliskich – rodzinie, przyjacielom, partnerowi, terapeutce. Gronu, przy którym nie ma poczucia, że narusza się swoją intymność. Nie ma na to recepty, bo to zjawisko i jego konsekwencje są bardzo zróżnicowane.

O molestowaniu seksualnym w dzieciństwie w jakimś sensie można zapomnieć – jeśli wydarzyło się bardzo wcześnie, w wieku dwóch, trzech lat. Trudno wówczas przywołać w pamięci świadomy, ujęty w słowa, opis wydarzenia. Istnieje jednak jego pamięć na poziomie emocjonalnym i cielesnym, a ona nie znika. Ludzie, którzy padli ofiarą molestowania w nieco starszym wieku – na przykład jako dzieci sześciolatnie – mogą tłumić bolesne przeżycia sprzed lat, nie wracać do nich, ale nie mogą o nich zapomnieć. To wspomnienie, być może trochę

zdeformowane, będzie zawsze tkwiło w dorosłym człowieku.

Każde zetknięcie dziecka z dorosłą seksualnością pozostawia uraz. Ale siła tego urazu zależy od rozmaitych okoliczności, na przykład od wieku, częstotliwości relacji i tego, na ile sprawca nadużycia jest dla ofiary postacią ważną i bliską. Zazwyczaj takie osoby mają pewien instynkt i wybierają dzieci, które sprawiają wrażenie bardziej przestraszonych, bezbronnych, samotnych. Zaczynają od relacji przyjacielskiej i gdy stają się kimś bardzo ważnym dla dziecka, gdy zastępują mu rodzica, wtedy trudniej odmówić. To dlatego tak wiele nadużyć dokonywanych jest przez trenerów sportowych, drużynowych harcerskich, nauczycieli, księży.

Skutki tych nadużyć u dorosłego to przede wszystkim wszelkiego rodzaju zaburzenia w życiu seksualnym. Zdarza się, że molestowani w dzieciństwie traktują swoje ciało przedmiotowo. Mają skłonności do częstego wchodzenia w przypadkowe i nadużywające kontakty seksualne. Tak jakby oddawali się od swojego ciała. Wynika to z tego, że przy aktach nadużycia dziecko zamyka się, sztywnieje wewnątrz i przestaje czuć. I jako dorosły człowiek też – wchodząc w niebezpieczne kontakty seksualne – nie czuje tego, co robi. Równie dobrze może się jednak zdarzyć, że dorośli w ogóle nie są w stanie nawiązać kontaktu seksualnego, bo wiąże się on dla nich z grozą i przerażeniem. Zaburzenia mogą dotyczyć nie tylko seksu, lecz także bliskich relacji – bycia z kimś razem w poczuciu, że nie skrzywdzi i że można mu zaufać. A ponieważ to zaufanie zostało kiedyś zdradzone, dziecko wchodzi w dorosły

świat z mniej lub bardziej świadomym ockiwaniem, że taka sytuacja będzie się powtarzała. I dlatego na wszelki wypadek nie dopuszcza do bliskości.

Często się zdarza, że dorośli, którzy w dzieciństwie byli przedmiotem nadużyć, mają skłonności do zachowań autodestrukcyjnych. Podejmują próby samobójcze, okaleczają się, używają narkotyków. W ogóle mają trudności z funkcjonowaniem w kontaktach społecznych. Bo chociaż rzecz dotyczyła bezpośrednio dziecięcej seksualności, to chodziło też o ważną relację z kimś bliskim, autorytetem. Ta relacja została zdeformowana. Ślady – mniej lub bardziej dramatyczne – pozostają więc na zawsze.

Dziś, gdy seksualność przestała być sferą, o której publicznie się nie mówi, częściej przyznajemy się do krzywd doznanych w dzieciństwie. To nie znaczy, że nadużyć seksualnych jest więcej. Myślę, że jest ich mniej i teraz budzą grozę, a kilkaset lat temu nie budziły. Były epoki i kultury, w których dziecku nie przysługiwały ludzkie prawa, było własnością rodziców. Mogło więc być używane jako swego rodzaju „przyrząd seksualny”. ■

W piątek 10 maja
Bazylikę Narodzenia Pańskiego
opuścili Palestyńczycy,
którzy wdarli się do niej na początku kwietnia.
Jedno z najświętszych miejsc chrześcijan
znów jest dostępne dla pielgrzymów

Gdy 2 kwietnia, po błyskawicznym ataku izraelskich czołgów na pozycje palestyńskie w Betlejem, 170 bojowników i cywilów schroniło się w Bazylice Narodzenia Pańskiego, trudno było przypuszczać, że okupacja świątyni potrwa aż 39 dni. Wszyscy mieli kłopot z nazwaniem sytuacji. Na początku dziennikarze używali słów „wymuszony pobyt” bądź „obecność” palestyńskich bojowników (bo słowo „terroryści” nie padło). Z wnętrza Bazyliki przez uchylone drzwi od czasu do czasu padały strzały. Wówczas pojawiło się słowo „okupacja”. Wprawdzie termin ten nie wyparł „oblężenia”, ale odtąd już wymiennie używano tych określeń.

W ciągu tych 39 dni czterech Palestyńczyków zostało zabitych, a trzech rannych, kilku wycieńczonych cywilów trafiło do szpitala.

Trudno jednak nazwać sukcesem to, że wymknęło się 13 bojowników z listy najbardziej poszukiwanych przez Izrael terrorystów. Ostatecznie strony uznały bowiem, że „parszywa trzynastka” – jak izraelska prasa określiła tych bojowników – wyemigruje przez Cypr do Europy. 26 pozostałych sądzonych będzie przez sądy palestyńskie. 85 cywilów zostanie zwolnionych, a 10 pacyfistów, którzy na znak solidarności z Palestyńczykami przebywali razem z nimi w świątyni, będzie wydalonych z kraju. (MW)

Betlejemskie wyjście



FOT. REUTERS/FORUM(3)

Z lewej: Zmęczony mnich przed drzwiami kościoła. 30 kwietnia
W środku Palestyńczycy. 30 kwietnia
Powyżej: Dwóch franciszkanów i Palestyńczyk uzgadniają z żołnierzami izraelskimi warunki wyniesienia rannego bojownika. 27 kwietnia
Po prawej: Ostatnia grupa Palestyńczyków przechodzi przez bramkę wykrywacza metali i opuszcza teren Bazyliki. 10 maja



Program Trzeci pogromem „Trójki”?

Codziennie rodzi się nowy słuchacz. Ale nie codziennie umiera stary...

WOJCIECH MANN ROZMAWIA Z WICEPREZESEM POLSKIEGO RADIA EUGENIUSZEM SMOLAREM

WOJCIECH MANN: Sprawdzam, czy Pan Prezes ma broń i ocieka krwią, ale wygląda, że się Pan przygotował i żadnych śmiercionośnych narzędzi nie widzę. Jednak dla zupełnego oczyszczenia przedpola zadam parę pytań, może głupich, ale potrzebnych. Czy jednym z Pana marzeń jest zostać dyrektorem Trzeciego Programu Polskiego Radia?

EUGENIUSZ SMOLAR: Zarządzanie którymkolwiek z programów Polskiego Radia byłoby ukoronowaniem kariery każdego profesjonalnego dziennikarza, ale uspokajam, że Program Trzeci ma sprawna dyрекcję, której zarząd radia nie zamierza zmieniać.

Czy w takim razie istnieje jakiś tajemny plan doprowadzenia „Trójki” do tak beznadziejnego poziomu, żeby nikt się

już nią nie zajmował i dało się ją sprywatyzować za dwa złote?

– Absurd. Te szeptanki istnieją w dwóch wersjach. Jedna: należy doprowadzić „Trójkę” do upadku i tanio sprzedać, druga: podnieść jej słuchalność i sprzedać drogo. Z każdym z tych wątków korytarzowa plotka wiąże moją skromną osobę. Ci, co tak mówią, nie wiedzą chyba, że żeby pozbyć się najmniejszej części majątku Polskiego Radia, należałoby przejść niesłychanie żmudny proces, uzyskać zgodę ministra skarbu, KRRiTV, zmienić ustawę. Ustawowo Polskie Radio ma nadawać cztery programy ogólnopolskie, i nie mniej.

Moje pytanie sprzed trzech lat, czy w programie „Trójki” można coś zrobić lepiej, było traktowane

jako zamach na świętość. Żaden program radiowy czy telewizyjny nie jest kaplicą narodową. To są media, które powinny elastycznie reagować na potrzeby odbiorców, być coraz skuteczniejsze i lepsze. W „Trójce” od dawna w prywatnych rozmowach dziennikarze mówili, że niektóre audycje są od lat okupowane przez pewne osoby, chociaż są kompletnie nietrafione, ale na zewnątrz traktowano je jako świętości, przed którymi należy padać na kolana. Ja przyjęcia pozycji „na kolanach” odmawiam.

Tu się zgadzam, bo inaczej nie moglibyśmy nawet strażnika zmienić...

– Likwidacji funkcji strażnika przemysłowego też ustawa nam zabrania.

Ala już przynajmniej nie są uzbrojeni.

– Są! W pistolety!

Kiedyś mieli takie duże, widoczne karabiny, jednemu nawet kiedyś schowaliśmy taki karabin... Panie Prezesie, ruchy i manipulacje wokół „Trójki” wywołały – ku mojemu zdziwieniu i nawet radości – ogromny rezonans. Oto społeczeństwo, które podobno jest zmęczone i zniechęcone, nagle ożywa i oświadcza, że nie chce, by mu zabierać to, co kiedyś ta „Trójka” mu dała. Nie chodzi o to, by zachowywać w nienaruszonym stanie kaplicę zdrewniałą i zmuszałą. Zdaniem protestujących zostały podkopane fundamenty tej kaplicy. „Trójka” była przez lata źródłem niezwyczajnej oferty estetycznej, kulturowej, muzycznej. A dziś, jadąc na tę rozmowę, przez 40 minut musiałem wysłuchiwać jakiejś potwornie letniej zupy dla

potwornie nudnego słuchacza, który potrzebuje brzęczenia na poziomie owada.

– Uważnie wsłuchuję się w głosy protestujących. Ale przecież elementy tradycyjnej „Trójki” były likwidowane od dawna przez poprzednie dyrekcje, począwszy od Pawła Zegarłowicza czy Grzegorza Miecugowa, niektórych autorów audycji muzycznych zmarginalizował Piotr Kaczkowski, a przywrócił Michał Olszański. To wszystko, co pamiętamy jako esencję „Trójki”, to znaczy tworzenie mód do rzeczywistości, nawet do polityki (w warunkach cenzury), to był ewenement w polskiej radiofonii: była świetna publicystyka, porywające dyskusje. Wolność sprawiła, że mamy inne stacje, tam też są dysku-

sje. Związana z „Trójką” przez lata Monika Olejnik odeszła do konkurencji, gdzie jej rozmowy mają wysoką słuchalność. Podobne rozmowy prowadzi w „Trójce” przybyły z konkurencji Krzysztof Skowroński – ale nie mamy już monopolu. Muszę zwrócić uwagę na jedno: jeśli „Trójka” osiągała w ostatnich latach przyzwoitą słuchalność około 8.15 rano, to był jej pułap na cały dzień, podczas gdy w konkurencji słuchalność rosła przez kilka kolejnych godzin. W radiu istnieje zasada: gdy się słuchacza złapie rano, to można go utrzymać i w ciągu dnia, czasem też złowić następnych. Dlaczego tak się nie działo w „Trójce”? To ważne pytanie – albowiem oferta dzienna nie odpowiadała oczekiwaniom słuchaczy.

W swoim już dość długim życiu studiowałem socjologię i czuję potęgę wykresów. Czy „Trójka” ma się ścigać ze stacjami komercyjnymi?

– Mieliliśmy w radiu dwie niezależne grupy doradcze, jedną z Kanady, drugą z Polski. Obydwie badały „Trójkę” i obydwie doszły do identycznego, poruszającego wniosku: jeśli stacja o zasięgu ogólnokrajowym w ciągu kilku lat spada do słuchalności pięcioprocentowej, to stoi w obliczu ogromnego zagrożenia. Jaki odpowiedzialny, zarządzający radiem człowiek może pozostać nieczuły na taką wieść?

Wielu protestujących w obronie starej „Trójki” to przedstawiciele inteligencji po czterdziestce, którzy wychowali się na „Trójce”. Dlatego zmiany budzą takie emocje.

EUGENIUSZ SMOLAR

– wiceprezes zarządu Polskiego Radia do spraw programowych. Przez wiele lat kierował polską sekcją Radia BBC. Po powrocie w latach 90. do Polski rozważał swoją kandydaturę na stanowisko prezesa zarządu TVP. W roku 1997 powołał do życia prywatną rozgłośnię Inforadio (późniejsze Radio Tok FM), pierwszą polską stację koncentrującą się na słowie mówionym, a nie na ofercie muzycznej. Od roku 1998 jest wiceprezesem PR. Szyscha.



WOJCIECH MANN

– instytucja. Manniak, radiomann, niby anglista, a w rzeczywistości znakomity dziennikarz muzyczny i nie tylko. Zna nieprzypadkowo ilości piosenek i utworów. Zarówno w radiu („Trójka” oraz przez jakiś czas założone przezeń Radio Kolor), jak i w telewizji przygotowywał, prowadził i prowadzi znakomite programy, m.in. „Nie tylko dla orłów”, „Non Stop Kolor”, „Mdm”. W latach 80. był redaktorem naczelnym miesięcznika „Non Stop” jeszcze przed przejściem tego piśma na kolor. A więc człowiek nie tylko koloru, ale i czerni, i bieli.



FOT. PIOTR GRZEBOWSKI/EXPER EXPRESS, PRZEMYSŁAW POKRYCKI/REPORTER (2)

Manifestacja obrońców starej ramówki „Trójki”

Ciężko rozmawiać z takim prezesem, bo Pan jest nie do końca materialny. Pan na wszystko ma odpowiedź.

– Jestem z krwi i kości, ale i z wielkiej pasji – ja tym żyję.

Przez lata „Trójka” była jedyną stacją ośmielającą się pokazywać coś innego niż tylko kalkę muzyczną z Anglii i Stanów. Dziś wydaje się posłuszna temu, co pięć wielkich koncernów promuje na całym świecie.

– Trzy lata temu okazało się, że muzykę dla najważniejszego pasma – porannego wydania „Zapraszamy do „Trójki” – przygotowywało dwóch współpracowników. Nie było przez lata zebrań redakcji muzycznej, nie było prześlanyj oferty próbującej połączyć to, co popularne, z tym, co oryginalne, bardziej wyszukane. Apelowaliśmy przez dwa lata: niech ktoś to wymyśli, niech „Trójka” się odnajdzie w nowej rzeczywistości! Nie było woli, panował samozachwyt... A słuchacze uciekali do konkurencji.

Są sposoby, by znaleźć zdolnych. Ja sam pierwsze niezdarne kroki stawiałem w Rozgłośni Harcerskiej, stamtąd ludzie „Trójki” mnie i wielu innych wyłowili, zrobili próby. Jak się ktoś sprawdził, to ostatecznie trafiał na antenę. Podobną wyłęgarnią stała się później Radiostacja. Trzeba szukać ludzi młodych i kierowanych autentyczną potrzebą, a nie uciekać się do zużytych prezenterów, którzy zęby zjedli na zapowiadaniu średnich piosenek.

– Zgadzam się z tym entuzjastycznie. Za muzykę w „Trójce” odpowiada dyrekcja, Marek Niedźwiecki i Paweł Kostrzewa. I oni już wypracowali sposób na likwidację przypadkowości w doborze materiału muzycznego. Zadajemy sobie pytanie: dlaczego w ciągu dnia słuchalność „Trójki” nie rośnie? Nie w Warszawie, ale w Polsce – pamiętajmy, że 20 procent słuchaczy „Trójki” to mieszkańcy wsi i małych miasteczek, czyli ta tradycyjna inteligencja trójkowa rozlokowana jest też poza wielkimi miastami.

To fantastycznie.

– Otóż ludzie w ciągu dnia są zajęci: praca, opieka nad dziećmi, jeżdżą samochodami... To nie jest pora na skupione słuchanie radia.

Nawet w biurach radia słucha po kilka osób w pomieszczeniu. I tych kilka osób musi się zgodzić na jedną stację. Nie była to „Trójka”, albowiem w takiej sytuacji słuchamy najchętniej radia, które nas emocjonalnie nie angażuje. Czyli „Trójka” musi wypracować taką ofertę muzyczną, informacyjną i publicystyczną, która będzie skuteczna w tych warunkach. Żadnych nudziarstw czy długich dyskusji: poważne tematy można poruszać na antenie krótko i atrakcyjnie. Dlatego na przykład dyrekcja przeniosła „Puls Trójki” na popołudnie.

Dlaczego jednak w najlepszym czasie radiowym, czyli między dziewiątą a czwartą po południu, rezygnujemy z minimalnego wysiłku? Dlaczego nie proponować słuchaczom czegoś, co choćby troszkę wyniosłoby ich ponad obowiązującą papkę?

– Ależ – znajdzie pan niemało różnorodnych materiałów z udziałem żywych, pasjonujących ludzi. Stąd pomysł na „Historię jednej piosenki”, gdzie pan, Panie Wojtku, z Markiem Niedźwieckim cudownie opowiadacie w kilka minut o jakimś fascynującym przeżyciu muzycznym. Więcej tego!

Wie Pan, dlaczego zauważył Pan nasze rozmowy o piosenkach? Bo my mamy stosunek do tego. My się przygotowujemy pieczołowicie, jakby to był egzamin do radia. A to tylko trzy minuty...

– Świetnie! Podobnie działa w południe Kuba Strzyczkowski, który ma kolosalną zdolność aktywizowania słuchaczy. On ma nam zbudować napięcie wokół spraw, które poruszają słuchaczy, zachęcić ich, żeby dzielili się tym, co uważają w życiu codziennym

„TRÓJKA” – czyli Program III Polskiego Radia – istnieje już 40 lat. Była pierwszym programem radiowym w Polsce nadawanym w całości na UKF. Początkowo można jej było słuchać tylko trzy godziny dziennie, od roku 1995 jest programem całodobowym. Dla polskiej inteligencji stała się synonimem wysokiego poziomu i wszechstronnej oferty, i to nawet w czasach PRL-owskiej cenzury. Reportaż, publicystyka, wspaniałe audycje muzyczne (od opery po rocka), programy literackie, teatrzyk „Zielone Oko” czy znakomite propozycje rozrywkowe („Ilustrowany Tygodnik Rozrywkowy”, „60 minut na godzinę”) przeszły do legendy. Legendy, która – jak widać z emocji towarzyszących obecnym zmianom w „Trójce” – nie zamierza odejść do lamusa.



za absurd, mówili o rzeczach, do których mają osobisty stosunek.

Kuba to też stare narzędzie. A nowe?

– Jest wielu świetnych ludzi w „Trójce” – a jeśli nie ma, to trzeba ich szukać! Teraz jest czas na to, żeby posprawdzać każdego. Nauczyłem się, że czasem trzeba podejmować decyzje nawet wbrew wszystkim, wbrew sentymentom. Znamy wszyscy zjawisko „efektu pilota”. Kiedyś było tak, że jeśli coś w telewizji nie przykuwało naszej uwagi na dłużej, zmieniano się pilotem kanał. Teraz jest tak, że zmieniamy kanał, jeśli nas coś natychmiast nie

zachwyci! To jest znacznie groźniejsze. Temu radio publiczne się nie przeciwstawi. Radio publiczne może równoważyć zadania wynikające z misji, a więc dostarczanie informacji, publicystyki, reportażu, różnorodnej muzyki – z nowoczesnym sposobem przekazu, który wynika z konkurencji na rynku. Teraz, jeśli coś się nagle wydarzy na świecie czy w Polsce, to słuchacz natychmiast się o tym dowie, antena jest otwarta dla gorących newsów. Tego przedtem w „Trójce” w takim stopniu nie było! Ale ogólnie słuchacz, gdy jest zajęty, nie chce być zaledwie angażowany przez radio.

Pan nie docenia słuchacza. On może być zapracowany, ale niech no usłyszy, że coś się dzieje, to nadstawi ucha. Choćby inny dżingiel, a nie te żałosne chórki, które już wszyscy przećwiczyli nawet w Albanii, a „Trójka” grzeecznie na szarym końcu też się na nie decyduje. Zmieniacie, ale pamiętajcie o kapitale „Trójki”. Dla niektórych Piotr Kaczkowski jest bogiem – to go zostawić! Odczyścić, odremontować „trójkową” kaplicę, ale nie burzyć jej. Wykorzystać ogromną wiedzę i pasję Grzegorza Wasowskiego. I szukać młodych, ale też pełnych pasji, a nie jakieś kobitki mdławie,

Smolar: „Apelowałem przez dwa lata: niech »Trójka« się odnajdzie w nowej rzeczywistości! Nie było woli, panował samozachwyt”

które mówią nic i o niczym, proponują jakieś konkursy nie na poziomie...

– Poprzednie dyrekcje już zdawały sobie sprawę, że „Trójka” idzie w złym kierunku, petryfikuje stare formy radiowe, które były skuteczne jeszcze w latach 80., ale dekadę później okazały się przestarzałe. Gdyby „Trójka” zmodernizowała na początku lat 90. swoją komunikację ze słuchaczem – zmodernizowała, nie skomercjalizowała! – to RMF i „Zetka” nie osiągnęłyby swoich wyników. Ja chciałbym zobaczyć połączenie tego, co cenne z przeszłości, z tym, co skuteczne dla przyszłości. Czyli odmłodzić to radio. Pytałem wielokrotnie w „Trójce”: jak chcecie to zrobić, jakie macie nowe pomysły? I nie dostawałem odpowiedzi. Co „Trójka” może zachować z przeszłości? Nimb, poczucie wyjątkowości, różnorodną ofertę muzyczną, przykuwające uwagę słowo. Ale niech to przekuje na współczesny język radiowy.

Skuteczność radia mierzy się słuchalnością. „Trójka” ma nadreprezentację inteligencji wśród swoich słuchaczy. Chcemy to utrzymać, chcemy, żeby „Trójka” była radiem młodej inteligencji, wspierającym środowiska profesjonalistów w ich wyborach co do aspiracji zawodowych, stylu życia czy rozrywki. A gdzie jest ta nowa rozrywka? Ile lat można kłęczeć przed znakomitym Andrzejem Waligórskim i jego osiągnięciami? Rozrywka w Polsce przestawiła się na telewizyjny sposób komunikowania, na tam obowiązujące grepsy. Szefowie „Trójki” chcą szukać młodych po ośrodkach studenckich, mają znaleźć nowe siły vitalne kabaretu. Niech się coś ruszy i w tej kaplicy.

Ja marzę o tym, żeby się w samochodzie zdenerwować, słysząc, jak jakiś młody prowadzi audycję, a prowadzi ją tak, że mi się tylek pali! Niech mnie zaskoczy ktoś niekonwencjonalnym sposobem podawania godziny, innym porządkiem

serwisu informacyjnego... Dlaczego zaczynać wszystkie serwisy od liczby ofiar, skoro raz można zacząć od tego, że świnia przegoniła autobus 115? Jeżeli samo radio nie potrafi wykonać takich ruchów, to kto ma to zrobić?

– I znowu się z panem zgadzam: takie działania należą bezpośrednio do dyrekcji programu. Moim zadaniem jest inspirować ich do myślenia, podejmowania działań, przedstawiać wyniki badań ilościowych i jakościowych.

Jeden wykładowca na socjologii powiedział nam kiedyś, że istnienie socjologii dowiodło konieczności istnienia socjologii...

– Ale my, badając nowe audycje, posługujemy się nie statystyką, tylko grupami focusowymi, czyli badamy je na publiczności docelowej. I zdarza się, że jakiś program podobną się wyłącznie kobietom. Wiemy wtedy, że nie możemy robić czegoś, co z natury rzeczy eliminuje mężczyzn, chyba że podejmiemy taką świadomą decyzję. Wyniki badań traktuję nie jak biblię, ale jako sugie-

stie: zastanówcie się. Poza tym musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego mamy pięcioprocentową słuchalność, dysponując nadreprezentacją inteligencji, skoro „Zetka” ma 20 procent i też dociera skutecznie do inteligencji? Słuchacze „Zetki” czy RMF są potencjalnymi słuchaczami „Trójki”? Ja bym chciał, żeby to było radio swojego pokolenia, jak kiedyś, żeby wyznaczało trendy, także muzyczne.

Ale na razie idzie w odwrotnym kierunku.

– Chwileczkę, nowa ramówka istnieje dopiero dwa tygodnie! Najpierw „Trójka” musi się ustabilizować, również kadrowo, a potem będzie udoskonalać swoją ofertę.

Słuchacz zapewne najbardziej chce poczucia humoru u pogodnych prowadzących. A Pan tu nie ma ani jednego prowadzącego z poczuciem humoru!

– To żarty – Baron bez poczucia humoru??? Dajcie nam czas. Może to wszystko stało się zbyt szybko,

może za szybko przeniesiono słuchaczy „Trójki” w nową rzeczywistość, w świat nowych dżingli i tak dalej... Zmiany może są zbyt radykalne dla wielu słuchaczy, ale inne być chyba nie mogą. Nie ma czasu.

Jeżeli nie stworzycie stacji o wyrazistym obliczu, to słuchacz, który trafi na takie pół godziny, na jakie ja trafiłem, jadąc do Pana, więcej się nie nabierze. Słuchacza trzeba uwieść czymś niekonwencjonalnym. Mnie się to udało w czasie, kiedy budziłem słuchaczy w audycji porannej, a wie Pan jak? Nienawidziłem tego rannego wstawania i nie ukrywałem tego. Miałem złą dykcję, byłem zły, mrukiwy, mówiłem na przykład, że jest godzina nie szósta, tylko „fófta”. Uważam, że można wziąć sepieniącego prowadzącego i to będzie hit. Ludzi trzeba zaczepiać, wytrącać z równowagi, nie przyzwyczajać. Teraz „Trójka” słuchaczy usypia. Czy może mi Pan zadeklarować, że tak dalej nie będzie?

– Gwarantuję, że „Trójka” będzie skutecznie budzić, bawić, informować, poruszać emocjami! Po pierwsze, jak mnie pan zapyta, czy Kocham bardzo mamusię czy tatusia, odpowiadam, że mam identyczny stosunek do wszystkich programów Polskiego Radia, żadnego nie wyróżniam, nieustannie myślę i dyskutuję nad dostosowaniem oferty programowej wszystkich anten. Program I spokojnie, ale konsekwentnie się dostosowuje. Niemniej, po drugie, „Trójka” jest bardzo ważna dla Polskiego Radia jako program masowy skierowany do młodszych słuchaczy. Po trzecie, wprawdzie tylko 25 procent naszego budżetu zależy od reklam, ale musimy je wypracować, także w Programie III. Podsumowując: „Trójka” ma być radiem nowoczesnym, ma nie być komercyjna i nie będzie się ściagać z komercyjnymi rozgłośniami. Ale bezpieczne osiem-dziesięć procent słuchalności musimy osiągnąć, bo od tego zależy kondycja finansowa całego Polskiego Radia. Więcej nam nie trzeba, choć... Niech „Trójka” wypracuje własną, oryginalną formułę, która przyciągnie do odbiorników nowych słuchaczy. Codziennie przecież rodzi się nowy słuchacz.

Rozmawiał
WOJCIECH MANN
Współpraca
FILIP ŁOBODZIŃSKI



Nie wierzy w Boga,
więc sam postanowił
stworzyć człowieka.
Za czyje pieniądze
- Arabów, kosmitów,
Rosjan, Żydów
- wszystko mu jedno

OLGA WOŹNIAK



Klinika to dla państwa Antinorich dochodowy interes. Media stale napędzają klientów

Doktor Klon

Antychryst usadowił się kilkaset metrów od Watykanu. Tam wybudował swoją klinikę leczenia bezpłodności RAPRUI (Stowarzyszenie Naukowców na rzecz Walki z Bezpłodnością). Dzisiaj jest to miejsce, do którego w oczekiwaniu na cud ściągają setki ludzi z całego świata. Przybywające do kliniki doktora Severina Antinoriego pary, które od wielu lat bezskutecznie starają się o dziecko, wita w holu wielka na całą ścianę Madonna przy nadziei. - Bóg dał mu dar. Dzięki temu czyni ludzi szczęśliwymi - mówią wzruszeni pacjenci.

Antinori nie wierzy w Boga. A pobliscy mieszkańcy Stolicy Apostolskiej za „dar” doktora czynią odpowiedzialne raczej inne siły. Żądają, by „antyhumanistycznymi” praktykami naukowymi, których dokonuje się w klinice doktora Severina Antinoriego, zajął się wymiar sprawiedliwości. Klinika to dla nich bardzo kłopotliwe sąsiedztwo. Tym bardziej że Dr Klon, jak ostatnio nazywają go media, nie daje o sobie zapomnieć.

Ja jestem życiem

Wykłęty przez Kościół, o Watykanie mówi „mafia”. Pieniądze dawał mu Kaddafi i sekta, która głosi, że ludzie stworzyli kosmici. Obiecał, że stworzy za nie człowieka. W czasach gdy

zachodni świat toczy walkę z islamskimi terrorystami, postanowił, że jego człowiek będzie muzułmaninem. Musi się śpieszyć, żeby nie wyprzedzili go Rosjanie. Severino Antinori. Włoski ginekolog, który postanowił przejść do historii jako „ojciec” pierwszego na świecie ludzkiego klonu.

„Wiele opowiadał o sobie - mówił w jednym z wywiadów - ale gdybyście mieli zapamiętać z tego tylko jedną rzecz, to chciałbym, żeby to było zdanie: »Ja jestem życiem«”. Twierdzi, że daje ludziom to, czego najbardziej pragną. Mówią o nim „cudotwórca”. Mówią też „szatan”.

Pierwszy raz usłyszano o nim w roku 1986, gdy rozpoczął eksperymenty ze sztucznym zapłodnieniem. Używał szczerów do przechowywania spermy mężczyzn o obniżonej płodności. W roku 1989, gdy w swojej klinice metodą *in vitro* umożliwił zaiskrzenie 47-letniej kobiecie, która przeszła menopauzę, jego nazwisko pojawiło się na pierwszych stronach gazet. Od tego czasu skrupulatnie dba, by z nich nie schodziło.

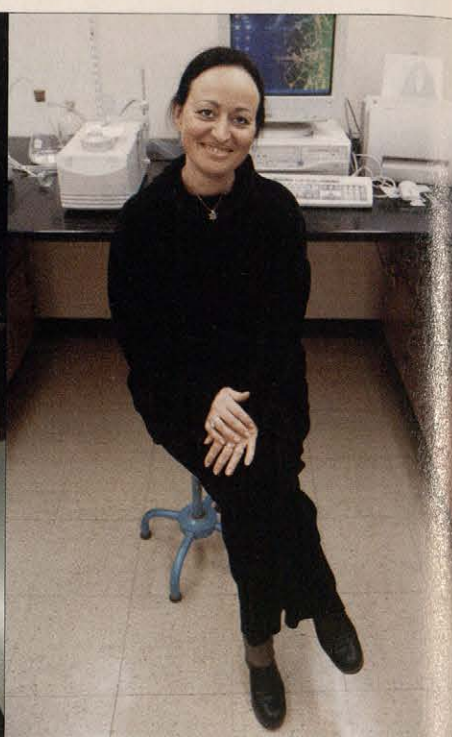
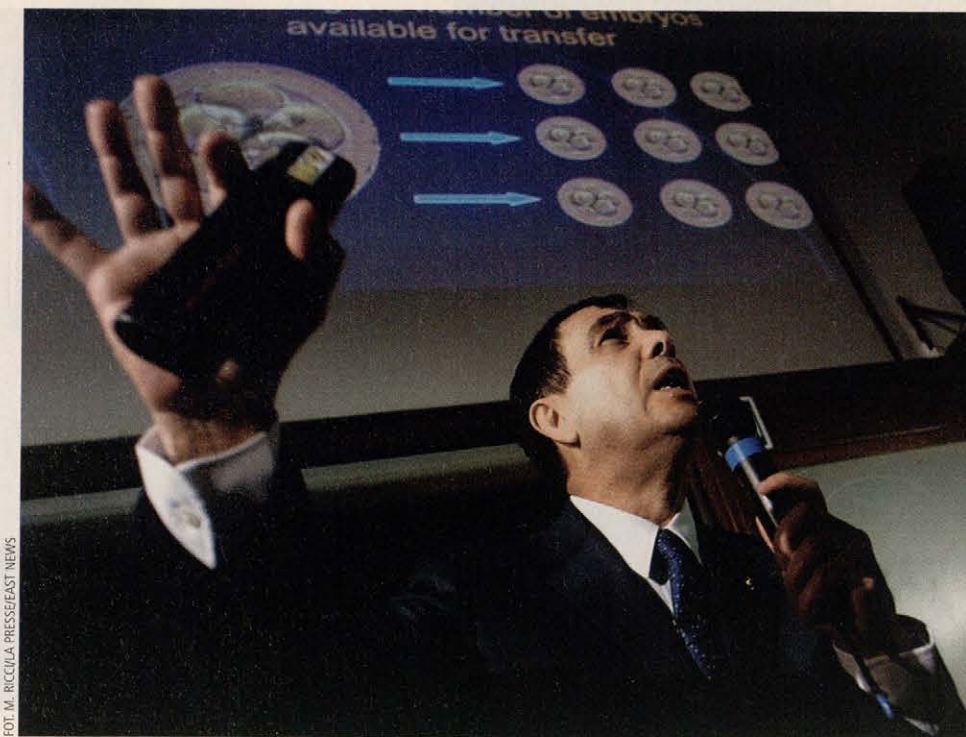
Pięć lat później staje się współautorem rekordu, jaki pobiła Włoszka Rossanna Della Corte, będąc - w wieku 63 lat - najstarszą kobietą, która urodziła dziecko. „Szaleniec” - mówiono o nim wtedy. „Nieodpowiedzialny wariat”.

Jak błahe wydają się jednak te wyczyny dziś, gdy doktor Antinori ogłasza, że sklonował człowieka...

Papież w mafii

Severino Antinori urodził się 56 lat temu w Abruzzi, prowincji w południowo-centralnych Włoszech. Wychowywał się na wsi, gdzie jako mały chłopak często towarzyszył swojemu wujowi - weterynarzowi - w jego obowiązkach. Z fascynacją przyglądał się, jak ten dokonuje sztucznego zapłodnienia krów na okolicznych farmach. Złośliwi twierdzą, że właśnie wtedy narodziło się w nim powołanie. Postanowił zamienić krowy na ludzi i dość z nich nieprawdopodobne pieniądze. Wcześniej jednak musiał skończyć medycynę.

Studiował w Rzymie. Wtedy, na początku lat 70., na konferencji naukowej poznał Brytyjczyka dr. Patricka Steptoe, twórcę i pioniera metody sztucznego zapłodnienia. Uznał go za swego mesjasza i postanowił zostać jego uczniem. - Ludzie mówili, że Steptoe jest szalony, nazywali go doktorem Frankensteinem. A on 10 razy powinien dostać Nagrodę Nobla! - wspomina dziś swojego mentora. - Ale oczywiście nie dostanie jej, dopóki o tym, komu ją przyznać, będzie decydowała mafia...



Panayiotis Zavos i Brigitte Boisselier, najbliżsi współpracownicy Antinoriego

Choć dzisiaj do „mafii” według Antinoriego oprócz Komisji Noblowskiej należy także Tony Blair, George Bush i papież, słowo to pojawiło się w jego słowniku już w czasach studenckich. „Uniwersytetem rządzi akademicka mafia” – mawiał z pogardą o swoich wykładowcach. A jednak dostał dyplom.

Po studiach, robiąc specjalizację z gastrologii, a później z ginekologii, przewinął się przez wiele szpitali i klinik. Nigdzie nie zagrażał miejsca. Być może powodem był jego obcesowy sposób bycia. W końcu trafił do Regina Elena – publicznej kliniki w Rzymie zajmującej się leczeniem bezpłodności. Tam jednak także dość szybko pokłócił się z kolegami i z administratorem szpitala. Znów musiał zmienić pracę.

„Dziękując wszystkim za łaskę”, razem z Catriną Versaci – swoją żoną, biologiem – założył własną klinikę leczenia bezpłodności. Był ciekawy nowinek, eksperymentował, wprowadzał pionierskie metody. Z sukcesem. Dziś jest bogatym człowiekiem. W roku 1994 opublikował książkę „My Impossible Children” (Moje niemożliwe dzieci) opowiadającą o jego pracy nad metodami sztucznego zapłodnienia. Został wiceprezesem międzynarodowego stowarzyszenia klinik leczących bezpłodność.

Jednak we wrześniu 2001 roku stowarzyszenie to zażądało jego ustąpienia. Powód? „Niechlubna opinia, jaką ostatnio cieszy się pan Antinori ze względu na swoje zapowiedzi klonowania reprodukcyjnego”.

Zapłodnienie techniką *in vitro* daje dziś szansę posiadania potomka ludziom, którzy dawniej nie mogli nawet o tym marzyć. Naukowcy oceniają jednak, że nadal około stu milionów mężczyzn może zapomnieć o ojcostwie. Są całkowicie bezpłodni. Ich jądra w ogóle nie produkują nasienia. O nich właśnie teraz myśli Antinori.

Nie mówmy o nich „klony”

– Jest dla nich sposób! – oświadczył w styczniu 2001 roku. – Genetyczne reprogramowanie! I ja tego dokonam!

– Ma pan na myśli klonowanie człowieka? – upewniali się dziennikarze i naukowcy.

Doświadczenia wykonywane na zwierzętach pokazują, że klonowanie to wysoce ryzykowna metoda. Zanim powstała owca Dolly, zginęły setki innych owiec. Próba wyhodowania zdrowego na pierwszy rzut oka zarodka powiodła się dopiero za 277 razem! Osobiście nie jestem jednak kategorycznie przeciwna klonowaniu w celach reprodukcyjnych, ale metoda ta musi zostać jeszcze dobrze dopracowana, tak by zminimalizować zagrożenie dla zdrowia klonowanego dziecka. Może nastąpi to za 20–50 lat... Jest to również bardzo złożony problem natury moralnej i etycznej. Z tego względu musi być poddany precyzyjnym regulacjom prawnym. Wyobrażam sobie, że w przyszłości próby o klonowanie będą rozpatrywane wnikliwie i z osobna, tak jak dziś przypadki prób o eutanazję. Nie widzę też wielu przypadków, w których zastosowanie klonowania reprodukcyjnego mogłoby być potrzebne. Rozumiem, że mogłyby z niego korzystać kobiety, które mają trwałe problemy z urodzeniem własnego dziecka, a nie są zdecydowane na adopcję.



PROF. MAGDALENA FIKUS
Z INSTYTUTU BIOCHEMII
I BIOFIZYKI PAN:

Severino Antinori dla mnie nie jest naukowcem. Nie postępuje jak naukowiec. Nie sprawdza danych, nie publikuje w naukowych pismach, za to robi wokół siebie wiele medialnej sensacji. Nie jest wiarygodny. Zwoluje pseudokonferencje, na których rzuca jakieś oświadczenia, których nie potrafi udokumentować, potem się ich wypiera, następnie jego biuro prasowe to prostuje. Za dużo tu niejasności. Osobiście nie nazwałabym go również lekarzem. Nie jest nim bowiem człowiek, dla którego pojęcie etycznego postępowania wobec pacjenta jest tak płynne. Jeśli to prawda, że sklonował człowieka, to jakim kosztem? Na jakie ryzyko naraził kobietę, która nosi tę ciężą, i samo dziecko?

– Termin „klonowanie” to wymysł hollywoodzkiej fantazji – strofował ich. – Używając go, sugerujemy, że będziemy produkować serie identycznych istnień. To idiotyzm – zrywał się. – To prawda, że większość naszego kodu genetycznego pochodzi z jądra komórki, które pobieramy od dawcy. Ale jego DNA wprowadzamy do komórki jajowej, gdzie znajdują się struktury zwane mitochondriami, które mają swoje DNA. Powstały zarodek otrzymuje więc niewielki procent cech także od matki – co oznacza, że nie da się wyprodukować dwojga identycznych ludzi.

W ten sposób doktor Antinori ogłosił światu, że będzie klonować ludzi. – Bierzemy jądro z dowolnej komórki somatycznej osoby, która ma być sklonowana, wkładamy je do wyjądrzonej komórki jajowej pozyskanej od dawczyni. Małe wyładowanie elektryczne. Pstryk! I mamy człowieka – mówi stwórca. Cel jest szczytny: umożliwić bezpłodnym parom posiadanie potomstwa. Zawrzało.

Człowiek łatwiejszy od Dolly

– Wiadomość jest przerażająca. Wyniki doświadczeń z klonowaniem zwierząt wskazują, że większość sklonowanych zarodków ginie we wczesnej fazie rozwoju. A te, które przeżywają, są narażone na wiele wad – skomentował te rewelacje biolog Rudolph Jaenish z Massachusetts Institute of Technology, gdzie zajmuje się badaniami nad klonowaniem.

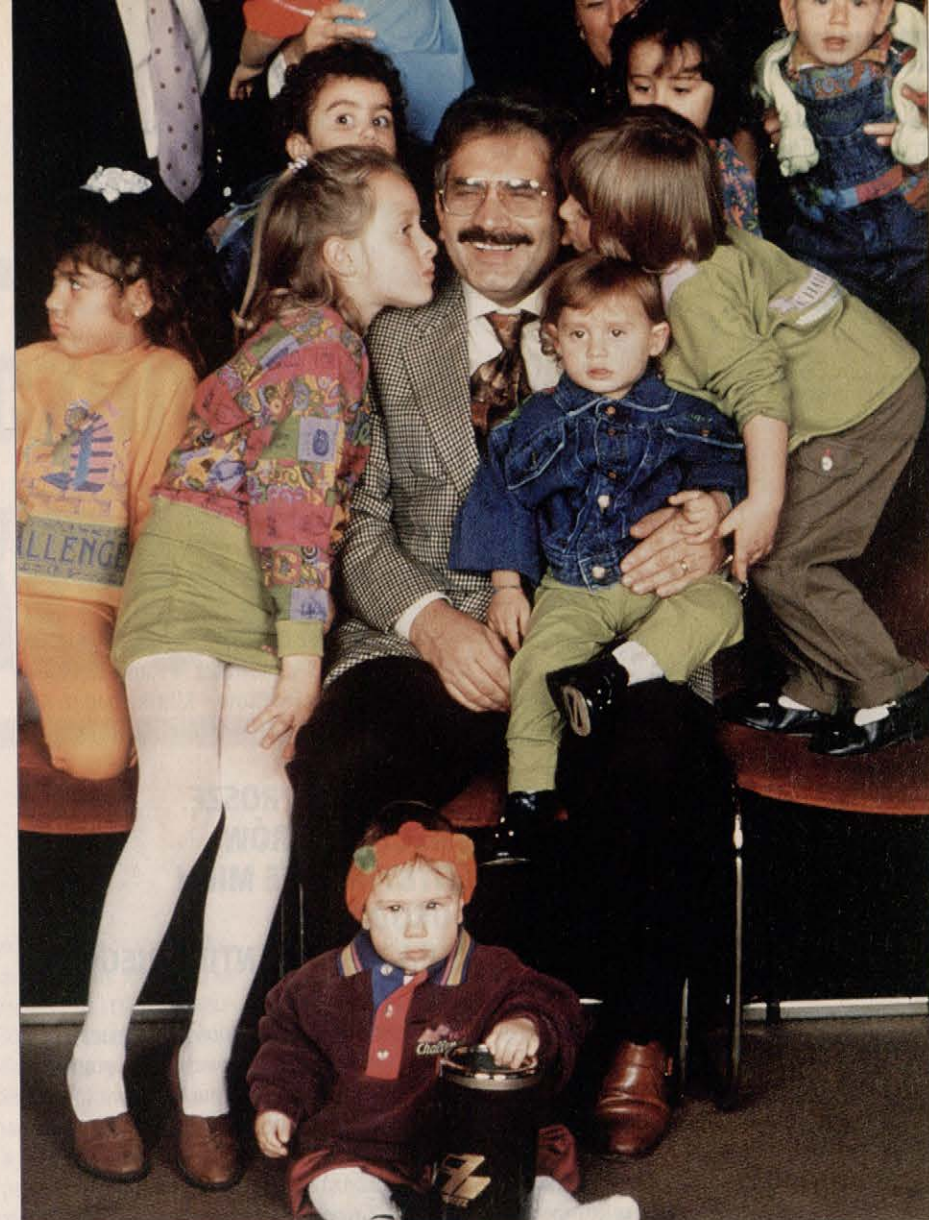
Ian Wilmut, „ojciec” owieczki Dolly, nazywa klonowanie człowieka rzeczą „niebezpieczną i nieodpowiedzialną”. Doświadczenia pokazują, że sklonowane zwierzęta, głównie owce i świny, często rodzą się zdeformowane. Cierpią na choroby układu nerwowego i oddechowego. – Taki sam los może spotkać ludzki klon. Za mało jeszcze wiemy – ostrzega Wilmut – by porywać się na klonowanie ludzi.

Naukowcy oskarżają Antinoriego o egoizm i megalomanię. Twierdzą, że jego rewelacje przyniosą więcej szkody niż korzyści. Obawiają się zahamowania badań nad klonowaniem zarodków ludzkich. To byłoby bardzo niekorzystne, bo klonowanie jest potrzebne w poszukiwaniu terapii rozmaitych chorób.

Jednak Antinori pozostaje głuchy na takie ostrzeżenia. – Wilmut, Jaenish? Co oni wiedzą? To weterynarze. Klonują zwierzęta. Ja jestem lekarzem ludzi! – odpowiada.

Jest pewny swego. Naukowcom pracującym nad klonowaniem zwierząt zarzuca niekompetencję, przeprowadzanie eksperymentów w niewłaściwych warunkach, złe interpretacje ich wyników, niedochodzenie prawdziwych przyczyn śmierci zwierząt, niekontrolowanie warunków eksperymentu.

– Ci, którzy klonują zwierzęta, krytykują mnie, bo przemawia przez nich zazdrość! – twierdzi. – To egoizm i chęć zatrzymania



W klinice Severina Antinoriego dokonano setek zabiegów sztucznego zapłodnienia

dla siebie technologii. A tymczasem proces klonowania ludzi będzie znacznie mniej skomplikowany niż zwierząt.

Tony Blair to ben Laden!

Niewiele osób przyznałoby publicznie, że traktuje Antinoriego poważnie. A jednak w rekordowo szybkim tempie rządy wielu państw, w obawie, że Dr Klon znajdzie naśladowców lub współpracowników na ich terytorium, wydały uchwały zabraniające klonowania ludzi. Antinori tylko wydymał policzki.

– George Bush to taki amerykański ben Laden. I Tony Blair to ben Laden. Jeden mówi: *Allah-akbar*, drugi *God bless America*. A wszyscy pojęcie o nauce mają rodem ze średniowiecza. Ale ja przeciwstawiam się tej mafii! – obiecywał w wywiadzie dziennikarzowi brytyjskiego pisma „The Observer”.

A mafia jak za starych, dobrych czasów knuje przeciw Antinoriemu każdego dnia.

– Codziennie we włoskiej izbie lekarskiej mówi się o odebraniu mi prawa wykonywania

zawodu. Codziennie! Ja dobrze wiem, że takie podszepty przychodzą z Watykanu. Nie po raz pierwszy Kościół wywiera presję na naukę! I dlaczego? Dlatego, że ośmielał się walczyć w obronie podstawowych praw człowieka. Jestem samotny, ale nie boję się poszukiwać prawdy. Jestem jak Galileusz, jak Giordano Bruno!

Zbrodnia przeciw ludzkości

Jeśli chodzi o porównania historyczne, Kościół katolicki chętniej stawia Antinoriego w jednym szeregu z Hitlerem.

– Wynalezienie bomby atomowej też było postępem, ale wcale nie najlepszym postępem ludzkości – komentuje poczynania ginekologa biskup Elio Sgreccia, przewodniczący Instytutu Bioetyki przy rzymskiej klinice Gemelli.

Przewodniczący Papieskiej Rady ds. Rodziny kardynał Alfons Trujillo uważa, że każda forma klonowania człowieka stanowi tak poważne przestępstwo, że przypadki te

powinien sędzić specjalny międzynarodowy trybunał. Stolica Apostolska chce, by parlamenty państw świata uznały klonowanie człowieka za zbrodnię przeciw ludzkości.

– Inkwizycja – podsumowuje opinie Kościoła Antinori.

Słowo zmienia się w ciało

– Jedna kobieta spośród tysięcy niepłodnych par objętych moim programem klonowania jest w ósmym tygodniu ciąży – oświadczył dwa miesiące temu na konferencji zorganizowanej w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Jakiej narodowości jest kobieta i gdzie przebywa – nie powiedział. Biuro Antinoriego w Rzymie do tej pory odmawia potwierdzenia tej informacji. Ale i nie zaprzecza.

Szczegóły zdradza Giancarlo Calzolari, dziennikarz włoskiego „Il Tempo” i przyjaciel Antinoriego. Dziecko ma być potomkiem

mentu w jednej z klinik Trypolis. W przypadku sukcesu badacze mieli otrzymać milion dolarów. Znaczący jest również fakt, że mimo iż w krajach muzułmańskich doświadczenia na człowieku są surowo zakazane, to jednak Antinori miał ostatnio w Zjednoczonych Emiratach Arabskich wykład poświęcony najnowszym osiągnięciom inżynierii genetycznej.

Dziecko Rosemary

Wbrew dramatycznym wyznaniom Antinori nie działa sam. Na konferencjach prasowych przy jego boku zawsze znajdują się dwaj „najwierniejsi aniołowie”: lekarz Panayiotis Zavos i Brigitte Boisselier, biochemik.

Zavos, Grek z Cypru, od przeszło 30 lat zamieszkały w USA, prowadzi w stanie Kentucky The Andrology Institute – klinikę badań nad bezpłodnością. Każdy, kto chce dokładniej

– mówi o niej Antinori. Biochemiczka Brigitte Boisselier jest biskupem w kanadyjskiej sekcji raelian. Wierzą oni, że rodzaj ludzki powstał w następstwie przeniesienia na Ziemię materiału genetycznego przez istoty pozaziemskie – kosmitów o nazwie Elohim. – To słowo występuje w żydowskich świętych księgach. Błędnie przetłumaczono je jako „Bóg” – wyjaśnia Raël, założyciel sekty. – Rasa Elohim znała zaawansowane techniki klonowania – to właśnie za ich pomocą ożywiono Chrystusa.

Raelianie założyli w USA własne laboratorium o nazwie Clonaid. Jego dyrektorem jest Brigitte Boisselier. Laboratorium to oferuje sklonowanie człowieka każdemu chętnemu, gotowemu wyłożyć 200 tysięcy dolarów. Raelianie wierzą, że klonowanie to sposób na osiągnięcie nieśmiertelności.

Jakiegokolwiek jednak są motywy członków „trójcy”, ich wspólnym celem nie jest, jak oświadczyli, wykreowanie „nadczołowieka” albo na przykład sobowtórów sławnych ludzi. Chcą oni tylko pomóc cierpiącym na bezpłodność, którzy dzięki klonowaniu zyskają – ich zdaniem – jedyną szansę posiadania dzieci.

Tymczasem tego typu eksperymenty wymagają ogromnych środków finansowych – około 300 tysięcy dolarów. Antinori twierdzi, że ma te pieniądze. Skąd? Nie chce powiedzieć. Czasem napomyka, że sponsorują go milionerzy z Azji. Czasem mówi, że Arabowie.

Ostatnio wspominał też, że dobre warunki do pracy oferowała mu Rosja.

– Putin nie wyznaje żadnej religii, to jego przewaga. Wiem, że jeśli ja teraz nie sklonuję człowieka, zrobią to naukowcy w Rosji. Już to robią. Wiem, że dwie kobiety mogą tam niedługo urodzić sklonowane dzieci. Dlatego muszę się spieszyć.

Blef? Poczekajmy. Za kilka miesięcy być może poznamy dziecko-klon, jego pierwowzór i matkę. Oby nie było jej na imię Rosemary.

OLGA WOŹNIAK

CHCIAŁBYŚ MIEĆ SWOJEGO KLONA? BARDZO PROSZĘ. WYSTARCZY, ŻE ZAPŁACISZ 200 TYSIĘCY DOLARÓW. – NIE KLONOWALIBYŚMY LUDZI, GDYBYŚMY NIE MIELI STUPROCENTOWEJ PEWNOŚCI, ŻE URODZĄ SIĘ W PEŁNI ZDROWE DZIECI – ZAPEWNIĄ ZESPÓŁ ANTINORIEGO

„ważnej i znanej osoby ze świata arabskiego”. – Eksperyment jest przeprowadzany w kraju islamskim, ponieważ Zachód do tej pory nie wyraził zgody na klonowanie – oświadcza Antinori.

Zaczynają się spekulacje. Agencja ITAR-TASS uważa, że informacje o kontaktach Antinoriego ze światem arabskim są bardzo prawdopodobne. – Ponad rok temu pojawiła się wiadomość, że wkład w badania nad klonowaniem człowieka chce wnieść libijski przywódca Muammar Kaddafi – donoszą dziennikarze. Mówiło się wówczas, że Kaddafi obiecał grupie Antinoriego wszelkie warunki niezbędne do przeprowadzenia ekspery-

przyjrzeć się jego działalności, może uczynić to na jego stronie internetowej o wdzięcznej nazwie Sperm Are Us (Sperma to my).

– Nie klonowalibyśmy człowieka, gdybyśmy nie mieli pewności, że dzięki naszym wysiłkom urodzą się w pełni zdrowe dzieci – zapewniał Zavos w wywiadzie dla telewizji CNN. – Nasz zespół badawczy pracuje już w tym kierunku z około 200 bezpłodnymi parami. Niektóre z nich pragną, by sklonowano ich przedwcześnie zmarłe dzieci.

Zavos chce pomóc takim ludziom. Inne motywacje składają do współpracy z Antinorim Brigitte Boisselier. – To dobry biolog, choć obawiam się, że niedługo popadnie w szaleństwo

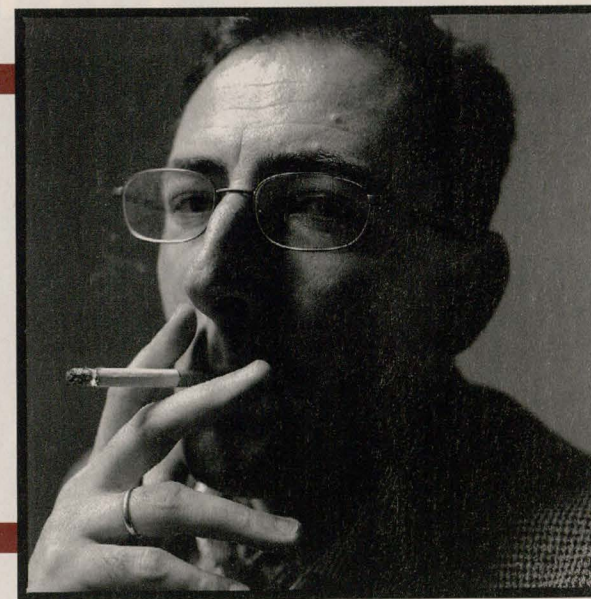
Czy klonowanie stanie się w przyszłości popularnym sposobem prokreacji? Uważam to za mało prawdopodobne.

Dzisiaj ta metoda jest droga, kontrowersyjna i stwarza liczne zagrożenia dla zdrowia dziecka. Jest za to bardzo wiele dzieci urodzonych naturalnie, które cierpią w sierocińcach – myślę, że należałoby najpierw pomyśleć o tym, niż tworzyć w sposób sztuczny nowe istnienia – na dodatek z dużym prawdopodobieństwem obciążone ryzykiem wielu poważnych chorób i wad rozwojowych.

Tak naprawdę na tle problemów, które nękają współczesny świat – jak głód, terroryzm czy wojny – klonowanie ludzi to sprawa dużo mniejszej rangi.

W ostatnich czasach pojawia się naprawdę wiele ciekawszych i ważniejszych doniesień naukowych, także z dziedziny genetyki i terapii genowej, niż przechwałki Severina Antinoriego.

O marszczeniu nosków



Tytułowy grymas ma bogatą literaturę i wielorakie znaczenia. Marszczyły nosa zdradzało niezadowolenie despotów, było zwiastunem gniewu władców. Nos można zmarszczyć dla zaimanifestowania pogardy dla niżej urodzonych, gorzej ubranych, niewłaściwie się zachowujących, inaczej myślących. Wreszcie, marszczy się nos, gdy coś śmierdzi. Są ludzie, którzy sami wprawdzie nie marszczą nosa, ale panicznie się boją, że z ich powodu ktoś to uczyni. Na przykład mój ulubiony członek obecnego rządu Marek Pol wiecznie wygląda, jakby się obawiał, że premier Miller zmarszczy na niego nos. Śpieszę wyjaśnić – to oczywiście przenośnia – bo jak nam wiadomo z telewizji publicznej, Leszek Miller jest łagodny jak baranek i ma równie żywą mimikę jak płyta nagrobna w Alei Zasłużonych.

Ale nie o wielkich damach, władcach i ich sługach chcę pisać, lecz o Krakowie i Warszawie. Otóż wśród licznej kolonii stołecznych krakowiaków szerzy się obyczaj marszczenia nosów w stolicy. Ktoregokolwiek z ziomków spotykałem w ostat-

niej dekadzie, zawsze można było usłyszeć te same słowa: „Jak wytrzymujesz to straszne miasto?”, „Boże, co za nieszczęście nas spotkało!” lub „Jak można żyć w tak brzydkim miejscu!”. Potem następują dalsze uzasadnienia – a to, że stosunki międzyludzkie przypominają wzajemną życzliwość krokodyli w małej sadzawce, a to, że straszne tempo i korki przeraźliwe, że nie ma naturalnego centrum i że ciągle wieje. Po tych litaniach obrzydzenia następują zwykle wspomnienia: „A u nas na Rynečku ślicznie, co?...”, „U nas przecież o połowę taniej i wszyscy mają czas...” lub podobne. Stopniowo cała Kraków w relacjach emigrantów nabiera charakteru raju utraconego, miejsca niewystawionej rozkoszy bytowania, nieprzemijającej uczty zmysłów. Aż tu nagle błysk przytomności: „O rany! Spóźnię się na spotkanie z doradcą podatkowym!”, „Robota czeka!”, „Dzieci trzeba zawieźć na tenisa”. „Cześć!” – i już nie ma rozrzuconego krakauera/krakauerki – tylko oddalająca się chyżo sylwetka pod wietrznym niebem Równiny Mazowieckiej.

Cóż to za Anioł z Ognistym Mieczem w dłoni strzeże bram podwawelskiego grodu, że po-

wrócić doń nie sposób? Za jakie straszne grzechy wygnano tłumy tych nieszczęśników, skazując ich na estetyczną wegetację w tym okropnym miejscu? O nie, czytelniku – mylisz się – nie wygnano ich. Oni wygnali się sami. Uczynili to pod wpływem podobnego impulsu, który każe od pokoleń synom Podhala pakować toboły, przepływać Atlantyk i zaczynać wszystko od nowa. Oni porzucili Kraków w imię lepszego życia, wyższych apanaży, ambicji zawodowych lub ojczyzny ratowania (co, jak wiadomo, najlepiej wychodzi w mieście narodowych powstań). Oni chcieli szybciej, więcej, lepiej. Oni, czyli my. My, bo ja się do tej emigracji także zaliczam.

Ach! Ten cudowny moment, gdy wchodzisz do pubu i widzisz zupełnie nieznajome osoby w niewypowiedzianych ilościach (i do tego żadnych krewnych...)! Metro, giełda, Sejm i Adam Michnik za rogiem – kto tych chwil nie doznał, nigdy nie zrozumie, co to jest znaleźć się w metropolii. Szybciutki przebieg po pierwszej wypłacie: trzy pensje Staszka, pięć pensji redaktorów pewnego Tygodnika z ulicy Wiślniej, czasu na nic, ale mieszkanie w zasięgu ręki. Kawa

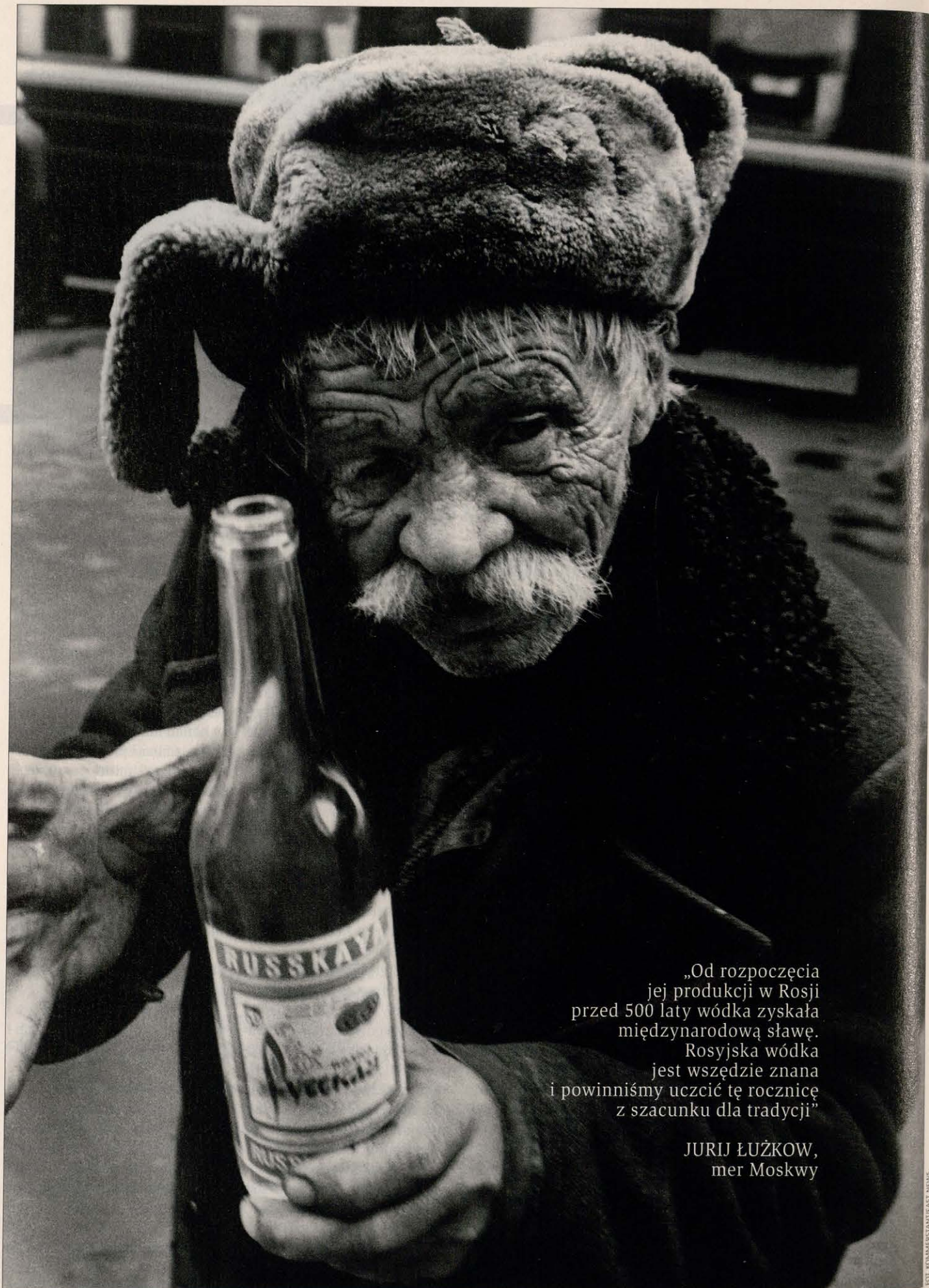
droga, obiady też. Żadnego stawiania. Trzeba oszczędzać, bez samochodu ani rusz. A potem ani się człowiek obejrzy, a stał się Osobą na Skalę Kraju lub jego konto puchnie jak nogi cioci Anieli w lecie. I gdzież to wszystko się stało? Ano tu, w tej wstrętnej Warszawie, gdzie się w końcu ma dom, zakłada rodzinę, zmienia pracę i samochody (a przynajmniej ma się nadzieję zmienić). Ale nigdy nie usłyszałem w rozmowach między stołecznymi krakusami cienia wdzięczności dla miejsca, w którym spełniają się amerykańskie sny nad Wisłą, czy choćby odrobiny życzliwości dla tych fragmentów Warszawy, które ocalały z pogromów Historii i państwowego barbarzyństwa. Tylko zmarszczone nosy – jak znaki rozpoznawcze pochodzenia. Nie wiem, jak tam jest z innymi warszawiakami – tymi ze Śląska, Gdańska czy Piotrkowa – ale wiem jedno, że moi ziomkowie powiększają potencjał wykorzenienia w tym mieście, które jest wszystkich i niczyje równocześnie. Mieście daremnie czekającym na swoich obywateli.

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ



PROF. PIOTR STĘPIEŃ Z ZAKŁADU GENETYKI UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO:

Wszelkie dyskusje na temat Severina Antinoriego, zwłaszcza publiczne, uważam za złe, ponieważ tylko dodają mu *publicity*. A o to, zdaje się, głównie mu chodzi. Antinori jest bowiem człowiekiem, który chce za wszelką cenę przejść do historii nauki. Nie zamierzam w tym uczestniczyć. Co zaś do klonowania reprodukcyjnego, mogę się określić jako umiarkowany przeciwnik. Na tym etapie rozwoju technologii jestem zdecydowanie przeciw, ponieważ wiemy i umiemy zbyt mało. Klonowanie reprodukcyjne na tym etapie można określić jako doświadczenia na ludziach.



„Od rozpoczęcia jej produkcji w Rosji przed 500 laty wódka zyskała międzynarodową sławę. Rosyjska wódka jest wszędzie znana i powinniśmy uczcić tę rocznicę z szacunku dla tradycji”

JURIJ ŁUŻKOW,
mer Moskwy

Rosja na odwyku

Gdy przybywa kapitalizmu, ubywa pijanych. W świecie, w którym można żyć sensownie i dostatnio, nie opłaca się być alkoholikiem

Z EWĄ WOYDYŁŁO
rozmawia

WOJCIECH MAZIARSKI

WOJCIECH MAZIARSKI: Mer Moskwy Jurij Łużkow zapowiedział ostatnio, że za rok w rosyjskiej stolicy stanie muzeum wódki. Rosjanie będą czcić 500. rocznicę rozpoczęcia produkcji swego „narodowego napoju”, a my porozmawiamy o rosyjskim alkoholizmie. Czy alkoholizm w ogóle może mieć narodowość?

EWA WOYDYŁŁO: Może i często ma. Uzależnienie jest chorobą i jego fizjologiczne mechanizmy są wszędzie takie same. Jednak motywy, preteksty i warunki kulturowe, w których ta choroba się rozwija, nie są jednakowe. Dziś widać bardzo wyraźnie, że społeczeństwa republik byłego ZSRR przejęły rosyjski sposób picia alkoholu. A już na przykład Polska czy Niemcy Wschodnie nie piły i nie piją tak jak Rosja.

A jak pije Rosja?

– Rosja pije z biedy, bez nadziei i poczucia niemocy. Tę niemoc zagłusza alkoholem – gdy się upije, mniej niemocna się czuje. Alkohol jest odpowiedzią na feudalizm zaszczipiony w wielu rosyjskich duszach.

Przez wieki historia uczyła Rosjan, że nic od nich nie zależy, i kazała im zdać się na los. Nie widziałam drugiego narodu, który w swej masie byłby tak bierny jak rosyjski. No, może jeszcze ludy afrykańskie, ale ich pasywność wynika z innych przyczyn; tam po prostu samo życie dostarczało mniej wyzwań i nie stymulowało do wysiłku: jest ciepło, więc nie trzeba budować solidnych domów, przyroda wytwarza dużo pożywienia, więc nie trzeba zajmować się rolnictwem, i tak dalej.

Natomiast rosyjska pasywność jest efektem negatywnych doświadczeń, które nauczyły ludzi: nie podejmuj samodziel-

nych wysiłków, bo dostaniesz po uszach, a twoja inicjatywa i tak zostanie zablokowana. W Rosji, żeby być aktywnym, należało uzyskać szczególny mandat – trzeba było należeć do arystokracji, a za czasów ZSRR do partii komunistycznej. Nawet rosyjska religia przyczyniła się do kształtowania takich postaw: w prawosławiu los człowieka w o wiele większym stopniu niż w innych wyznaniach chrześcijańskich jest zarządzany przez siły, na które sam człowiek nie ma wpływu.

W ten sposób w Rosji rozpowszechniła się postawa przyjmowania, co los przyniesie. Ta postawa przeobraziła się wręcz w swoisty styl życia, w którym wódka zaczęła odgrywać bardzo istotną rolę. Alkohol bowiem pomaga zaakceptować własną bezsilność i bierność. I oczywiście wzmacnia je.

Można powiedzieć, że w Rosji człowiek pije, bo jego zdaniem taka jest kondycja ludzka. To gorszy rodzaj picia niż ten, który jest rozpowszechniony w Polsce i Europie Zachodniej, interwencja psychologiczna jest tu dużo trudniejsza.

Ale przecież i my mieliśmy w Polsce do czynienia z takim picciem. W czasach komunizmu rosyjski model picia rozpowszechnił się na obszarze całego bloku wschodniego.

– Owszem, picie, które nazywałabym kłozardowskim, było w PRL częstsze niż dzisiaj, ale mimo wszystko nie można tego porównywać z sytuacją w Rosji. Polak jednak częściej pił, by dodać sobie werwy i fantazji. Sądził, że upicie się da mu natchnienie i wzmocni jego potencjał twórczy. Tymczasem w tradycyjnym rosyjskim modelu człowiek pił i pije z rozpacz-

– bo już nie może, bo uwarunkowania zewnętrzne tłamszą go, bo się dusi.

Polska nie zaraziła się tym rodzajem picia, ale na przykład w Tadżykistanie – mimo że jest to kraj wyrastający z tradycji islamu, gdzie alkohol jest w ogóle zakazany – pije się po rosyjsku, do upadłego. Gdy dziś mówimy o rosyjskim picciu, mamy na myśli niemal cały obszar dawnego ZSRR, poza republikami bałtyckimi.

Jakie są korzenie takiego picia – rosyjskie czy sowieckie?

– Rosyjskie, ale wzmocnione i rozpowszechnione w czasach sowieckich. Leninowska strategia przesadzania ludzi sprawiła, że olbrzymie grupy mieszkańców Rosji, wschodniej Ukrainy i Białorusi trafiły na przykład do Kazachstanu czy Tadżykistanu, zabierając ze sobą swoje tradycyjne wzorce kulturowe. Tych przesiedleńców było na tyle dużo, że przekroczona została pewna masa krytyczna – nie zasymilowali się, lecz zaszczipili tu-tejszym społeczeństwom własne standardy.

Na przykład jakie?

– Poprzeczka tolerancji na patologie związane z alkoholem jest ustawiona o wiele wyżej niż u nas. W Polsce niedopuszczalne jest już, by pracownik przychodził do przedsiębiorstwa pod wpływem alkoholu. A tam jest to niemal normą.

Nam nie mieści się w głowie, by pracodawca płacił robotnikom nie pieniędzmi, lecz wódką – a tymczasem ja sama widziałam w Rosji fabrykę opon, która tak właśnie postępuje. Nikogo to nie dziwi i nikt się nie oburza, bo tam butelka wódki pełni funkcję waluty wymiennej.



Ewa Woydyłło, doktor psychologii, w Fundacji Batorego kieruje międzynarodowym programem edukacji na temat alkoholu i narkotyków w Europie Wschodniej, Środkowej i Azji Centralnej.



9 maja przed moskiewskim Teatrem Bolszoi, rocznica zakończenia wojny



Od roku 1997 w Moskwie odbywają się zawody w picu wódki



Dzień rosyjskich wojsk spadochronowych. Elita armii świętuje



Produkcja samogonu w Orenburgu

W telewizji rosyjskiej widziałam rozmowę z kierowcą, który spowodował wypadek. Powiedział do kamery, że po takiej ilości alkoholu nie powinien być siadać za kierownicą. Nie czuł się winny tego, że wcześniej wypił, lecz że wypił za dużo. To dobrze ilustruje różnicę standardów: wszak u nas powszechnie akceptuje się – przynajmniej werbalnie – zasadę, że nawet najmniejsza ilość alkoholu uniemożliwia prowadzenie samochodu.

Czy ta wszechobecność alkoholu w życiu Rosjan sprawia, że więcej jest tam alkoholików niż u nas?

– Z grubsza szacuję, że co dziesiąty Polak nadużywający alkoholu jest uzależniony – i myślę, że w Rosji proporcja jest taka sama. Z tą jednak różnicą, że tam odsetek ludzi nadużywających alkoholu jest dużo wyższy. Są takie środowiska i obszary geograficzne, gdzie nie ma ludzi niepijących. Na północy praktycznie wszyscy zaczynają dzień od wódki. Na dworze panuje mordercze zimno, mieszkania są niedogrzone – więc organizmy tych ludzi rano nie chcą zacząć funkcjonować. A zatem podkreślają się alkoholem.

Od połowy lat 90. pomaga Pani terapeutom z republik byłego ZSRR organizować system leczenia alkoholików. Co Pani zastała przy pierwszej wizycie w Rosji?

– Średniowiecze. Świat, w którym alkoholika nie leczy się, lecz karze. Zresztą do dziś istnieją tam obozy, w których zamyka się uzależnionych, nie poddając ich żadnej terapii.

Zamyka się ich za przestępstwa popełnione pod wpływem alkoholu?

– Nie, za to, że piją.

Kto ich tam zamyka? Sąd?

– Jaki sąd?! Milicja po prostu bierze delikwenta i umieszcza go w obozowisku alkoholików.

Ale za co?

– Przecież mówię: za to, że pije.

W Rosji miliony ludzi piją i upijają się. Co zatem trzeba zrobić, żeby trafić do takiego obozu?

– Milicja kieruje tam alkoholików, którzy ześliznęli się poza margines normalnego życia. Na przykład takich, których regularnie zbiera z ulicy. U nas policja też zawozi pijanych do izby wytrzeźwień, tyle że potem ci alkoholicy mają szansę trafić na profesjonalną terapię.

W Rosji do niedawna takiej szansy nie mieli – po prostu zamykano ich w obozach, gdzie byli izolowani. Nikt ich nie próbował leczyć i nikt nawet nie zdawał sobie sprawy, że takie leczenie jest możliwe.

Przełom w tej dziedzinie także u nas dokonał się stosunkowo niedawno. Po upadku komunizmu radykalnie wzrosła liczba ośrodków terapeutycznych i zaczął się gwałtownie rozwijać ruch Anonimowych Alkoholików. Poprawę można dostrzec gołym okiem: na ulicach jest o wiele mniej pijanych niż w czasach PRL. Czy w Rosji zmiana systemu także dała takie rezultaty?

– Oczywiście. Gospodarka rynkowa jest wielkim sojusznikiem zdrowia publicznego. Jako konsultantka z ramienia Międzynarodowej Organizacji Pracy odwiedzałam moskiewskie przedsiębiorstwa i stwierdziłam żelazną prawidłowość: wszędzie tam, gdzie była praca dla ludzi i gdzie, pracując więcej, można było więcej zarobić, pracownicy pili mniej.

Podzieliłiśmy pracowników na trzy kategorie, które oznaczyliśmy kolorami. Czerwony to była kilkunastoprocentowa grupa ludzi uzależnionych od alkoholu. Kolorem pomarańczowym

zaznaczyliśmy tych, którzy jeszcze nie byli alkoholikami, lecz pili ryzykownie i nadużywali alkoholu. Grupa zielona to abstynenci i ludzie pijący mało. I okazało się, że w gospodarce rynkowej ludzie ze strefy pomarańczowej sami przesuwają się do strefy zielonej. Chcą lepiej zarabiać, boją się stracić pracę – więc przestają nadużywać alkoholu.

Sklonność do nadużywania alkoholu może być więc jednym ze wskaźników zaawansowania reform systemowych w krajach postkomunistycznych?

– Tak. Gospodarka rynkowa sprawia też, że coraz więcej ludzi uzależnionych chce się wyrwać ze strefy czerwonej. W świecie, w którym można żyć sensownie i dostatnio, po prostu nie opłaca się być alkoholikiem. Dlatego w tej chwili w Polsce na terapię zgłasza się o wiele więcej osób niż 20 lat temu.

O ile więcej?

– Tego nikt dokładnie nie policzył. Mamy kilkaset poradni i ośrodków terapeutycznych, które pracują na pełnych obrotach. Rocznie przechodzi przez nie kilkanaście tysięcy osób. A 20 lat temu leczyło się w sumie może

kilkaset osób. I to samo dzieje się w Rosji.

Tyle że w odróżnieniu od Polski Rosja jest olbrzymią, cały kontynent. W tym ogromie trudno dostrzec dobre zjawiska, bo więcej jest tych złych. Widzimy przede wszystkim wielki, zalany wódką kraj. Jednak jeśli przyjrzymy się uważniej, zauważymy, że w Moskwie działa już 30 nowoczesnych ośrodków terapeutycznych, istnieje kilkadziesiąt grup Anonimowych Alkoholików.

Rozwój ruchu AA jest sygnałem wskazującym na powstawanie i umacnianie się w Rosji etosu obywatelskiego. Cała filozofia AA opiera się na idei oddolnej samorganizacji społecznej i brania przez ludzi swoich spraw we własne ręce, bez oglądania się na instytucje państwowe. To nie przypadek, że na przykład w Polsce ruch ten rozwinął się na fali obywatelskiej rewolty Solidarności.

– Ale etos obywatelski to jeszcze nie wszystko. Wszak nie jest też przypadkiem, że ruch AA tak masowo rozwinął się tylko w dwóch krajach na świecie: w USA i w Polsce. W wielu państwach Europy Zachodniej, gdzie postawy obywatelskie są mocno zakorzenione i mają długą tradycję, Anonimowi

Alkoholicy nie odnieśli aż tak wielkiego sukcesu.

W filozofii AA obok etosu obywatelskiego równie ważny jest indywidualizm. Ten ruch polega na spontanicznym organizowaniu się ludzi w grupy wsparcia psychologicznego, ale każda jednostka zachowuje autonomię i wolność wyboru. Grupa niczego jej nie może narzucić ani powiedzieć, jak postępować i jak żyć, co jest dla konkretnego człowieka dobre, a co złe. Każdy w grupie wypowiada się we własnym imieniu i mówi o swoich własnych doświadczeniach. Inni mogą z tego skorzystać albo nie.

AA to oferta szczególnie atrakcyjna dla społeczeństw, w których silne są skłonności indywidualistyczne. Być może pod tym względem Polacy są bardzo podobni do Amerykanów. Myślę, że Rosjanie są inni, i nie sądzę, by tego typu ruchy pomocy wzajemnej rozwinęły się tam równie żywiołowo jak u nas. Widać też, że w Rosji duchowy patronat nad grupami Anonimowych Alkoholików stara się rozciągnąć Cerkiew prawosławna.

Tak czy inaczej, po likwidacji komunizmu Rosja zaczyna trzeźwieć. Czyli może jednak korzeni rosyjskiego pijaństwa trzeba szukać

w systemie sowieckim, a nie w tradycji narodowej?

– Ta sprzeczność jest pozorona, bo przecież rosyjski model beznadziejnego zdania się na los znalazł kontynuację w systemie sowieckim. I dawna Rosja, i Związek Radziecki jednakowo ubezwłasnowolniały ludzi i tłamsiły ich energię.

Gdy po roku 1991 zawitały tu wolność i rynek, sytuacja zaczęła się gwałtownie zmieniać. Zaobserwowałam to w czasie szkoleń, które organizujemy w Polsce dla rosyjskich terapeutów. 40-letnia pani doktor entuzjastycznie wyznała mi: „Niedawno rozmawiałam z mężem i powiedziałam mu, że moje życie już się skończyło; a tymczasem po tym, co tu zobaczyłam, dochodzę do wniosku, że dopiero się zaczyna”.

A co takiego w Polsce zobaczyła?

– Alkoholików, którzy nie piją. Przez całe lata zajmowała się w Rosji uzależnionymi, ale miała świadomość, że to jest bez sensu, bo oni i tak będą pili dalej. A tu nagle zobaczyła tłumy naszych pacjentów, którzy są trzeźwi. Jej praca i życie w jednej chwili nabrały sensu.

Ten proces odzyskiwania wiary w sens własnych wysiłków narasta lawinowo, bo teraz

już Rosjanie nie muszą jeździć za granicę, by się o tym przekonać. Dorobili się własnych trzeźwych alkoholików i własnych ośrodków terapeutycznych, które powstały między innymi dzięki naszej pomocy.

Jak to się stało, że akurat Polacy tak zaangażowali się w pomoc dla Rosji w tej dziedzinie?

– Traktujemy to jako spłatę moralnego długu, który zaciągnęliśmy w latach 80., kiedy to my otrzymaliśmy taką samą pomoc od kolegów z Zachodu. Nasi specjaliści za darmo jeździli na szkolenia do USA, ludzie stamtąd przyjeżdżali do nas. W efekcie polski system terapii uzależnień spełnia dzisiaj najwyższe światowe standardy.

I teraz jeździmy z misją na Wschód? Za trzeźwość waszą i naszą?

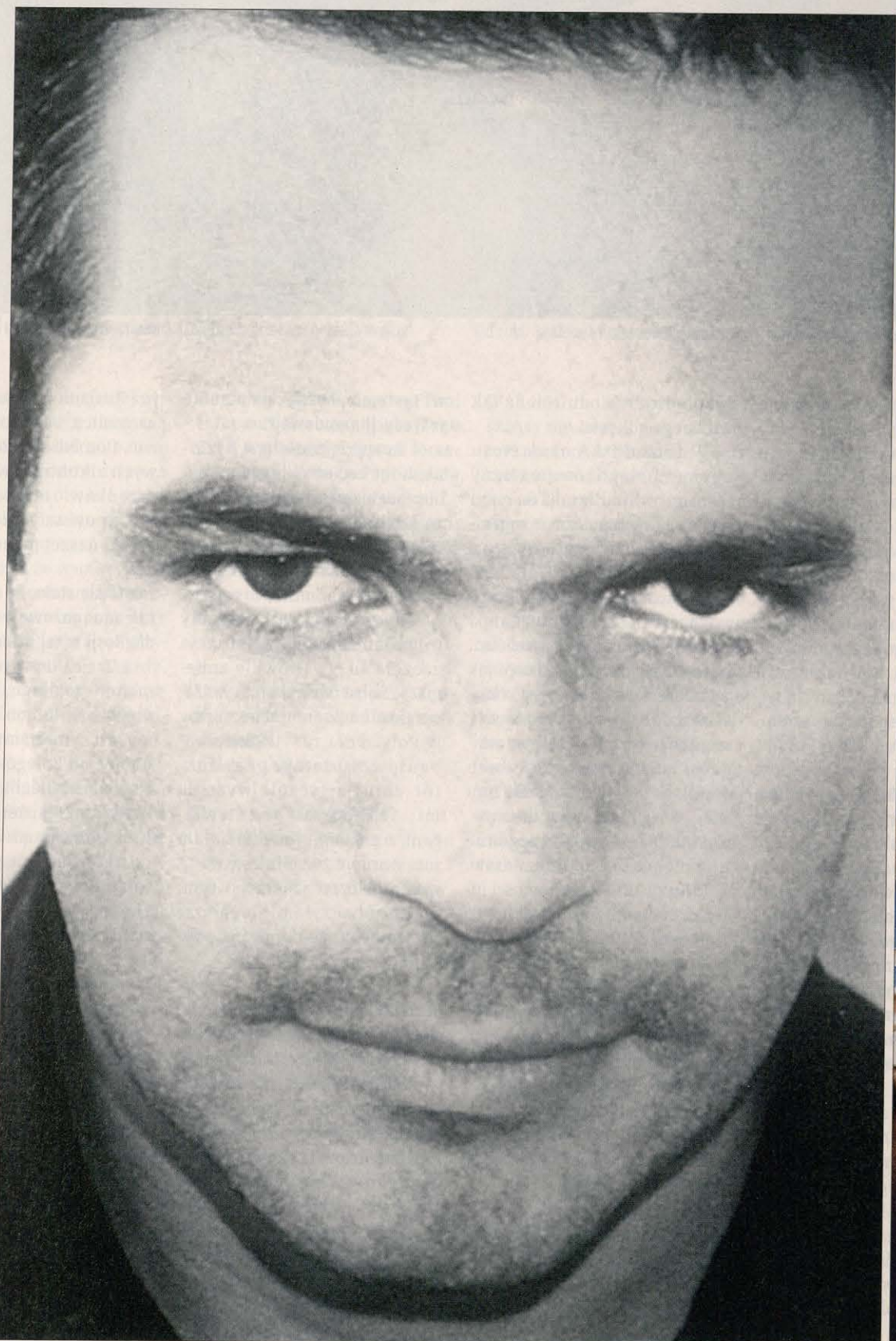
– W słowie „misja” zawiera się element poczucia wyższości. My tam nie jeździmy, by ratować Rosję, to po prostu normalna współpraca i wymiana doświadczeń pomiędzy kolegami-specjalistami z dwóch krajów. Nie niesiemy posłannictwa, a jedynie przekazujemy nasze doświadczenia i wiedzę.

Rozmawiał **WOJCIECH MAZIARSKI**

ILUSTROWANA BIBLIA SNOBIZMU

MARCEL ANDINO VELEZ

Jest ich milion. Globalna sekta. Wierzą w luksus i piękne przedmioty. „Wallpaper*” to cyniczny magazyn nie wiadomo o czym



Tyler Brûlé,
33-letni
Kanadyjczyk,
twórca
„Wallpaper*”.
Obok:
Bezwstydne
zamiłowanie
do luksusu
i subtelna ironia
– oto „Wallpaper*”

wally_b

this page: Blouse, £32 by M...
Sunglasses, FF1 200, by M...
FF22.000, both by Christian D...
Earrings, from a selection by M...
Compact and lipstick, from a
selection by Estée Lauder,
opposite page: Argyle sweater,
by Pringle, from Selfridges.
Turtleneck, £610, by Gucci, C...
£39, by Holland & Holland



THURSDAY MAMA HE HA... D THAT LARS LEAVE THE BOAT. I'M INCONSOLAT... AFTER IRONING ALL THE CREASES OUT OF HER ISSEY MIYAKE

300 wallpaper*

Oto środki, które poprawią twoje życie:

01 – mleko kakaowe; 02 – porządne kąpie-
lówki; 03 – porządny zegarek; 04 – dobre stare
radio w drewnianej obudowie; 05 – niezła bie-
lizna; 06 – trzcinowy chodnik; 16 – kawałek
błękitnego nieba; 18 – helikopter; 22 – własna
wyspa. I tak dalej. Aż do 50.

Nic nie rozumiesz, prawda? To zacznę
inaczej.

Oto 25 postulatów, jak poprawić warunki
podróżowania po świecie:

01 – Załogi linii Air Canada muszą dostać no-
we mundury. 02 – Jeśli w samolotach nie wol-
no używać metalowych sztućców, to należy dać
pasażerom drewniane. 03 – Linie lotnicze mu-
szą zainstalować ekspresy do kawy na pokła-
dach swoich samolotów. 04 – Lotniska powin-
ny być otwarte całą noc, tak, by można było
na przykład wylecieć z Paryża po północy.

I tak dalej. Znow nic nie rozumiesz, ale za-
czynasz się domyślać, że chodzi o to, iż świat
jest dziwny.

Anioły z magazynem

W marcu 1994 roku Tyler Brûlé miał 25 lat.
Od dwóch lat pisywał do brytyjskiego wydania
„Elle”, do „Times’a” i do niemieckiego „Stern’a”.
Jeździł coraz więcej po świecie. Z fotografikiem
Zedem Nelsonem trafił do Afganistanu. Mieli
zrobić materiał o organizacji humanitarnej
Lekarze bez Granic. Nie zdążyli. Ich tereno-
wą toyotę na przedmieściach Kabulu ostrzela-
ła bojówka mudżahedinów. Powłokę samocho-
du przeszły 39 kul karabinowych. Dwie
utkwily w lewej ręce Tylera, jedna przebiła
na wylot prawą. Nawet sufit toyoty był zalany
krwią.

Po kilku dniach Brûlégo przewieziono
do Londynu. W szpitalnym łóżku przeleżał kil-
ka miesięcy. Mimo paru operacji nie odzyskał
pełnej sprawności w lewej ręce.

– Dużo myślałem o tym, co jest dla mnie
najważniejsze. Najważniejsi są przyjaciele,
wspañiały dom i możliwość podróżowania
– opowiada. Naszpikowany środkami przeciw-
bólowymi miewał wizje. W tych wizjach
wszystko było piękne. Każda rzecz wyglądała
jak dzieło sztuki. Brûlé widział też anioły wer-
tujące opasy, kolorowy magazyn.

Co cię otacza?

Dobra architektura, wyrafinowane wnętrze, modne knajpy, wykwintne jedzenie, seksowne ciuchy. Do tego tęsknił Brûlé przykuty do szpitalnego łóżka. Wymyślił pismo, które połączy to wszystko. Chciał, by jego magazyn pozwalał czytelnikom zanurzyć się w innym, lepszym świecie. Lepszy świat nie-

rozerwalnie kojarzył się Tylerowi z rytmem i energią wielkiego miasta. Żyć na najwyższych obrotach, cieszyć się chwilą, czerpać ze świata garściami. I nie odkładać pieniędzy na później. Tego nauczyła Tylera przygoda w Afganistanie.

Gdy tylko wyszedł ze szpitala, poszedł z kumplem na obiad. Mówił, mówił i mówił

o swoim pomysle, aż tamten poprosił, by podsumował. „To ma być o wszystkim, co nas otacza” – powiedział Brûlé. „A co nas otacza?” – kumpel chyba nie chwycił do końca. Tyler się wściekł. Potoczył wzrokiem po restauracji i warknął: „Tapeta nas otacza!”. Tak powstał tytuł przyszłego pisma – „Wallpaper”. Wszystko, co cię otacza”.

To był ten moment

Był rok 1995. Światowa gospodarka przeżywała boom. Rzesze bogacących się 30-latków zarzucały plany wyprowadzki do domów z ogródkami na przedmieściach. W wielkich metropoliach odkrywano urok rowerów i sprawnej komunikacji zbiorowej. Wznoszono wizjonerskie muzea i dworce. Rozkwitał

„nowy urbanizm”. Londyn stał się stolicą wszelkich mód – muzycznych, odzieżowych, wnętrzarskich. Tu narodziła się muzyka klubowa i nowy styl życia zwany *clubbingiem*. Tyler Brûlé szlifował swój concept miesięcznika dla młodych, zamożnych, podążających za najnowszymi trendami mieszkańców. „Wallpaper*” miał skupiać architekturę, wzor-

nictwo, podróże i rozrywkę, zaś moda miała to wszystko łączyć w całość. Globalne pismo o wszystkim, co piękne i modne. Idealna oferta dla reklamodawców. Zebranie 300 tysięcy funtów potrzebnych na wydanie pierwszego numeru zajęło Tylerowi kilka miesięcy. Rząd brytyjski udzielił młodemu dziennikarzowi grantu w wysokości kilkudziesięciu tysięcy funtów. Odszkodowanie za częściowe inwalidztwo Brûlé wydał, by objechać grupę wpływowych osób ze świata mody i biznesu w Kalifornii, Nowym Jorku, na Florydzie i we Włoszech. Przekonanie ich nie sprawiło mu większej trudności. W robieniu dobrego wrażenia jest bezkonkurencyjny – jego pierwszą posadą w Wielkiej Brytanii miała być praca archiwisty w BBC. Po rozmowie kwalifikacyjnej Tyler od razu trafił na wizję jako reporter. Miał 19 lat i żadnego doświadczenia. W Kanadzie zdążył przez rok studiować dziennikarstwo. Tym razem było podobnie. Reklamodawcy słuchali Tylera z zachwytem. Zagwarantowali budżety reklamowe na kilka pierwszych numerów, mimo że Tyler żądał stawek niemal równie wysokich co „Vogue”. Grosza nie szczędził też Patrick Cox, słynny brytyjski projektant butów, ówczesny kochanek Tylera.

Szał

Pierwszy numer złożyło do kupy siedem osób stłoczonych w pokoju jednego z hoteli w Wiedniu. Tu akurat było najtaniej. Trafił do brytyjskich salonów prasowych w maju 1996 roku. Tyler Brûlé miał 27 lat. Jego „Wallpaper*” rozszedł się w 40 tysiącach egzemplarzy. Kilkusetstronicowy magazyn za prawie cztery funty zniknął z półek bez specjalnej reklamy. Londyńskie sny nie mówiły o niczym innym. Wszystkich, którym wpadł w ręce, zachwycił swoim pięknem. Chłodnym minimalizmem.

Oto, co o „Wallpaper*” mówią na forum internetowym jego fani:

– Każda strona, którą przewracasz, jest biletem do kolejnego fantastycznego świata. Przeglądając „Wallpaper*”, w wyobraźni wydaję pieniądze, o których nigdy nie dowie się mój bank. Ale to tak wspaniałe miejsce, że nie wstydę się przyznać, iż chciałabym tam żyć. „Wallpaper*” budzi w każdym z nas ukrytego kapitalistę – pisze Vanity.

– Dla nich najważniejsza jest chwila. Chwytają ten dreszczyk, który odczuwasz, siedząc w kawiarni w Sztokholmie po zjedzeniu najlepszego w swym życiu tiramisu. Najlepszego ze względu na smak, otoczenie i nastrój (Druzba).

Ludzie sfotografowani jak przedmioty, przedmioty fotografowane jak ludzie – w „Wallpaper*” wszystko jest subtelną grą z czytelnikiem



from left to right: Coat, £30; hat with earflaps, £11, both from Lawrence Corner. Scarf, about £112,500, by Fendi. Fur coat, from a selection, by Dolce & Gabbana. Bra and knickers, both from a selection, by Prada. Gloves, £35, by Jo Gordon, from Liberty. Shearling coat, £2,295, by Versace. Bra, £16; knickers, £29, both by Calvin Klein. Cashmere socks, £19, by Brora. Wallpaper, silver birch, flooring and fireplace, as before

For stockists, see Resources, page 304

Step 6. BE NICE WHEN THE MUNICIPAL ROAD WORKER SHOWS UP TO PLOUGH THE FRONT DRIVE. MAKE SURE THE WELCOME IS WARM

- Smukłe palce trzymające papierosa. Wilgotna skóra modelek. Seksualne niuanse przykryte futrzanym kocem od sióstr Fendi. Najlepsze lotniska świata. Grillowane kanapki z szynką parmeńską. Plastikowe moduły mieszkalne, domy z bali. Najlepsze zaś jest to, że pismo samo siebie traktuje z przymrużeniem oka. Oni wiedzą, że to wszystko bańka mydlana (Douglas77).

- Restauracje, salony, meble rodem z filmów *science fiction*, kompletnie nieznane zakątki ziemi - „Wallpaper*” budzi żądze posiadania, której w żaden inny sposób nie odkryłbyś w sobie. Na szczęście, pozwala tę żądzę równie szybko rozładować (Liva).

- Jego największą wadą jest to, że z ciebie drwi. Ale to również jego największa zaleta (Atom).

Wspomnienie niebieskiej kamizelki

Tyler Brûlé jest jak magazyn, który stworzył. Nierealnie przystojny, nierealnie bogaty. Nawet nazwisko ma snobistyczne. Gazety tytułują go „najmodniejszym facetem Wielkiej Brytanii”, prorokiem, guru, wyrocznią. 33-letni prorok nosi buty od Prady, koszule od Prady, płaszcz od Prady. W szafie ma 25 par kąpielówek. Na rękę złotego roleksa. Gdy oprowadza dziennikarzy po swym szokującym apartamencie, chętnie wymienia, który mebel pochodzi z jakiej firmy. To jak przegląd reklam w „Wallpaper*”. Tyler kolekcjonuje małe modele samolotów. Na biurku w ultra-designerskiej siedzibie redakcji stoi miniaturowa Concorda. Są tygodnie, gdy Tyler dwukrotnie lata ponaddwukowym odrzutowcem do Nowego Jorku i z powrotem. U ludzi nie lubi egoizmu, u siebie braku punktualności. Kocha dwie kobiety - swoją matkę i Holly Golightly, bohaterkę „Śniadania u Tiffany'ego”. Najbardziej lubi pić szampana na własnej wyspie u wybrzeży Szwecji.

Gdy dziennikarka „The Guardian” zapytała go o najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa, odparł serio: „To były moje pierwsze urodziny. Siedziałem na wysokim krzeselku i wyciągałem ręce do babci, która niosła wielki tort owocowy. Miałem wtedy na sobie biały golfik i granatową kamizelkę”.

Na zakupy

Londyńskie Muzeum Wzornictwa istnieje od 12 lat. Jest bardzo popularne. Jesienią roku 2000 zarządzająca muzeum fundacja Conrana zwróciła się do Tylera Brûlégo z propozycją.

- Dajemy ci czek na 30 tysięcy funtów. Idź w miasto, zrób zakupy, a my pokażemy, na co wydałeś pieniądze - proponowali. Tyler czek przyjął. Wystawa okazała się hitem. Przez kilka miesięcy tłumy miłośników pięknych rzeczy oglądały maselniczki, otwieracze do kon-

serw, włoskie kanapy, wieszaki, patelnie, baterie bidetowe. Brûlé kupił też sporo ciuchów. Wszystko trafiło do stałej kolekcji muzeum.

Crème Brûlé

Tyler to jego drugie imię. Tak naprawdę nazywa się Jayson Tyler Brûlé. Przestał być Jaysonem, gdy wyprowadził się od rodziców. Urodził się w Winnipeg w kanadyjskiej prowincji Manitoba. Jego ojciec to legenda futbolu amerykańskiego. W latach 70. Paul Brûlé był niemal bohaterem narodowym Kanady. Często zmieniał kluby. Rodzina Brûlé wciąż się przeprowadzała. Tyler w każdej kolejnej szkole przeżywał ten sam koszmar.

- Jayson Brûlé? Syn Paula Brûlégo? Zapiszemy cię do szkolnej drużyny futbolowej, będziesz naszą gwiazdą - powtarzali nauczyciele WF-u. Tyler za każdym razem odmawiał. Nie nawidził futbolu.

Odkąd skończył siedem lat, wiedział, że bardziej od kobiecego podoba mu się ciało męskie. O swych preferencjach powiedział matce, gdy poszedł na studia. Paul Brûlé dowiedział się, że jego syn jest gejem, z wywiadu prasowego w roku 1996. Od tej chwili nie rozmawia z Tylerem.

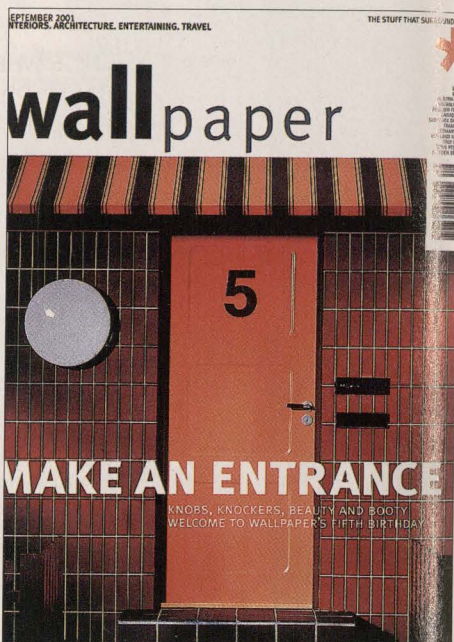
Pierwsza okładka „Wallpaper*” przedstawia piękną dziewczynę w łóżku z przystojnym chłopakiem. Drugi półnagi chłopak siedzi na krawędzi łóżka. Tę okładkę - jak i wszystkie następne - wybrał Tyler. „Chłopcy i dziewczyny, chłopcy i chłopcy, dziewczyny i dziewczyny - kto z kim w końcu pójdzie do łóżka, tego nigdy nie sugerujemy” - tłumaczył swą strategię na łamach „New York Times”. Od tego czasu układ „dwa plus jeden” zrobił wielką karierę w marketingu.

Po pierwszych trzech numerach „Wallpaper*” rozpadł się związek Tylera i Patricka Coksa, projektanta obuwi. Choć pismo ukazywało się na rynku zaledwie rok, na początku roku 1997 jego sukcesem zainteresował się amerykański gigant medialny - koncern Time Warner. Po kilkudniowych negocjacjach za wciąż jeszcze raczkujący miesięcznik zapłacono Tylerowi 1,6 miliona dolarów. Brûlé zachował 15 procent akcji i stanowisko kierownicze w piśmie. Amerykanie mieli się też nie wtrącać w finanse. Londyn huczał od plotek.

Tyler Brûlé jest powszechnie nie lubiany. Mówi się o nim, że jest arogancki, pyszałkowaty, kapryśny. Jego ekstrawagancje wywołują politowanie. Rolex, z którym parady, uchodzi za synonim nuworyszostwa. Nazwisko jak francuski deser - drwią niektórym.

Przez sześć lat ukazywania się pisma nikt z początkowego składu redakcji nie opuścił Tylera. Dziś „Wallpaper*” zatrudnia dziesiątki osób na całym świecie. „Nigdy nie ufaj nikomu” - to odpowiedź Tylera na pytanie, jakimi zasadami kieruje się, prowadząc swój magazyn.

„Wallpaper*” bywa atakowany jako organ propagandowy postyuppie'zmu. Oskarża się go o skrajny materializm, o kompletną bezideowość. W sterylnym świecie „Wallpaper*” z trudem można wypatrzeć Afrykańczyka lub Azjatę. W łasce jest nordycki typ urody, czasem przesadnie nordycki. Lapończyków na zdjęciach z Laponii nie widać, Arabów w Zjednoczonych Emiratach też nie. W jednym z ostatnich numerów „Wallpaper*” zaprezentował unikatowe zdjęcia architektury Phenianu. Pozwolenie na sesję załatwiano dwa lata. Oglądamy frapujące betonowe struktury, wielkie studiony i sale koncertowe. Ani śladu żywego człowieka. W artykule nikt nie pisał o głodzie i dyktaturze. Wszystko w tonacji ironicznej.



Sprawa polska

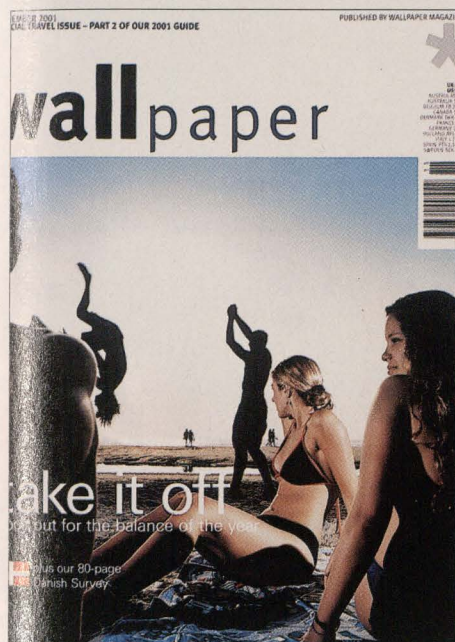
„Wallpaper*” to pismo o wszystkim, co *hip*, *cool* i *sexy*. *Hip* może być nowy sushi-bar w Montevideo. *Cool* - budynek nieczynnego kina w Nairobi. *Sexy* - futurystyczny hotel z lat 70. w czeskich Sudetach. Wysłannicy Tylera bezustannie przeczesują ziemię. Nie omijają miejsc takich jak Libia, Gwinea Równikowa, Armenia. Zawadzili też o Polskę. W październikowym numerze słowo „Polska” i biało-czerwona flaga trafiły nawet na okładkę. To wyjątkowa nobilitacja. Wewnątrz - 22 strony poświęcone „wschodzącej gwiazdzie”. O pokierowanie produkcją sesji fotograficznej poproszono Martę Pruską, absolwentkę łódzkiej Filmmówki.

- Słyszałam o „Wallpaper*”, że to odlotowy magazyn. Ale myślałam, że to zupełnie inny odlot. A tu dostałam zaproszenie do Bristolu. Wyjechałam do mnie dziewczyna obwieszona złotem,

w designerskich ciuchach i kłapeczkach od Prady. Ariel Childs, dyrektor kreatywny. Wyluzowana, ale z mocno snobistycznym zacięciem - opowiada Marta.

Celem artykułu miało być pokazanie, że narodziła się nowa Polska. Ekipa z góry wiedziała, co chce sfotografować. Żubry, żubrówkę, „malucha”, Ursynów, bar mleczny, polski plakat, falowiec w Gdańsku. Trochę architektury i mody. Ariel zażądała zdjęć, na których będzie widać, jak nowe łączy się ze starym. Po czym zostawiła ekipę i wyjechała. Marta starała się pokazać coś więcej niż żubry i „maluchy”. Ekipa z Londynu nie wykazała zainteresowania.

Jedyne, co zachwyciło wallpaperowców w Polsce, to imponujący biurowiec Focus



„Wallpaper*” to tylko forma. Widzimy zdjęcia, ale nie odwzorowują one żadnej rzeczywistości

Filtrowa w Warszawie autorstwa Stefana Kuryłowicza. Architekt nie wiedział, że „Wallpaper*” chce sfotografować jego dzieło. Z kolei właściciel budynku nie wiedział, że „Wallpaper*” to światowa biblia dobrego smaku. Żądał pieniędzy za prawo do sfotografowania gmachu. Kosmopolici z „Wallpaper*” zdumieili się i odmówili zapłaty. Zamiast Focusa w bibliotece dobrego smaku zamieszczono zdjęcie skandalicznego biurowca TP SA przy ulicy Moniuszki, otoczonego walącymi się czynszówkami. Tak w Polsce stare łączy się z nowym.

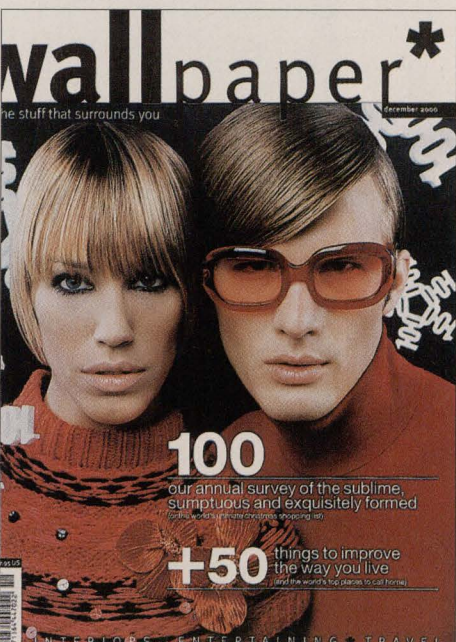
Moda na Brok

- Zrozumiałam, jak funkcjonuje to ich zadanie na luksus. Szampan, limuzyny, Bristol, superzarcie. Totalny *high life* na koszt firmy. Ale wielkich kokosów nie zarabiają - opowiada Marta.

Przez tydzień pracy dla „Wallpapera*” jej komórka dzwoniła jak oszalała. Numer do Marty stał się w Warszawie najgoręcej poszukiwanym towarem. Dzwonili styliści, fotograficy, redaktorzy modnych pism.

W tym samym numerze magazynu zamieszczono artykuł o słoweńskiej stolicy Lublanie. Pokazano miasto pulsujące awangardową sztuką, dbające o estetykę, na wskroś kosmopolityczne.

Polska wypadła ponuro. Fotograf pomylił polską sztukę plakatu z ohydny ulicznymi billboardami. Mimo zabiegów Marty wpadki nie udało się w porę usunąć. Prawdziwą perłą jest za to zdjęcie z baru mlecznego na warszawskim Marymoncie. Wygląda naprawdę *sexy*.



Wielkie brytyjskie miasta zawieszone były reklamami „polskiego” numeru „Wallpaper*”. Biblia dobrego smaku podzialała. Brok, jedyne polskie piwo dostępne w londyńskich klubach, przez kilka tygodni był obowiązkowym napojem młodych kosmopolitów.

Magia seksownego oświetlenia

Jesienią ubiegłego roku upadły szwajcarskie linie lotnicze Swissair. „Wallpaper*” w swych corocznych rankingach na najbardziej luksusowe i designerskie linie od początku umieszczał Szwajcarów na pierwszym miejscu. Tyler bardzo przeżył upadek swych ukochanych linii. Postanowił napisać manifest. Manifesty to jedna z ulubionych przez Tylera form komunikowania się ze światem. Szwajcarskie gazety wydrukowały zatem postulaty wizjonera z Londynu. Po pierwsze, linie muszą odwoływać się

do pozytywnego obrazu „szwajcarskości”. Muszą być wytworne, punktualne i nowoczesne. Pasażerowie mają się czuć w samolotach przyszytych szwajcarskich linii jak w domu. Na lotniskach w salonach dla pasażerów pierwszej klasy należy wybudować kominki. Oświetlenie w samolotach należy zmienić tak, by pasażerowie wyglądali seksowniej...

Manifest został ogłoszony zaledwie parę miesięcy po 11 września. Światowe linie lotnicze wyrzucały w tym czasie tysiące pracowników na bruk, setki samolotów odstawały do hangarów. Jak mantrę powtarzano zdanie: „ciąć koszty”.

Jednak zarząd i rada nadzorcza nowych szwajcarskich linii uznały, że to Tyler ma rację.



W styczniu podpisano kontrakt między szwajcarskim konsorcjum a firmą Winkmedia, wydzieloną z „Wallpaper*”. Winkmedia zajmuje się tworzeniem tożsamości wizualnej produktów i firm. Kieruje nią Tyler Brûlé, oczywiście.

Część z ponad półtora miliarda franków, jakie Szwajcarzy uzbierali na nowe linie, powierzono Tylerowi, by zaprojektował to seksowne oświetlenie i kominki. Tyler wymyślił również nową nazwę linii. Zamiast Swissair nazywać się będą Swiss - postanowił kreatywny Kanadyjczyk. Władze spółki znów się zachwyciły. Reszta Szwajcarów nie mogła dopatrzeć się w tym zbytniej innowacyjności.

W ostatni weekend marca, pośród ogólnej mizerii w branży lotniczej, pierwsi seksownie oświetleni pasażerowie mogli podziwiać kolejne dziecko Tylera.

Seksownie podświetlonych pasażerów obsługiwały stewardesy w spódnicach o długich

rozcięciach i stewardzi w uniformach będących echem mundurów SS. Tylerowi nie chodziło jednak o SS. To estetyka żywcem zaczerpnięta z gejowskiej subkultury sado-maso.

Bardzo „wallpaperowy”

Nakład biblii Tylera wynosi 500 tysięcy egzemplarzy. Na całym świecie sprzedaje się łącznie niewiele ponad 300 tysięcy (w Polsce – 200 sztuk). Poziom sprzedaży nie drgnął od kilku lat. „Wallpaper*” wciąż pełen jest reklam, wciąż ustanawia trendy. Często wbrew woli młodych projektantów i architektów.

Zamożna klientela w kosmopolitycznych centrach świata – Nowym Jorku, Londynie, Mediolanie, Sydney i Hongkongu – nie chce słyszeć o niczym, co nie jest „wallpaperowe”.

Kupuje się tylko to, co jest „wallpaperowe”, jada się w knajpach, które są „wallpaperowe”. Jeździ się tylko w miejsca, które są „wallpaperowe”, zamawia się „wallpaperowych” architektów. Estetyka pisma nie zmieniła się zbyt- nio od sześciu lat. To wciąż ten sam retrofutu- ryzm. Kosmiczne wzornictwo inspirowane epoką podboju kosmosu. Moda lat 60. i 70. Modernistyczne meble słynnego duńskiego projektanta Arne Jacobsena. Te wzory mają czasem po 50 lat. Żadna awangarda. Latanie

pierwszą klasą, szampan na pokładzie i firmowe torby linii lotniczych to też rekwizyty przeszłości.

Tymczasem wiara w Tylera nie słabnie. Oto anegdota z jednego z luksusowych nowojorskich salonów meblowych:

Wchodzi małżeństwo. Obydwój- je w okularach od Gucciego i klapkach... od Prady. Przygląda im się projektant. Szep- cze z przekąsem do właścicieli: „Ależ oni są »wall- paperowi«”. Kilka-

naście sekund później klientka głośno wzdy- cha do męża: „Och, jakież ten sklep jest »wall- paperowy«!”.

Zachmurzenie

Nie wszystko, czego dotknie Tyler Brülé, zamienia się w złoto. Próbował wypuścić na rynek luksusowe pismo poświęcone spor- towemu stylowi życia – „Line”. Kłapa. Padła

przesadnie uduchowiona strona internetowa wallpaper.com. Tyler marzy o rozkręceniu sprzedaży towarów z firmową gwiazdką. Na razie udało się wprowadzić do sprzedaży wysyłkowej tylko tenisówki Puma i parę pomniejszych gadżetów. Od lat chce wcisnąć swój program o wzornictwie i modzie do CNN, które należy do tego samego co „Wallpaper*” koncernu AOL Time Warner. Na razie bez suk-

cesu. W jednym z niedawnych wywiadów wyznał, że chciałby stworzyć zupełnie nowy tygodnik społeczno-polityczny oparty na do- brym reportażu. Amerykanie, wydawcy „Time’a”, poprosili, by przestał pleść głupstwa.

Wiosną Amerykanie postanowili wreszcie zdyscyplinować kapryśną wyrocznię. Przy okazji fuzji z wielkim brytyjskim wydawcą prasy koncernem IPC grupę Wallpaper włączy-

no w struktury tegoż koncernu. Tyler szalał z wściekłości. Próbował zebrać kapitał i od- kupić swoją gazetę od AOL Time Warner. Nie udało się. Księgowi z IPC rozpanoszyli się w nieskazitelnych biurach „Wallpaper*”. Naj- pierw zażądali, by Tyler wyszczególnił, ile cza- su tygodniowo poświęca pracy w firmie, a ile spędza na swej wyspie. Tyler pismo w tej spra- wie podał przy wszystkich pracownikach.

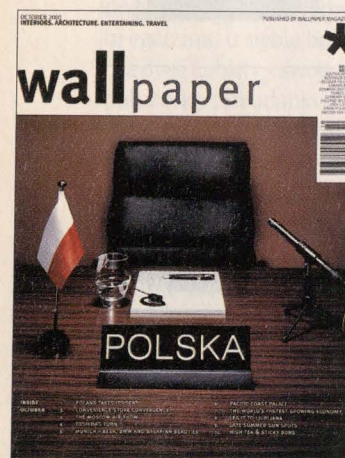
Księgowi zasugerowali, by przestał wysyłać dziennikarzy pierwszą klasą w podróże dooko- ła świata. W końcu koncertem IPC wprowadził do „Wallpaper*” swego człowieka, który kon- troluje finanse. W pierwszych dniach kwietnia Tylerowi odrzucono rachunek za taksówkę w wysokości sześciu funtów. Tyler wpadł w szal. Rzeczniczka IPC z kamienną twarzą poinformowała media: „Owszem, będziemy

honorować rachunki za taksówki pana Brülégo, ale dopiero wtedy, gdy on sam za- cznie regulować swe rachunki za podróże he- likopterem”.

MARCEL ANDINO VELEZ

Korzystałem z artykułów w: „The Guardian”, „The New York Times”, „Sydney Morning Post”, „New York Maga- zine”, „Shift”, „Time”, „The Age”, „Estedao”, „Surround”.

Zdjęcie z październikowej okładki, choć zrobione w Londynie, wywołało krótkotrwałą modę na nasz kraj



Fotel w hotelu Kasprowy i bar mleczny – „Wallpaper*” pokazuje świat wyestetyzowany i odrealniony

WALLPAPER* 303

MATERIAŁ FOTOGRAFICZNY POCHODZI Z ARCHIWUM MAGAZYNU „WALLPAPER”

Jej twarz pokazuje MTV, gwiazdy rocka śpiewają o niej piosenki, ma dyplom Oksfordu i Nagrodę Nobla. Z aresztu domowego po prawie 12 latach wyszła kobieta, którą nazywa się birmańskim Mahatmą Gandhim albo azjatyckim Nelsonem Mandelą

JAKUB MIELNIK

Dama i generałowie

To było piekło. Sześć dni na tylnym siedzeniu samochodu w wilgoci, upale i zaduchu wąskiego zaułka w Rangunie. W poprzek drogi stały wojskowe jeepy i uzbrojeni żołnierze, którzy mieli rozkaz nie przepuszczać auta. Siedziała w nim Aung San Suu Kyi, drobna, szczupła kobieta ubrana w tradycyjny birmański sarong, z kwiatem wpiętym we włosy. Żołnierze nie pozwalali podać jej wody, wyjść z auta ani skorzystać z toalety. Suu Kyi przez sześć dni cierpliwie czekała na przejazd, zanim wycieńczona brakiem wody i jedzenia zdecydowała się zawrócić. To było w lipcu roku 1998.

Kilka tygodni potem znów próbowała wyjechać. Za miastem ponownie zatrzymali ją żołnierze. Znów blokada, tym razem na małym drewnianym moście, gdzie Suu Kyi wytrzymała 13 dni. W końcu przygotowana przez żołnierzy karetka odwiozła ją do domu w stanie skrajnego odwodnienia. I tak, z niewielkimi przerwami, przez ostatnie 12 lat. Blokady jej auta na drogach, zamykanie w dworcowych poczekalniach lub odłączanie wagonów, do których wsiadała. To i tak łagodne traktowanie jak na kogoś, kto zmobilizował naród i wygrał pierwsze i jedyne demokratyczne wybory w Birmie. Generałowie, którzy od 40 lat rządzą tym krajem, zazwyczaj strzelają do każdego, kto próbuje odebrać im władzę. Dla pani Suu Kyi zrobili wyjątek. Bo córki birmańskiego bohatera narodowego, Damy, jak nazywają ją rodacy, wszechwładna armia nie śmie wtrącić do więzienia.

Przez niemal 30 lat Aung San Suu Kyi prowadziła spokojne i wygodne życie w Anglii. Razem z mężem wykładała w Oksfordzie, wychowywała dwóch synów. Gdy wiosną 1988 roku pojechała do Birmy odwiedzić chorą matkę,

nie przypuszczała, że już wkrótce zmieni się całe jej dotychczasowe życie. Kraj, niegdyś jeden z najbogatszych w Azji, zastała w opłakanym stanie. Rządzący nim od 26 lat dyktator generał Ne Win wierzył w socjalizm i numerologię. Zlikwidował system dziesiętny i wprowadzał do obiegu banknoty dziewięciokątowe, bo astrolog powiedział, że dziewiątka przyniesie mu szczęście. Pod jego rządami Birma z głównego producenta ryżu w regionie awansowała do roli światowego lidera w produkcji opium.

- Jako córka mojego ojca nie mogę stać obojętnie - mówiła Aung San Suu Kyi do półmilionowego tłumu w Rangunie w kilka miesięcy po powrocie. W mieście wrzało. Na ulice wyszli studenci, uczniowie i buddyjscy mnisi. Niesli portrety Aung Sana, twórcy niepodległej Birmy, ojca pani Suu Kyi, który zginął w zamachu, gdy jego córka miała dwa lata. Dyktator, który kiedyś był podwładnym Aung Sana, kazał strzelać do bezbronnego tłumu, jednak tym razem dziewiątka nie przyniosła mu szczęścia. Po dziewięciu dniach masakr, w których zginęło prawie dziewięć tysięcy ludzi, armia obaliła dyktatora.

Te wydarzenia na zawsze zmieniły życie wychowanej w dyplomatycznych salonach oksfordzkiej Damy. „Niewiele zostało z mojej dawnej gracji. Jeździę po kraju uwalana błotem, z potarganymi włosami, wdychając kurz wiejskich dróg” - pisała do męża w Anglii. W ciągu 11 miesięcy zmobilizowała rozproszoną opozycję i miażdżącą przewagą głosów wygrała wybory, w których armia liczyła na łatwe zwycięstwo.

Generałowie nie przejęli się jednak porażką. Rozpędzili nowo wybrany parlament, a Damę zamknęli w domowym areszcie. Gdy po wielu staraniach jej mąż Michael Aris dostał w końcu birmańską wizę

i przyjechał w roku 1990 do Rangunu, zastał żonę w doskonałej formie. Medytowała, szlifowała francuski i japoński, grała Bacha na fortepianie. Aris nie wiedział, że widzi Suu Kyi ostatni raz w życiu. W roku 1991 odbierał w jej imieniu pokojową Nagrodę Nobla. Laureatka nie przyjechała, bo bała się, że generałowie nie pozwolą jej wrócić do kraju, w którym popiera ją większość z 45 milionów rodaków. Jej upór naznaczony jest osobistym nieszczęściem. W roku 1999 generałowie nie wpuszcili do Birmy chorego na raka Michaela, który chciał ostatnie chwile życia spędzić z żoną. Na uroczystej ceremonii w Rangunie Suu Kyi obdarowała jałmużną 53 buddyjskich mnichów, po jednym na każdy rok życia zmarłego męża.

- Córka Aung Sana jest jak nasza młodsza siostra - mówi w imieniu armii generał Khin Nyunt, jeden z następców wielbiącego cyfrę dziewięć Ne Wina.

Jednak zwolennicy Damy całymi setkami zapełniają więzienia. Ze swej rezydencji Dama słała w świat apele o wolność dla Birmy, protestowała przeciwko jakimkolwiek angażowaniu się w kraju rządzone przez generałów. Im bardziej generałowie ją izolowali, tym bardziej publiczną osobą się stawała. W ubiegłym roku irlandzki zespół U2 poświęcił jej piosenkę „Walk On”, która zdobyła prestiżową amerykańską nagrodę Grammy. Fragment jej nagranych na wideo wystąpień znalazł się w wideo-klipie do „Walk On”, który przez wiele tygodni emitowały telewizje muzyczne na całym świecie. Miliony ludzi zaczęły się zastanawiać, kim jest ta kobieta, której podobiznę nosi na koszulce Bono, lider U2.

Apele Suu Kyi odniosły skutek. Międzynarodowe naciski i sankcje zmiękczyły birmańskich generałów. Dwa lata temu zezwolili na otwarcie

szkół średnich i uniwersytetów, które były zamknięte od 12 lat. Potem Khin Nyunt usunął najbardziej wrogich wobec Damy generałów i rozpoczął zwalnianie więźniów politycznych. Teraz pozwala wyjść z domu samej „młodszej siostrze”, która w pierwszym od dwóch lat publicznym wystąpieniu przypomina, że jej uwolnienie to dopiero początek. Miliony Birmańczyków głodują, wykonując niewolnicze prace pod lufami karabinów. Opiumowe mafie pod osłoną junty prowadzą legalne, krociowe interesy w kraju, który uznawany jest za jeden z najbiedniejszych na świecie.

Jednak przesądni Birmańczycy są dobrej myśli. Wróżbici w Rangunie zapowiadają lepsze czasy. To pomaga zachować spokój, godność i upór, jakie od lat prezentuje drobna kobieta o trudnym do wymówienia nazwisku, które po birmańsku oznacza „światlisty zbiór dziwnych zwycięstw”.



Birmańscy generałowie kontrolują największe uprawy opium na świecie

FOT. DAVID LONGSTREATH/AP

MARYLA ZIELIŃSKA

MISTRZ, LUPA, GURU

**SPÓJRZMY PRZEZ LUPE
NA KRYSTIANA LUPE.
WŁAŚNIE ZANURZA SIĘ
W SZALEŃCZYM,
TEATRALNYM TAŃCU
Z DIABŁAMI.**

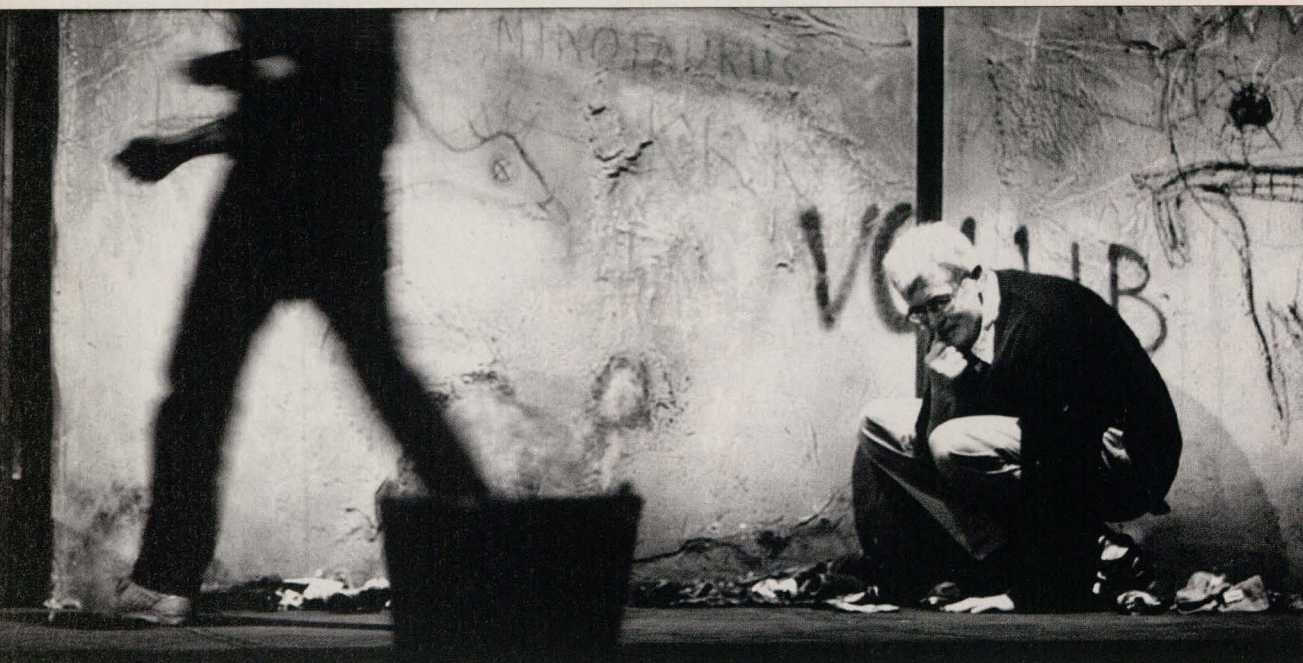
To diabły Bułhakowa z „Mistrza i Małgorzaty”, diabły w nas i w nim samym. Dwudniowy, w sumie ośmiogodzinny, spektakl w krakowskim Starym Teatrze to najpewniej teatralne wydarzenie roku. Patrzmy na Lupe przeddiabelskiego!

Ma 59 lat, imponującą siwiznę, ale nikomu nie przychodzi do głowy myśleć o nim jak o starszym panu. Może sprawia to spontaniczny sposób bycia? Umiejętność nawiązywania kontaktu z każdym pokoleniem? Nonszalancki ubiór i smukła sylwetka?

Przyglądając się jego biografii i twórczości, bynajmniej nie myślimy o Październiku '56, Marcu '68 i wszystkich tych polskich miesiącach. Zanim związał się z teatrem, próbował studiować fizykę, malarstwo, grafikę. Potem był jeszcze film. W roku 1969 dostał się do łódzkiej Filmówki na reżyserię. Wyrzucano go z drugiego roku. Zafascynowany Jeanem-Lukiem Godardem, francuską Nową Falą robił etiudy, które wyprzedzały to, co proponuje dziś Dogma. Wtedy uznano to za dziwaczenie. Sam teraz tamtym pomysłem przypisuje manieryczność.

Epatowaliśmy swobodą erotycznych zachowań

Uchodził za jednego z pierwszych hipisów, ale nie ideowych. Farbował włosy na fioletowo, chodził w kozuchu, kolorowych koszulach i szerokich spodniach szytych przez ciocię według jego szokujących projektów.



Krystian Lupa przy pracy – wznowienie „Powrotu Odysa” w Teatrze Dramatycznym w Warszawie

W Łodzi wyobrażał sobie, że jest ekstraktem awangardy. „Obracaliśmy się w wąskiej grupce wzajemnej adoracji. Uważaliśmy się za półbogów. Bardzo obnosiliśmy się ze swoją bezkompromisowością, epatowaliśmy, co wtedy było jeszcze bardzo szokujące, odmiennością seksualną i swobodą erotycznych zachowań, nawet w miejscach publicznych. Bawiliśmy się pocziwymi ludźmi”.

„Katastrofa w szkole filmowej pomogła mi wydobyć się z narcystycznego kokonu”. Właśnie wtedy odkrył dla siebie teatr, rozpoczął współpracę ze studencką sceną Cytryna. Zasugerowano mu, by zdawał na reżyserię teatralną do Warszawy. Niestety, na egzaminie nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, kogo spotkał Juliusz Słowacki w teatrze w Paryżu w roku 1832. Potem dostał zadanie, by odegrać omdlenie. Upadł do tyłu (jak zwykła to robić jego matka), a nie do przodu – co wedle profesora było medycznie jedyną możliwością. Oblał.

Zdał w następnym roku (1973) na właśnie utworzony w krakowskiej szkole teatralnej Wydział Reżyserii Dramatu. Został studentem Konrada Swinarskiego, wkrótce jego asystentem przy „Hamlecie”. Jednocześnie był pod ogromnym wrażeniem Cricot 2. „Po »Umarłej klasie« byłem opętany Kantorem. Kantor to było coś świętego. Pamiętam, że z jego powodu pobiłem kogoś i obsypałem cukrem”.

Jako świeżo upieczony reżyser wyładował w Jeleniej Górze, jednocześnie miał możliwość pracy w Starym Teatrze. Jak Kantor pisał manifesty do każdego spektaklu, szukał w nich języka nowego teatru. Maszynopisy wciskane widzom do rąk nie grzeszyły jednak komunikatywnością. „Nadymałem się, zabijając to, co własne” – tak to zobaczy po latach.

W jeleniogórskim teatrze szybko zgromadził wokół siebie zespół opętanców, który funkcjonował niemal jak klasztor (*nota bene* Lupa pisał wtedy powieść „Klasztor nasłuchujących” o grupie ludzi żyjących na wzór bohaterów wczesnych dramatów Witkacego). Byli ze sobą 24 godziny na dobę. Próbowali, grali, gadali do rana, pili wódkę, czytali, słuchali muzyki, chodzili po górach. „Wodził nas jak kwocka swoje kurczęta” – ocenia Irmina Babińska, aktorka tamtejszego teatru. Ta wspólnota ludzi-artystów znajdowała odbicie na scenie, choćby w Witkacowskich „Pragmatystach” czy „Macieju Korbowie i Bellatrix”. Klan rozpadł się po kilku latach w sposób naturalny: niektórzy pozakładali rodziny, inni mieli poczucie, że gdzie indziej czeka ich kariera. Pomagała też atmosfera smuty po stanie wojennym.

Potem nastał czas wyłącznie Starego Teatru. Fascynacja czystą metafizyką z ducha Witkacego przeszła w zainteresowanie etyką i doświadczeniem religijnym. Przyszedł czas na Dostojewskiego, literaturę austriacką, Czechowa, a z nimi na szersze kręgi widzów.

Od kilku lat pracuje także w Teatrze Polskim we Wrocławiu i stołecznym Dramatycznym. Wszędzie zdobywa sobie grono wiernych współpracowników. „Jak się z nim człowiek spotka, nie może już nie być jego aktorem” – stwierdził Adam Ferency po premierze „Powrotu Odysa” Stanisława Wyspiańskiego, pierwszego warszawskiego spektaklu Lupy.

Lupa do Lupy

„Szانونi Państwo! Jest to lupa służąca do oglądania Krystiana Lupy przez Lupa. Lupa należy trzymać w lewej ręce w odległości dziewięć i pół centymetra od prawej gałki.

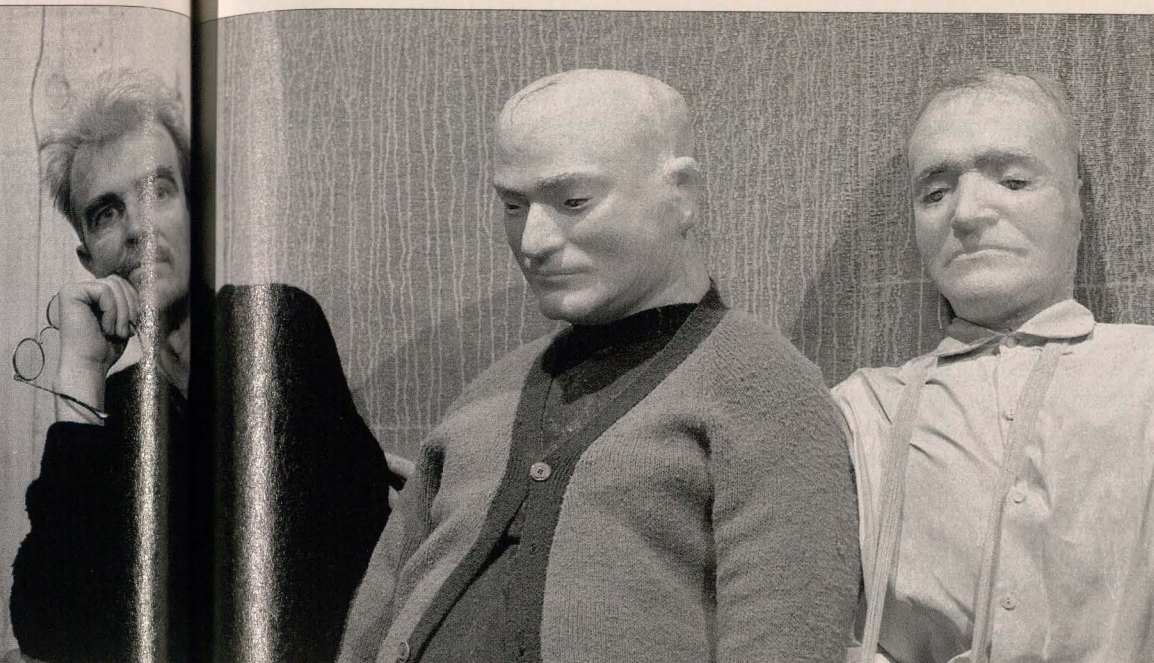
Przed użyciem zamówić drinka. Gwarancja: do rana”.

Powyższą Instrukcję Obsługi Lupy rozdano 20 lutego 1992 roku o godzinie 21 w Krakowie przy ulicy Starowiślniej 10. Stary Sklep i Stara Galeria zaprosiły w ten sposób na aukcję suknerek szytych według projektu Krystiana Lupy do spektaklu „Malte”. Wszystko działo się w trakcie pamiętnego Tygodnia Krystiana Lupy, w którym miasto żyło premierą adaptacji powieści Rainera Marii Rilkego i innymi, mniej oczywistymi, przejawami osobowości twórczej reżysera.

Nie wiadomo, ile Lupa do oglądania Lupy zachowało się do dziś. Niektóre bez wątpienia trafiły we właściwe ręce, od tego bowiem czasu jego teatr z niszowego zjawiska dla „lupomanów” zamienił się w dzieło o europejskiej renomie.

Niewiele wcześniej, bo w kwietniu roku 1990, odbyła się premiera „Braci Karamazow” według Fiodora Dostojewskiego. Spektakl był niekwestionowanym sukcesem Krystiana Lupy i aktorów Starego Teatru. Prawdziwe teatralne święto. Pechowo jednak trafiło na zmianę dyrekcji. Tadeusz Bradecki, który zastąpił Stanisława Radwana, uznał spektakl za propozycję o zbyt niskiej oglądalności i po 32 przedstawieniach zdjął z afisza. Zdażył go jednak zobaczyć szef programowy paryskiego Festiwalu Jesiennego. Było to jedno z jego największych przeżyć teatralnych.

„Już wtedy – wspomina Krystian Lupa – chciałem zaprosić »Braci Karamazow« do Paryża, ale z jakichś przyczyn do wyjazdu nie doszło”. Po latach doprowadził natomiast do pokazania w l’Odéon – Théâtre de l’Europe adaptacji powieści Hermanna Brocha „Lunatycy”. Dwuczęściowy, ponaddziesięciogodzinny



Przygotowania do „Maltego” na Scenie Kameralnej Starego Teatru w Krakowie

spektakl Starego Teatru francuscy krytycy uznali za najlepszą zagraniczną prezentację sezonu 1998/1999. Po tych występach Lupa otrzymał propozycję przyjazdu z... „Braćmi Karamazow”.

Lupa: „W pierwszym odruchu uznałem to za pomysł całkiem nierealny, ale nagle coś zaświeciło mi w wyobraźni. Miewam bardzo często sny, że niespodzianie mamy grać znowu... gdzieś... któreś z dawnych przedstawień. Teatr jest zupełnie inny, nieznan, przestrzeń jakaś dziwna, stawia opór, scenografia się w niej nie mieści. Ale walka z tymi przeszkodami wyzwala twórczą wolę i spektakl toczy się gdzieś własnym rozpędem i przybiera kształt zupełnie nieobliczalny. Pomyślałem więc, że rzeczywistość daje mi możliwość zrealizowania takiego snu. W dniu, kiedy dostałem list, graliśmy »Lunatyków«. Powiedziałem o nim aktorom. Zareagowali spontanicznie i jednomyślnie. Dyrekcja teatru [nowa: Jerzy Koenig – przyp. M.Z.] również natychmiast zaakceptowała pomysł wznowienia”.

Po dziewięciu latach od premiery – sprawa bez precedensu!

Oni muszą mieć guru

Wznowieni „Bracia Karamazow” odnieśli sukces w Paryżu. Lupa wspomina, że młodzi Francuzi zaczepiali go w antraktach. Nie tyle chcieli rozmawiać o spektaklu, ile pytali o Boga, śmierć, drogi ludzkiego poznania. Trochę się wystraszył tej potrzeby obcowania z nim.

„Polski cud teatralny” – oznajmił po wizycie „Braci...” na Wiener Festwochen 2000 Luc Bondy, reżyser i dyrektor tego festiwalu. Należałoby powiedzieć, że raczej kolejne jego wcielenie po „cudzie” Jerzego Grotowskiego i Tadeusza Kantora, klasyków XX wieku.

Lupa od lat zafascynowany jest twórczością Austriaka Thomasa Bernharda. Wystawiając „Kalkwerk”, „Immanuela Kanta”, „Rodzeństwo”, „Wymazywanie”, za autorem analizował kwestie związane nie tylko z artystami i filozofami, lecz także z domowymi grzechami będącymi jednocześnie winami narodu, z ambivalencją nienawiści i miłości do własnego gniazda. I nagle niespodzianka: rzeczywistość zaczęła ostro współbrzmieć ze sztuką. Premiera „Wymazywania” w warszawskim Dramatycznym trafiła na otwartą znienacka narodową ranę: sprawę Jedwabnego. Nie było oczywiście mowy o żadnej dosłowności, ale... „Prawdę powiedziawszy, o Jedwabnem zaczęliśmy mówić dopiero po zrobieniu przedstawienia. I wtedy też dotarło do nas w pełni, do jakiego stopnia „Wymazywanie” jest aktualne w Polsce. Nasze schematy patriotyczne były tego samego rodzaju [co w Austrii – przyp. M.Z.]. Patriotyczne mity tworzyły egotyków zamkniętych we własnym kokonie”.

W ubiegłym roku Lupa odebrał austriacki krzyż zasługi pierwszej klasy w dziedzinie kultury i sztuki. W tym roku analogiczny francuski. Kilka miesięcy temu zrealizował w Hamburgu udaną premierę „Marzycieli” Roberta Musila (po 13 latach od krakowskiej wersji). Na przełomie stycznia i lutego zdążył odnieść kolejny sukces w Paryżu, tym razem „Wymazywaniem”. Na spotkanie z nim przyszły na Sorbonę setki zainteresowanych. Zakończył je... dozorca, który musiał zamknąć na noc uniwersytet.

Potem dalsza część tournée po Francji, także z wrocławskimi „Prezydentkami” Wernera Schwaba, które poprzedzała fama: „Uwaga, arcydzieło!”. Chcą z nim pracować Isabelle Huppert i Juliette Binoche. Być może wystawi

z ich udziałem „Rodzeństwo” Bernharda. Na premierę „Mistrza i Małgorzaty” oczywiście przyjadą przedstawiciele paryskiego Odeonu – będą na pniu omawiać szczegóły wystawienia spektaklu u siebie. Lupa próbuje tłumaczyć sukcesy we Francji wyjątkowym zrationalizowaniem kultury tego narodu. Ale czy tylko o to chodzi? Krzysztof Kieślowski po odebraniu nagrody w Cannes miał powiedzieć ze smutkiem w głosie: „Padło na mnie, oni muszą mieć guru”.

Na szczęście dla nas, tu, w Polsce, jest wciąż tym samym Krystianem (przechodzi natychmiast na „ty” ze wszystkimi, z którymi czuje wspólnotę ducha), w trampkach albo sandałach, w rozciągniętym swetrze, z wypiekami na twarzy przebiega Karmelicką w stronę Rynku lub pomyka na rowerze.

Nigdy nie rozmawiaj z nieznajomymi

„Bracia Karamazow” zostali zaproszeni również na olimpiadę teatralną 2001 do Moskwy. Spektakl nie dojechał, ale dojechał reżyser i jego główny aktor – Piotr Skiba. Zwiedzali miasto, łazili po Arbacie, nakręcili film z różnymi dziwactwami – między innymi długowłosym piosenkarzem z gitarą, który pięknie śpiewał smętną balladę. Krystianowi Lupie na tyle się ona spodobała, że chciał ją wykorzystać we własnej zaczętej pracy nad „Mistrzem i Małgorzatą”. Wybrali się też do *niecharoszej kwatery*, czyli na słynną Sadową 302-A pod nr 50., jedno z głównych miejsc akcji powieści Bułhakowa. Pod drzwiami zastali małą, 12-letnią na oko dziewczynkę, która nie chciała ich wpuścić do środka. W końcu udało się ją ubłagać, nawet pozwoliła zrobić zdjęcia. Cóż, w Sankt Petersburgu ukradziono im aparat. To samo, tyle że w Paryżu, stało się z kamerą z moskiewskim filmem. Oraz z laptopem, w którym reżyser miał zapisane dwie najważniejsze sceny adaptacji.

Reżyseruje, zawsze sam robi scenografię, ma niemały wpływ na muzykę. Na próbach i spektaklach często akompaniuje aktorom, a raczej atakuje ich graniem na bębnie bądź syntezatorze – uruchamia rytmem ich emocje. Twierdzi, że gdyby było mu dane poznać muzykę w dzieciństwie, pewnie zostałby muzykiem. Stara się być na wszystkich swoich spektaklach. Siaduje z tyłu widowni, można wtedy rozróżnić jego charakterystyczny śmieszek, tłumione okrzyki. Coraz częściej też „występuje” w swych przedstawieniach, nagrywając głos narratora.

Bywa, że sam przekłada teksty – na razie z niemieckiego. Samodzielne tłumaczenie i adaptacja oryginału to według niego najlepsza droga do poznania utworu. W trakcie pracy nad „Maltem” tak utożsamiał się z Rilke, że dopisał mu teksty. Nazwał je apokryfami.

Od lat pisze dziennik, wydał już dwa tomy zapisków.

FOT. ANNA WIOCH / AGENCJA GAZETA, MAREK GARDULSKI

Lupopodobni

Kilometry teatru... Jego spektakle rozciągają się na dwa, trzy dni, trwają po kilkanaście godzin. Trzeba pokonać fizyczne ograniczenia wynikające z siedzenia w teatrze dłużej niż dwie zwyczajowe godziny, po nich stajemy się bardziej otwarci, dajemy się nieść rytmowi stwarzanemu przez teatralną rzeczywistość. Czas realny coraz bardziej utożsamia się nam ze scenicznym.

Do anegdoty przeszło zdarzenie z premiery „Maltego”, najdłuższego spektaklu Krystiana Lupa – 13-godzinne. W ostatniej części na widowni siedziała już tylko garstka widzów („Zwykle pierwsza konfrontacja moich przedstawień z publicznością kończy się katastrofą”). Panowała między nimi specyficzna komitywa wynikająca tyleż z obcowania ze sztuką, ile z wzajemnego wspierania się pićciem, jedzeniem i papierosami. Znany krakowski krytyk Tadeusz Nyczek niespodziewanie poderwał się z fotela i szepnął sceniczenie, że on tylko skoczy przewinąć dziecko i wróci. Zdążył.



KRYSTIAN LUPA
o „MISTRZU I MAŁGORZACIE”:

FOT. TOMASZ ŻUREK / AGENCJA GAZETA

Zdecydowałem się na wystawienie tej powieści, mając w pamięci dawną lekturę „Mistrza i Małgorzaty” z lat 70. Ta pierwsza lektura wstrząsnęła mną, wzruszyła. Ta ponowna, przy przystąpieniu do prób, wprowadziła mnie w pewną konsternację. Poczułem, że w warstwie ludzkiej jest to dość płytki utwór (co tu ukrywać), pisany w pośpiechu, w gorące, do-raznie. Dalej jednak miałem poczucie, że w „Mistrzu i Małgorzacie” jest niezwykle zderzenie tej ludzkiej warstwy z nieprawdopodobnymi pokładami mitycznymi i że w tej nieadekwatności tkwi tajemnica tej literatury. I dzięki temu przestałem myśleć o wycofaniu się z prób. W międzyczasie byłem w Moskwie, chodziłem tropami książki. Zobaczyłem, że w Rosji mit dzieła Bułhakowa jest wciąż żywy, że otacza go kultura niemal religijna...

Zaczadziłem się na nowo... Zacząłem spierać się z tą książką, pisać na potrzeby teatru apokryf „Mistrza i Małgorzaty”, piętrząc ten, który jest już u Bułhakowa – dzieje Piłata i Jezui spisane przez Mistrza. Do sporu z autorem o jego dzieło wykorzystałem diabły... Tak powstała scena „Kawiarnia literacka” (nieistniejąca w oryginale), jedna z ostatnich w przedstawieniu. Behemot i Korowiow siedzą przy stole, biorą do ręki egzemplarz „Mistrza i Małgorzaty”, narzekają, że to taka nieskończona, niespełniająca obietnic książka, że trzeba coś z tym zrobić: „Bierzemy to w swoje ręce”.

Próby u Lupa to też niezwykle doświadczanie czasu. Trwają wiele miesięcy, bez z góry założonego planu. Ten tryb często eliminuje obwarowane terminami gwiazdy.

Jan Nowicki: „Rezygnując z roli Cyngi w »Bezimiennym dziele« z powodu wyjazdu na plan filmowy, zdawałem sobie sprawę, że nie będzie to miało wpływu na poziom spektaklu. Nie lubię być śrubką w mechanizmie inscenizacji, choćby najpiękniejszym”. Na pytanie, dlaczego od tamtej premiery, a więc od roku 1982, niczego nie zagrał u Lupa, odpowiada: „Żeby było jasne: uważam go za najwybitniejszego reżysera w tym kraju. Jego styl rozpoznaje się już w pierwszej scenie. Ale on ma określoną wizję aktorów, wymaga poświęceń. Trzeba go kochać i długo z nim pracować. Nie każdy chce, może i ma do tego środki. Że nie lubi gwiazd? To mity!”.

Lupa woli pracować nad prozą, bo w odróżnieniu od „gotowego” dramatu nie narzuca inscenizatorowi formy. Zawsze sam przygotowuje adaptacje. Kolejne kartki scenariusza przynosi na próby wyjęte prosto z komputera i podaje aktorom.

„Aż stanie się tak jak on nawiedzeni, lupopodobni” – wyznaje Alicja Bieniewicz ze Starego Teatru, jedna z „jego” aktorek.

Nie należy do tych reżyserów, co to pokazują, jak grać. „Z delikatnych, małych elementów buduje psychologiczną wieżę dla bohatera” – opowiada Krzysztof Globisz. Aktor zawsze jest dlań partnerem, a nie glina, z której lepi. Próby są wspólnym porządkowaniem chaosu.

Jest przeciwnikiem przewidywalności. Także w aktorach. Dlatego nie lubi pracować z artystami uformowanymi. Chętniej sięga do „ławki rezerwowych”, która akurat w przypadku macierzystego zespołu Starego jest na tyle silna, że zasililiby w gwiazdy niejeden teatr. Ale bywa też tak, że „znane nazwiska” latami czekają na propozycję od Lupa, a plany

wspólnej pracy niweczy niemożność uzgodnienia obsad z innymi przedstawieniami w repertuarze czterech scen Starego Teatru. To przypadek Anny Polony czy Globisza, którzy zagraли dopiero w „Lunatykach I”, spektaklu z roku 1995.

Anna Dymna: „Nie mam żadnych kompleksów z tego powodu, że nic u niego jeszcze nie zagrałam. Może mu się przydam, kiedy będę jeszcze starsza i jeszcze grubsza. Kocham teatr Krystiana. Przyjaźnimy się. I to jest najważniejsze”.

Jerzy Stuhr zastanawia się: „Może to przypadek, że u niego nie zagrałem? Może nie miał dla mnie roli? Może musiałyby zaistnieć szczególne okoliczności? Na przykład Szekspira. Po ten repertuar Krystian nigdy nie sięgał”.

Tu tramwaj obciął głowę profesora

Z dziennika Lupa (Moskwa, 30 września 1997 r.): „Dziś brnęliśmy przez deszcz... Przedzieraliśmy się przez ciemniejące w zmierzchu strugi ulewy. Patriarsze prudy! Tu siedział Nie wiadomy nad stawem... Tu dyskutowali o Bogu... Tu tramwaj obciął głowę profesora. Mój Boże – wszystko pomieszałem. Nic nie pamiętam, nic nie pamiętam z tej historii. Muszę do tego wrócić!”.

W przedpremierowych wypowiedziach Lupa stwierdzał, że teraz, przy powtórnej lekturze, powieść wiele traci. Opisane przez Bułhakowa relacje między ludźmi wydają się jednowymiarowe, nie mają tajemnicy. Poszukał jej gdzie indziej. W Bułhakowie. „To tajemnica człowieka, który w bezwzględnej, gwałtowności, w jakiej mu przyszło żyć, buduje kreację mityczną pod ciśnieniem przeżycia”. I jest to, być może nieświadomiona, potrzeba religijna. „Co najbardziej frapujące, pozytywnym bohaterem Bułhakowa staje się Demon, a nie Bóg. To konsekwencja wyeliminowania przez oficjalne chrześcijaństwo ciemnej strony, personifikowanej przez Szatana, z boskiej czwórki: Bóg Ojciec, Syn, Duch Święty, Szatan – w ujęciu Junga, które jest rozwinięciem idei gnostyków”.

Stworzone przez autora fikcyjne zdarzenia Lupa kreuje po swojemu. „To wzbudza dzikie emocje. Aktorzy nie przestają dyskutować, kłócą się na korytarzach”. A materię czerpie z obecnej wrażliwości, ze współczesności. Czy te emocje przenoszą się w teatralne kuluary? Jak przy „Wymazywaniu”...

MARYLA ZIELIŃSKA

Niektóre z cytatów pochodzą z rozmów przeprowadzonych przez: Joannę Boniecką, „Odra” 1992; Jacka Cieślaka, „Rzeczpospolita – Plus Minus” 2002; Annę S. Dębowską, „Dziennik Polski” 2001; Piotra Gruszczyńskiego, „Tygodnik Powszechny” 2001; Beatę Matkowską-Święs, „Magazyn Gazety Wyborczej” 2000; Krzysztofa Mieszkowskiego, „Notatnik Teatralny” 1999; Grzegorza Niziołka, program do „Braci Karamazow” (1999) i „Didaskalia” 1995.

24-25.05.2002

MIA 1000 KOBIEC

**CENTRALNY DOM KULTURY
WARSZAWA UL. BURAKOWSKA 12
GODZ. 21⁰⁰ BILETY: 1 DZIEŃ 25 zł, KARNET: 40 zł**

Udział wezmą: **SISTER INDIA** – najważniejszy kobiecy zespół na azjatyckiej scenie muzycznej w UK (liderka zespołu DJ Ritu prowadzi autorski program w radiu BBC) • **KAYAH** – wystąpi z krótkim autorskim programem • **OCZY CZIORNE** – legendarny zespół trójmiejskiej sceny alternatywnej • **PARĘŚLÓW** hip-hopowy duet z Warszawy • **BLACK&WHITE** hip-hopowy skład z Koszalina • **LOS TRABANTOS** punkowe ballady • **EOS** – hardcore’owa poezja śpiewana • **BAD FRYZJER KILL KILL KILL** – halas band • **FEMINA FABRA** – teatralno performerska grupa kobieca wywodząca się z Komuny Otwork • kobiecy odłam amatorskiego teatru **PO BALU** • performance i instalacje: **OLIWKI GEDE**, **JULITA WÓJCIK**, **ELŻBIETA JABŁOŃSKA**, **DOROTA BUCZKOWSKA**, **BOGNA BURSZA**, **SROCZKA** • prezentacje video **AGNIESZKA TRZOS**, **ANNA BAUMGART**, **AGNIESZKA KALINOWSKA**, **ANNA NIESTEROWICZ**, **MARIA ZMARZ-KOCZANOWICZ**, **KAROLINA ADAMCZYK**, **KATARZYNA SIERŻANT**, **EWA PSANHAUSER**, dodatkowo pokazy filmów o kobietach • pokazy mody **ANNA KUJCZYŃSKA**, **KRZEMIEN/CISEK**, **MARTA GÓZDZ**, pokaz zorganizowany przez firmę **DWA** • uroczyste odsłonięcie pomnika Kultu autorstwa **MARZENNY OLSZEWSKIEJ** • fotografie i obrazy – **CHICHOT**, **DOMINIKA LASKOWSKA**, **MARIA PRZYBYSZ**, **DOMINIKA SIDOROWICZ**, **EWA ZARĘBSKA**, **MAGDA MISZCZAK**, **AGNIESZKA KORSK**, **JOANNA PŁACHECKA**, **GOSIA SZKLARZ**, **IWONA SOJKA**, **HANNA KOSEWICZ** • ponadto **Damski Clash** – konkurs na najlepszą polską dj, poza konkursowe sety polskich dj, między innymi: **NOVIKA**, **TWEET**, **SIOSTRY A'MORALE**, **SZYDŁO**, **KAROLINA**, **KAMEL-KA**, **AGHA** • wystąpią również **RADYKALNE CHIRLEADERKI**, **GRUPA TEATRALNA GENDER** i **EMANCYPUNKS**.



KONTAKT: tel. [0] 503 140 812, [0] 605 161 000, e-mail: cdg@cdg.art.pl



Leon Tarasewicz (po lewej) pomalował Plaza Real w Barcelonie

Ulicznik

Malarz, tynkarz
– Tarasewicz.
Sztuka polskiego
Białorusina sięgnęła bruku.
Na szczęście barcelońskiego.
A poza tym malarstwo
grozi platfusem

Z MALARZEM LEONEM TARASEWICZEM
ROZMAWIA AGNIESZKA RAYZACHER

AGNIESZKA RAYZACHER: Napracował się Pan na tej ulicy w Barcelonie?

LEON TARASEWICZ: Praca malarza jest także pracą fizyczną. Nie ma większej różnicy, czy wykonuje się ją w pracowni, czy na miejskim placu. Malując, człowiek przez cały czas stoi. Malując większe formaty, trzeba wchodzić na drabinę. To naprawdę ciężka robota. Tomek Ciecierski śmieje się, że jedną z chorób zawodowych malarza jest platfus... Chciałem, aby ta praca była bliska codzienności. Aby ludzie mogli po tym chodzić, siedzieć, stawiać stragany. Dni Polskie w Barcelonie zorganizował Instytut Adama Mickiewicza. Poproszono mnie o realizację w przestrzeni. W listopadzie 2001 roku pojechałem do Barcelony, żeby zobaczyć miasto, które całe pokryte jest kamiennym chodnikiem – kwadratami o wielkości 120 na 120 centymetrów. Niektóre z tych kwadratów są wypełnione ziemią – rosną w nich drzewa. To element powtarzający się w całej Barcelonie. Zrobiłem projekt dla Plaza Real – zabytkowego placu, gdzie w kwadratach rosną palmy. Postanowiłem odnieść się do tego elementu architektury



Po kwadratach Tarasewicza można chodzić do końca maja. Można chodzić też obok

miejskiej. Zaprojektowałem własne, kolorowe kwadraty. Zainspirowała mnie sztuka murretańska, malarstwo i mozaiki na posadzkach. Ważna była też dla mnie kolorystyka – po raz pierwszy użyłem koloru różowego.

A technicznie?

– Odgradzaliśmy po jednej czwartej placu, na kamiennych płytach kładliśmy akrylowy tynk strukturalny, zaciągaliśmy listwę i zrywaliśmy folię ochraniającą sąsiednie płyty. Po dwóch dniach można było już po tym chodzić.

Jak reagowali mieszkańcy Barcelony na widok kolorowych kwadratów?

– Bardzo różnie. Po Plaza Real kręci się mnóstwo ludzi, jest tam też sporo bezdom-

nych. Jeden z nich przez trzy godziny wpadł w kwadrat. Wiele osób potraktowało kwadraty jako miejsca spotkań – punkty charakterystyczne, przy których można się umówić. Przyszedł też trębacz, który krzyknął: *Fuck of abstract painting!*

Przed rokiem władze Wenecji nie dopuściły do realizacji Pańskiego projektu przygotowanego na Biennale Sztuki. Zamierzał Pan między innymi pokryć wielobarwnym tynkiem słupy cumownicze przy placu św. Marka. Jak było z władzami Barcelony?

– W Wenecji nie doszło do realizacji mojego projektu z winy dziennikarzy, którzy napisali, że zamierzałem malować po ścianach. A ja

chciałem malować na pleksi nakładanym następnie na budynek. Nie zrezygnowałem jednak z tego projektu. Zrealizuję go, ale nie podczas Biennale. Myślę, że Włosi zgodzą się na mój projekt, tylko muszą dokładnie go przejrzeć. W Barcelonie wytłumaczyłem, że nie uszkodzę płyt chodnikowych. Po czterech godzinach mieliśmy akceptację władz.

Jak długo kwadraty pozostaną na Plaza Real?

– Około miesiąca. Później zostaną usunięte za pomocą specjalnego środka, który nie niszczy podłoża, czyli kamienia. Dzięki temu specyfikowi będę mógł bez problemu pokrywać kolorowym tynkiem zabytki bez ryzyka ich uszkodzenia.

Miałam do Pana trochę żalu, że swoje projekty w przestrzeni miejskiej woli Pan realizować za granicą.

– Tego żalu nie należy kierować do mnie. Ja jestem takim muzykantem, który jedzie tam, gdzie trzeba grać. Ostatnio pojawiły się propozycje z Poznania i z Białegostoku. Na razie nie wiem, co z tego wyjdzie. Nie śpieszę się – trzeba trochę poczekać, ostatnio pełno było wszędzie tego Tarasewicza.

Powstają wciąż tradycyjne oleje na płótnie?

– Tak. Maluję zwyczajne, kameralne obrazy. Tworzenie prac przestrzennych to tak naprawdę korzystanie z okazji – nie wiem, kiedy następny raz mi pozwoli. W Zachęcie rok temu

zrobiłem olbrzymią konstrukcję z desek pokrytych tynkiem akrylowym. Wpuścili mnie do Sali Matejkowskiej – trzeba było łapać tę okazję! To są dla mnie wyzwania.

Co wkrótce?

– Właśnie odbywa się moja wystawa w Instytucie Polskim w Berlinie. Nie pojechałem na otwarcie, bo odbywało się w czasie prawosławnej Wielkanocy. Przed pobytem w Barcelonie byłem w Brazylii, gdzie podczas Dni Polskich na zaproszenie Andy Rottenberga prowadziłem warsztaty z rzeźbiarzem Mirkiem Bałką. Ale na czerwiec przyszłego roku planuję dużą wystawę w Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie.

Pomaluje Pan Zamek Ujazdowski?

– Mój projekt dotyczy głównie sal Centrum Sztuki Współczesnej, ale chcę stworzyć również coś na dziedzińcu. Ta wystawa zbierze się z wydaniem monograficznej książki poświęconej mojej twórczości. Planujemy też realizację przestrzenną w Lublinie, na Górze Zamkowej. **Nie żał Panu, że Pańskie prace w przestrzeni przestają istnieć po kilku lub kilkunastu tygodniach?**

– Ja jestem tylko człowiekiem, który tworzy. O tym, żeby to ewentualnie pozostawić i zabezpieczyć, powinni pomyśleć kuratorzy.

Rozmawiała AGNIESZKA RAYZACHER

SALON Nr 4 N WYTRZEŻWIEŃ

POD REDAKCJĄ TADEUSZA NYCZKA

WŁODZIMIERZ BOLECKI LITERATURA, ANDRZEJ CHŁOPECKI MUZYKA, PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ KULTURA ALTERNATYWNA, MARIA KORNATOWSKA FILM, PIOTR RYPSOŃ SZTUKA, MARYLA ZIELIŃSKA TEATR

RYUNKI
TOMASZ BRODA



O kulturze
masowej,
wysokiej,
popularnej,
o zanikaniu
podziałów
między nimi
i zamienianiu się
wszystkiego
w papkę

Nyczek: Witam koleżeństwo. Zadaniem było: zapoznać się z utworem autorstwa zbiorowego pod tytułem „Kultura masowa” w wyborze i przekładzie Miłosza.

Utwór wydała 44 lata temu paryska Kultura, dzisiaj przypomina go Wydawnictwo Literackie. Eseje tam zawarte są amerykańskie, bo wtedy sprawa kultury masowej była amerykańska; Europa dopiero wchodziła w zjawisko, a w Polsce to był w ogóle problem księżycowy. Minęły lata i wygląda na to, że kultura masowa stała się zagadnieniem z najwyższej globalnej półki. Co się stało przez ten czas? Z kulturą, z nami? A na początek wesoły cytat z ówczesnego komentarza Miłosza *à propos* ojczyzny: „Gdyby jakaś magia usunęła barierę [socjalizmu – T.N.], Polska natychmiast zostałaby pochłonięta przez kulturę masową komercyjną, i to w stopniu o wiele większym niż przed wojną, kiedy brakło do tego społecznych warunków, bo niemal cała wieś, wtedy przygniatająca większość ludności, była wyłączona z obiegu”.

Dunin-Wąsowicz: W jednym z esejów książki autor potępia Johna Steinbecka, pisarza wybitnego i poważnego, za flirt z kulturą masową. A my teraz rozmawiamy w dwa tygodnie po wydrukowaniu przez superkomercyjne pismo pod nazwą „Viva” wywiadu z Czesławem Miłoszem. Poetą z kultury „wysokiej”, który nie dość, że się przyznaje do przeczytania „Harry’ego Pottera”, to jeszcze mówi, że mu się podobało. Pół wieku temu taki gest 90-letniego noblisty byłby nie do wyobrażenia przez intelektualistów, którzy opisywali kulturę wysoką z pozycji obłąkanej twierdzy.

Rypson: W posłowie do książki Miłosz powiada, że czyta komiksy i prasę sensacyjną.

Dunin-Wąsowicz: Ale wtedy Czesław Miłosz był prowincjonalnym, amerykańskim sławistą, czyli nikim. To jedno. Drugie, że wśród rozmówców przy tym stole znajduje się Piotr Rypson, człowiek z dyktando, generalnie kulturalny, a wybiera się dziś, tak samo jak ja, na koncert do klubu Hybrydy, gdzie wystąpią – i to już jest zupeł-

nie kulturowe zapętlenie – weterani muzyki punkowej w Polsce, w tym Muniek Staszczuk z T.Love. A życiowa droga takiego na przykład Muńka Staszczuka jest doskonałą ilustracją tego, że podziały w tej książce pokazane jeszcze bardziej się pokomplikowały.

Nyczek: A czy Muniek Staszczuk to kultura masowa? Mnie się facet jakoś inaczej kojarzy.

Dunin-Wąsowicz: Muniek był na początku lat 80. studentem polonistyki i fascynował się muzyką punkową, która wtedy weszła jako takie barbarzyńskie *antidotum* na przerafinowany już wtedy, establishmentowy rock and roll. Po czym przez 20 lat stopniowo zaprzedał się systemowi kultury masowej i jego zeszłoroczny przebój „Nie, nie, nie” jest już jej niewyszukanym produktem, z niby-zaangażowanym tekstem. Ale dowcip polega na tym, że ten sam Muniek z sentymentem wspomina czasy, kiedy należał do kultury alternatywnej i miał coś ważnego do powiedzenia. Teraz, zarabiając pieniądze na aktualnym wcieleniu, zaprasza nas na koncert do Hybryd, gdzie będzie śpiewał swoje dawne, prawdziwie zaangażowane piosenki z dawnymi kolegami. A jednocześnie nadal lubi sobie poczytać Miłosza. Rozmawiałem z nim dwa tygodnie temu, mówił mi, że „To” oraz „Druga przestrożka” to jego ulubione w tej chwili książki.

Nyczek: Pilnujmy różnic między kulturą masową a popularną. Kultura popularna może być artystyczna, mamy tu dobre kino rozrywkowe, ambitną piosenkę, jazz. A kultura masowa, generalnie mówiąc, wyzbyta jest artystyczności niejako z zasady. Założenie jest tu takie, żeby produkt masowy nie różnił się od najbardziej powszechnego, banalnego gustu i nie „wywyższał się” ponad prymitywną przeciętną. A język artystyczny właśnie „wywyższa”. Skutek ten, że typowy serial telewizyjny nie ma prawa różnić się od innych, tekst piosenki powinien być maksymalnie durnowaty i tak dalej. Ewę Demarczyk czy nawet Grechutę różnią od disco polo całe światy. To już niemal kultura wysoka.

Rypson: Rzeczywiście, rzecz się wielce skomplikowała. W tekstach zebranych przez Miłosza podział jest twardy: kultura wysoka, niska, *high and low*, i nie ma miejsca na grę pomiędzy nimi. Ten podział zbudowano na podobieństwo struktury klasowej, co o tyle nieaktualne, że dziś w kulturze masowej uczestniczą wszyscy, bez względu na status. Poza tym to naprawdę kanały dystrybucyjne kultury decydują o tym, że coś staje się masowe lub nie i czy podlega temu potwornemu procesowi zamieniania wszystkiego w papkę. Miłosz w „Vivie” też jest figurą kultury masowej. Czytelnicy „Vivy” pochłaniają Miłosza takiego, jakim tam jest przedstawiany, niezależnie od tego, jakie wiersze pisze.

Nyczek: To znaczy Muniek Staszczuk, który gra w Hybrydach, a telewizja tego nie transmituje, nie jest kulturą masową...

Chłopecki: Co innego jeszcze mnie w tym zbiorze esejów uderzyło. Masowa, popularna, wysoka... Zaczęło się to na dobrą sprawę od rewolucji francuskiej, od hasła „wolność, równość, braterstwo” i całego tego barbarzyństwa, które między innymi w formie rozrywki dla mas rozlało się po Europie i dziś zawładnęło całym światem. Szukając ratunku, Clement Greenberg i Dwight Macdonald powiadają: tylko awangarda jest wysoka i przez to „niewinna”. Cała reszta, łącznie z szacownym repertuarem filharmonii i muzealnej sztuki akademickiej, to kicz. Mocno to powiedziano w tamtych latach 50.

Nyczek: No. To teraz znów coś się zmieniło, bo powstało pojęcie kiczowatej awangardy, czyli awangardy wtórnej, zbanalizowanej.

Chłopecki: Tyle że awangardy już nie ma, a co się za nią uważa, jest nobliwym akademizmem. Czy z tego wynika, że ona sama z czasem „kiczeje”? W 1977 słynna III Symfonia Góreckiego była dla mnie arcydziełem i do dziś widzę ją jako utwór wybitny. Mam jednak dwa „ale”. Już nie jest mi tak wybitna po tym, jak straciła niewinność na komercyjnym rynku... A gdyby powstała dziś, napełniłaby mnie estetyczną zgrozą jako kicz właśnie. Wartości rosną więc bądź maleją nie tylko w samych dziełach sztuki, lecz także za sprawą kontekstu. Wtedy miała siłę „antyawangardowej awangardy”, dziś miała by mdły smak epigoństwa.

Zielińska: Kulturę masową opisaną w antologii Miłosza przedstawiono jako przedłużenie kultury ludowej. W Polsce tak się stało, że od jakiegoś czasu kulturę ludową zaczęto nazywać kulturą tradycyjną i w tym swoim nowym wydaniu tak naprawdę stała się już elementem... kultury wysokiej, nie tyle oryginalnej, ile artystycznie odtwarzanej. Robią ją ludzie z miast, specjaliści, którzy wybrali powrót na wieś. Mieszają się z ludźmi mieszkającymi tam od pokoleń i próbują reaktywować to, z czego „tubylcy” stopniowo się wyrodzili.

Rypson: To jest jak z rezerwatami, które są produktem kultury.

Zielińska: Myślę raczej o znanych grupach teatralno-muzycznych: Gardzienice, Węgałty, Fundacja Muzyki Kresów. To nie są rezerваты.

Dunin-Wąsowicz: Miejską kulturą ludową jest teraz hip hop, muzyka rapowana. Ona nie powstaje na sprzedaż. Są tacy, którzy

umieją ją sprzedawać, ale sama jest kulturą spontaniczną i jest nakierowana na siebie. A weźmy inny fenomen, disco polo, które wyewoluowało z tradycyjnych kapel weselnych. Korzystało z tekstach z tradycyjnej tematyki: ludycznej, czasem bardzo frywolnej, czasem sentymentalnej, z typowych kiczowatych piosenek śpiewanych po wsiach z różnych okazji. Podchwycili to cwani producenci i wykreowali na kulturę masową.

Rypson: Ciekawe, że producenci pochodzili z tego samego podmiejskiego środowiska.

Dunin-Wąsowicz: Tymczasem zarówno odziedziczona po socjalizmie stara mafia z Telewizji Polskiej, jak i tak zwani pampersi rządzący telewizją w latach 90. blokowali disco polo w imię swojego wyobrażenia o wartościach kultury, wprowadzając zamiast tego ewidentnie kiczowatych artystów należących do kultury masowej, a będących rzekomo w dobrym guście.

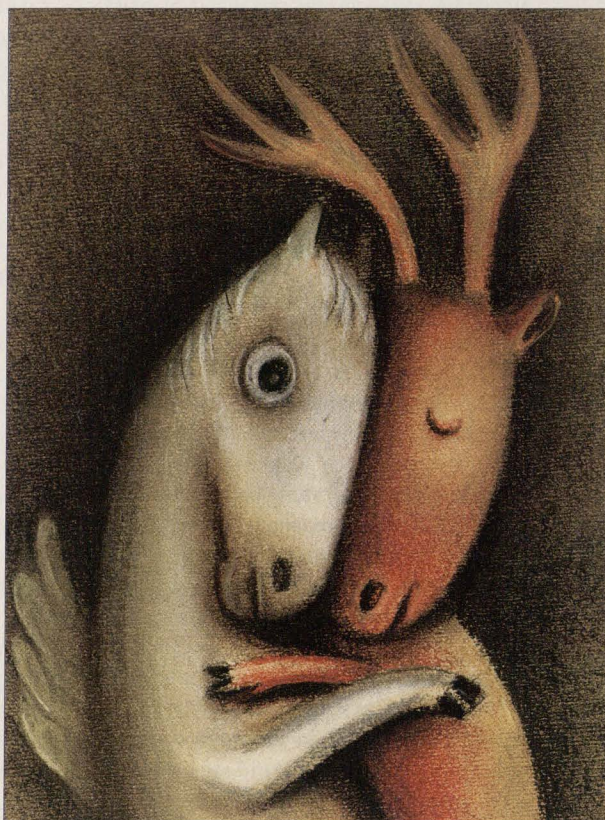
Rypson: Teza: stary kicz blokuje nowy kicz!

Dunin-Wąsowicz: Na gruzach ludowego disco polo mamy cwany kicz masowy w postaci zespołu Ich Troje...

Nyczek: Wróćmy do pewnej podniecającej myśli, może najważniejszej w tym całym zamieszaniu. Że o jakościach i miejscu kultury decyduje handel, czyli dystrybucja, więc sfera pośrednictwa posługująca się reklamą jako narzędziem przemocy. Dla niej wszystko jest towarem, zarówno kultura niska, jak wysoka. Jest w stanie przemienić i przeobrazić cokolwiek. To jest Miłosz w „Vivie”, piosenka aktorska w telewizji, III Symfonia Góreckiego w supermarkecie. Czy to coś nowego? Redaktor Bolecki podejrzenie dziś milczy. Brzydzi pana profesora przedmiot dyskusji?

Bolecki: Zachwyca! Otóż nieustannie podziwiam Miłosza za jego fenomenalną wyobraźnię socjologiczną. To, że potrafił w tamtym czasie dostrzec problematykę kultury masowej, świadczy o znacznie szerszym rozumieniu kultury, niż byli to w stanie pojąć na przykład uniwersyteccy socjologowie w ówczesnym Peerelu. Ale to na marginesie. A wracając do tematu. Otóż wciąż nie istnieje dobry język, w którym dałoby się opisać zjawiska, o których mówimy. Przeciwwstawienie kultury masowej kulturze wysokiej jest odziedziczone po przełomie modernistycznym z początku XX wieku

i już nie bardzo się nadaje do opisu tego, co jest teraz. Dziś to jest problem nie przeciwieństw, tylko kultury jako takiej. Inaczej mówiąc, jest kwestią odpowiedzi na pytanie, czym jest społeczeństwo masowe, demokratyzujące się, co przerażało i socjologów, i filozofów, i pisarzy od początku ubiegłego wieku. Jak się poruszać w tej magmie pojęć? Kiedyś wystarczyło posiadać kompetencje jednego typu, żeby uczestniczyć w kulturze współczesnej. Dzisiaj trzeba umieć odbierać jej bardzo rozmaite jakości, poziomy, obieg, sytuacje, formy popularności itd. Więc nie tylko pozycja artysty, lecz także pozycja odbiorcy, uczestnika kultury zasadniczo się zmieniła. I równocześnie mamy poczucie,



że to, co kiedyś należało do kultury wysokiej, przesuwa się do kultury masowej. Słoneczniki van Gogha znajdujemy w toalecie, arie z oper Mozarta śpiewa się dzisiaj po estradach itd., itd.

Kornatowska: W Łodzi, na terenie dawnej fabryki Poznańskiego, przewiduje się stworzenie centrum handlowo-rozrywkowego. Otóż do tego centrum ma być przeniesione sławne Muzeum Sztuki Współczesnej. Słyszałam nawet sugestywne uzasadnienie tej koncepcji: klient, robiąc zakupy, wpadnie po drodze do muzeum, do którego inaczej nikt by go nie zagnał. Razem z produktami zwyczajnego użytku sprzedamy mu coś ze sztuki – przeżycie wyższego rzędu, które tym samym stanie się jednym z towarów. Tak wygląda pieśń przyszłości.

Dunin-Wąsowicz: Przed uroczystym otwarciem Carrefoura przy Dworcu Wileńskim w moim bloku rozłożono prospekty. W ofercie pojawił się taki towar: „bestsellery polskich autorów”. Nie pojawił się towar pod hasłem „książki”, tylko zdjęcie książki Katarzyny Grocholi i hasło „bestsellery”. Ja nie wiem, jak to się nazywa – tautologia czy onomatopeja – chodzi o towar, który jest oferowany do kupienia dlatego, że się dobrze sprzedaje! To jest już nowa umysłowa wartość, tyle że umysłem do góry nogami.

Bolecki: Można by jeszcze bestsellery umieścić w dziale warzywniczym.

Rypson: Ogromna część wytworów kultury ulega „papkizacji”, w okamgnieniu traci swoje znaczenie. Twórcy (dawni i żyjący) są bezbronni wobec tego procesu. Nie da się przeciwstawić koncernom medialnym, to jest gra skazana na niepowodzenie.

Nyczek: Tym bardziej że za popularność media oferują pieniądze niewyobrażalnie duże w skali społecznej. Za parosekundowy udział w reklamie znany aktor dostaje tyle, ile nie byłby w stanie zarobić przez całe życie uznany pisarz, który jest w lekturach obowiązkowych. Ale to kusi każdego...

Rypson: W dziwnych czasach żyjemy. Nie wiedzieć czemu przypominał mi się niezwykle interesujący moment w historii kultury Europy. To był siódmy wiek naszej ery, gdy antyk się skończył, a dojrzałe wieki średnie jeszcze się nie rozpoczęły. Miasta, ośrodki cywilizacji, upadły, wszystko straciło sens. Po dawnym, imperialnym Rzymie chodzą zwierzęta, ludzie uciekają do głuszy, bojąc się innych ludzi. Ale dzięki temu następuje rozproszenie elitarnych wartości cywilizacyjnych, które przenoszą się do rozrzedzonej, za to szerokiej, struktury budującej nową Europę. Powstają z wolna nowe ośrodki; wiek ósmy, dziewiąty podnosi Europę na zupełnie nowy poziom. Może więc i dzisiaj mamy do czynienia z mrówczą pracą systemu, który rozprowadza w masy ogromną ilość rozmaitych treści, zniekształcając je, być może, niemniej przekazując takie zasoby informacji, których tradycyjne systemy edukacyjne nie byłyby w stanie przekazać? Poza tym może zadajmy sobie i to pytanie: co by się stało z masami ludzkimi

w wielkich miastach, gdyby nie było odbiornika TV w każdym domu? Ludzie wyszliby na ulice. I byłby potworny kłopot. Myślę, że możemy być wdzięczni twórcom kultury masowej, że trzymają masy ludzi na atrakcyjnej smyczy.

Nyczek: No, redaktorze Rypson. Jak ta masa kiedyś zamknie telewizory i dowie się, co o niej myślicie...

Kornatowska: Nie ma obawy. Publiczność wszystko łyka, ogląda jakieś straszne programy w telewizji, „Big Brother”, czyta kolorową prasę, bo interesuje się głównie tym, kto, z kim i dlaczego. Całkiem możliwe, że tym sposobem udaje się sfrustrowany naród powstrzymać przed wyjściem na ulice. Nie wychodzi, bo na szczęście musi się dowiedzieć, co też się przydarzyło ulubionemu bohaterowi. Ale z drugiej strony to czuwanie przed telewizorami pograża ludzi w jakimś straszliwym marazmie. Kolega Rypson ma jakąś nadzieję na przyszłe odrodzenie, ale ja widzę, że zbiorowa świadomość utrzymywana jest w stanie konserwatywnego anachronizmu, którego najwyższym wcieleniem jest plotka. I to jest paradoksalny efekt działania kultury masowej. Przepraszam, zdenerwowałam się.

Nyczek: Dla redaktor Kornatowskiej sole trzeźwiące poproszę. W końcu jesteśmy w salonie wytrzeźwień.

Kornatowska: Sole? Oszałał pan? Podwójna capirinhia ewentualnie może być. [Naczelny ordynuje wzmiankowany napój i redaktor Kornatowska skutecznie dochodzi do siebie].

Zielińska: To może ja, żeby odwrócić uwagę. Jak niektórzy z Państwa pamiętają, a inni pewnie nie, w drugi dzień świąt Wielkanocy odczytano w kościołach list rektora KUL-u. Był atakiem na kulturę masową, głównie na jej producentów. Konsumenci zaś winni się opamiętać i już nigdy więcej prosto z kościoła nie iść do hipermarketu, żeby dać się otumaniać. Otóż Kościół spełniał kiedyś rolę mecenasa sztuki i w takich ciemnych „siódmych” wiekach bywał na tyle kreatywny i atrakcyjny, że przyciągał ludzi, kształtował gust. A teraz co? Jest jednym z największych producentów kiczu. Od obrazy wciśniętego dziecku do ręki po Świątynię Opatrzności Bożej – myślę zarówno o stylu, w jakim utracono zwycięski projekt profesora Marka Budzyńskiego, bez wątpienia dzieło sztuki, jak i o wartościach artystycznych pokątnie wprowadzonego projektu, który będzie realizowany w imieniu narodu.

Nyczek: Kolega Dunin pali się do głosu.

Dunin-Wąsowicz: Gdyby bazylika w Licheniu była bazyliką bardzo artystyczną, a nie bardzo dużą, to nikt by na nią nie zwrócił uwagi. A w ogóle nie palę się, bo wychodzę. [PDW odsuwa krzesło i wychodzi na koncert Muńka Staszczyka].



Rypson: Wystarczyłoby, żeby była tylko duża. Dunio, poczekaj, przecież idziemy razem! [Biegnie za PDW. Reszta popatruje po sobie].

Nyczek: No, tak. Do widzenia. Nie słyszą. Kultura, psiakrew, wysoka. Na koncert Muńka poszli. Trudno. Wobec tego mam na koniec kwestię, którą załatwimy w przyzwolonym gronie. Dostępnego teoretyzowania. Więc jak jest teraz z nami tu, w roku 2002? Daliśmy się totalnie skomercjalizować, jak wieszczyl Miłosz pół wieku temu, czy jeszcze coś się w nas kołacza? Jak są naprawdę relacje między kulturą artystyczną a masową? Kto na kim żeruje? Proszę po kolei, krótkimi zdaniami. Andrzej, zaczynaj, byle do rzeczy.

Chłopecki: Raczej kultura wysoka albo wykorzystuje, albo mizdrzy się do kultury

masowej. Bardziej niż odwrotnie. Wyższa w swej warstwie dolnej podżera niższą z jej wierchołków. Szczególnie w Polsce. Gdzie indziej wyższa w warstwie wyższej ssie także, a niższa w swej warstwie wyższej ma na wyższą apetyt większy niż w Polsce. Widzę, że oczy Naczelnego kwadratowieja, proszę, zostaw mi ten kieliszek... Jeszcze raz. [Chłopecki powtarza swą wypowiedź, nie przejmując się, że Kornatowska patrzy w sufit, a Bolecki pokazał mu język]. Jestem przeciwny komercjalizowaniu się kultury wyższej i tęsknię za „wieżami z kości słoniowej”. No pozwólcie, już kończę...

Nyczek: Mówiłem, że tak będzie. Profesor redaktor? [Bolecki otworzył usta, ale niezrażony Chłopecki był szybszy].

Chłopecki: ...Kiedyś muzyczna elita była obrażona i chciała się alienować. A dzisiaj cała pragnie znaleźć się w obszarze zainteresowań pisma „Viva”, choć do tego głośno się nie przyzna. Czegoś mi brak...

Bolecki: No, to może wrzescie ja? Odpowiadając wprost, powiem tak: w Polsce nie jest problemem ani kultura masowa, ani wysoka, ani ich przeciwieństwa. W Polsce problemem jest edukacja. I od edukacji zależy to, jak ludzie zachowują się wobec kultury masowej.

Nyczek: Bardzo słusznie. Redaktor Zielińska?

Zielińska: Teatr znalazł się na marginesie kultury masowej. Nawet telewizja nie była w stanie go umasowić. Ale z dużym zaciekawieniem obserwuję, jak kultura wysoka interesuje się kulturą masową, jak reżyserzy starszych i młodszych pokoleń próbują ją wykorzystać, by ratować teatr, utrzymać widzów.

Nyczek: Madame Kornatowska.

Kornatowska: Mnie się wydaje, że my sami często wpadamy w pułapki kultury konsumpcyjnej. Ja bym tak właśnie ją nazywała, zamiast mówić wysoka, niska albo średnia. Pewnie wszyscy jesteśmy w niej umoczeni, i to mnie bardzo niepokoi, wręcz wpędza w poczucie winy.

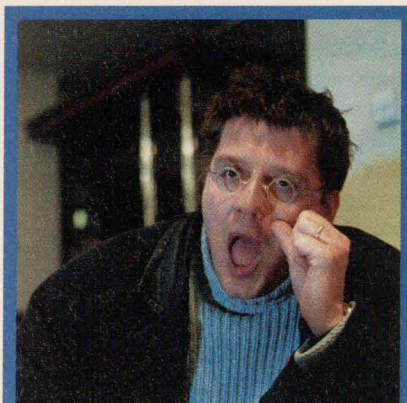
Zielińska: No, to jak tak, posłuchajmy Witkacego. Pamiętajcie?

„Nie zbłądzą moje księgi popod żadne strzechy, bo już na pewno żadnych strzech nie będzie, i nijakiej z tego nie będzie pociechy, i tylko święństwo równomiernie rozpętnie się wszędzie”.

Nyczek: To ja też idę. Na Muńka za późno, do domu za wcześnie. Idę w Polskę, mój kraj konsumpcyjny.

Pozostali [chórem]: Tylko wróć, szefie!

Redakcja Salonu Wytrzeźwień dziękuje klubowi Bagatela przy warszawskiej Bagateli za smakowitą gościnność.



inne pytania

Nie będziemy rozmawiać o miłości

MARIA CZUBASZEK: Był Pan dobry z chemii?

WOJCIECH MALAJKAT: Fatalny.

I tak Panu zostało?

- Żeby! Z tych wiadomości, które wtedy miałem, nic nie zostało.

Czyli o miłości sobie nie porozmawiamy. Bo miłość to chemia.

- Może to i lepiej?

Że chemia?

- Że nie będziemy rozmawiać o miłości. To mnie zawsze trochę krępuje.

Że dwa związki chemiczne, fenyloetyloamina oraz dopomina, wywołują chemiczne procesy w naszym mózgu, które odczuwamy jako miłość? Bo tak twierdzą neurobiolodzy.

- Z neurobiologii dopiero jestem fatalny!

A z polskiego i z przyrody był Pan dobry?

- Na pewno lepszy niż z chemii.

I w lekturach nie omijał Pan opisów przyrody?

- Wstyd przyznać...

Nie omijał Pan?

- Niestety. Omijałem. Od zawsze wolałem przyrodę na żywo.

I dlatego urodził się Pan na Mazurach? W tak pięknych okolicznościach przyrody?

- Powiedzmy, że mi się udało.

Tak jak w swoim czasie udało się Panu przenieść do Warszawy?

- Do tego zostałem zmuszony. Ale zawsze byłem, jestem i zostanę Mazurem.

Dojeżdżającym z Warszawy?

- Kiedy tylko można. A można nawet powiedzieć, że raczej z Mazur dojeżdżam do Warszawy.

Kiedy tylko można?

- Kiedy trzeba. Ale będąc tu, robię wszystko, żeby być tam. Omijam skutecznie wszelkie rauty i tego typu imprezy...

FOT. ARTUR PAWŁOWSKI

Jestem góralem z Mazur

Wojciech Malajkat, aktor, w rozmowie z Marią Czubaszek

I hajda w góry?

- Ten kierunek. Tylko w przeciwną stronę.

Jak to?

- Tak to. Bo „hajda na Mazury”.

To dobrze powiedziałam. Bo przecież w Mikołajkach kupił Pan górę!

- Dokładnie na obrzeżu Mikołajek.

To byłam blisko. Więc góral z Mazur?

- Raczej Mazur z góry. Z tym że górski dom jeszcze nie jest urządzony.

Ale świstaki i kozice górskie już śmigają?

- Widzę, że Pani jest słabsza z przyrody niż ja z chemii. Świstaki i kozice to Tatry. A Mazury to ryby.

Wiem! Rybka lubi pływać. Ale mówimy o górze.

- Jest i jezioro.

Czyli brakuje tylko morza?

- Mnie akurat nie.

A turystom, którzy przyjeżdżają na Mazury?

- Niektórym brakuje chyba miasta.

I próbują przenieść je na wieś. Wiecznie się spieszą, krzyczą, dzwonią, cwaniakują.

Niektórym się to udało, niestety. Stąd dochodzi czasem do scysji.

Kiedy na przykład w kinie Wojtek w Mikołajkach chcą zaprowadzić swoje porządki.

Nie sądzi Pan, że kiedyś im się to uda?

- Jest taka groźba.

W końcu Mazury w dużej mierze żyją z turystów.

- Na pewno. Ale turyści powinni mieć świadomość, że przyjeżdżając tu z coraz szybszymi i głośniejszymi motorówkami, spuszczając paliwo do jezior i myjąc nad ich brzegami samochody, jeśli wygrają, to przegramy wszyscy.

Również i oni.

To mała pociecha.

- Na szczęście to nie siła złego na jed-

nego. Niektórzy jeżdżą w góry, inni nad morze, jeszcze inni za granicę.

Siła złego się rozkłada? I ma mniejsze rażenie?

- Można tak powiedzieć. Poza tym trzeba powiedzieć, że są również turyści bardzo w porządku.

Którzy potrafią się znaleźć w tak pięknych okolicznościach przyrody?

- Zapraszam na Mazury. Sama Pani zobaczy.

Podobno każdy widzi to, co chce zobaczyć.

- Też prawda.

W takim razie na Pańskiej górze na pewno zobaczę świstaka i kozicę. Cieszy się Pan?

- Każdy by się cieszył.

Z góry?

- No! Zwłaszcza na Mazurach.

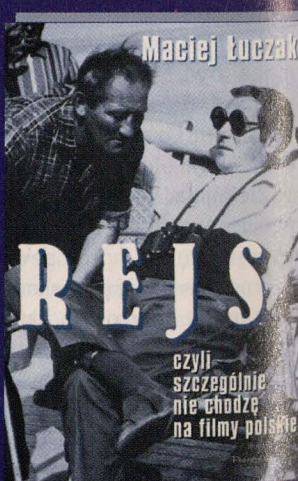
Prószyński i S-ka

Maciej Łuczak

REJS

czyli szczególnie

nie chodzę na filmy polskie



Druka po bestsellerowym „Misiu” książka Macieja Łuczaka. Tym razem bohaterem opowieści jest kultowy film Marka Piwowskiego, jeden z najważniejszych, najlepszych i najchętniej oglądanych w całej historii polskiego kina. Autor, sięgając do pamięci twórców i świadków, a także do dokumentów – protokołów kolaudacyjnych, służbowych notatek cenzorów oraz urzędników, recenzji prasowych – z detektywistycznym zacięciem śledzi dzieje jego narodzin i batalię o wejście na ekrany.

Patroni medialni

PRZEKRÓT

antena

wprost

księgarnia internetowa www.merlin.pl

MAXIM

EXPLO

onet.pl

Rajd



Muzyka, głos spikera...

- Serdecznie witam wszystkich widzów! Właśnie oglądają państwo relację z 13. ogólnopolskiego rajdu majowo-urlopowego. Dzisiaj odcinek Warszawa-Mazury. Łączymy się teraz na żywo z Markiem Smithem z serwisu BBC, który stoi przy punkcie kontrolnym na stacji BP w Łomży. Mark, jak wygląda sytuacja?

- Cześć, Robert, witam państwa. W tym roku mamy rekordową liczbę zawodników. Bardzo dużo jest nowicjuszy, którzy po raz pierwszy wybierają się w tak długą trasę. Jeżdżą znacznie wolniej od innych, doprowadzając do obłądu bardziej doświadczonych kierowców, którzy chcą za wszelką cenę dojechać na metę przed zamknięciem pensjonatu.

- Jest więc bardzo zacięta rywalizacja na trasie.

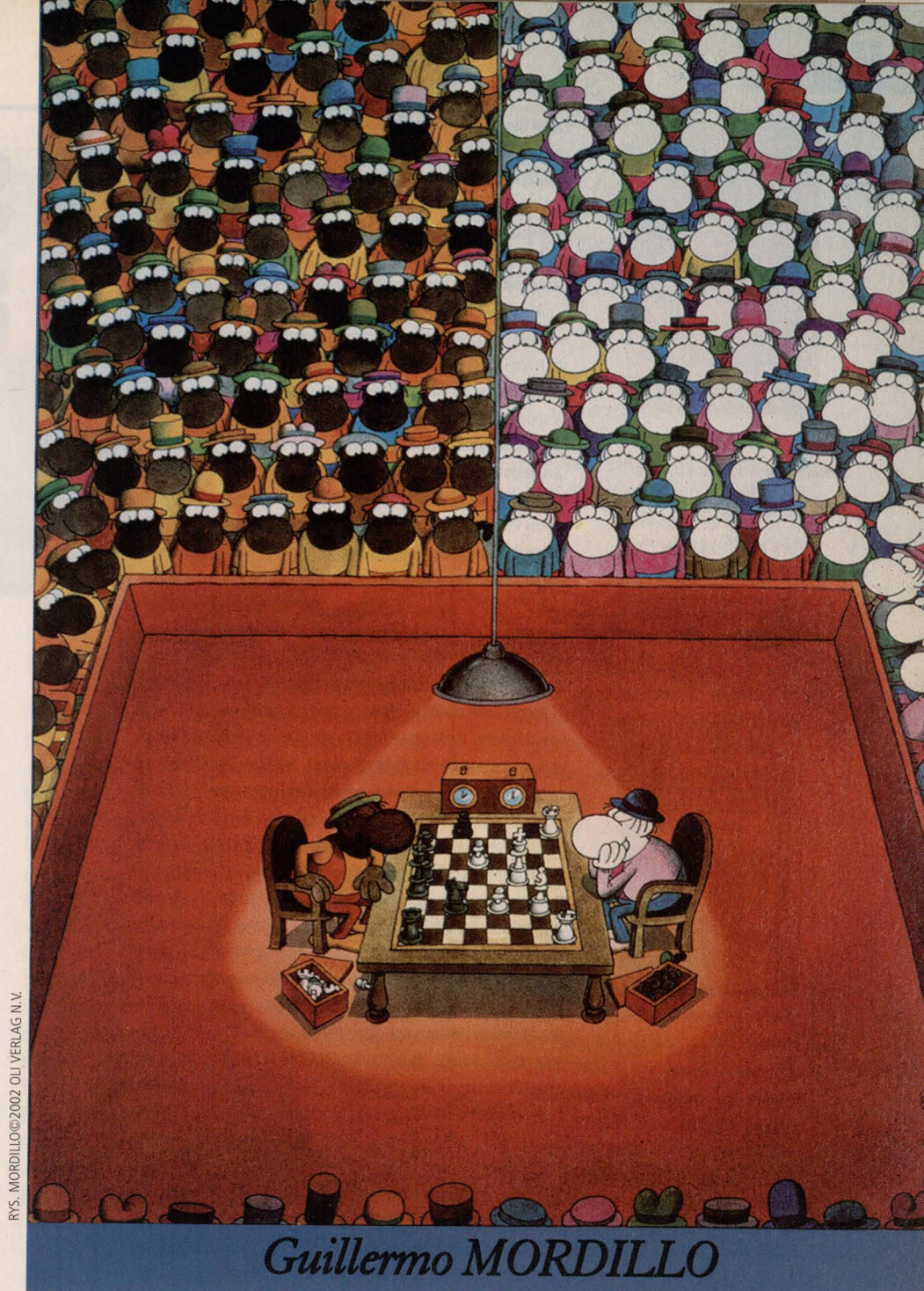
- Niewątpliwie. Na domiar złego zrobił się duży korek tuż przy wjeździe do Łomży. Ale to wcale nie odstrasza niektórych kierowców. Pięć minut temu widziałem, jak polonez na warszawskich numerach wyprzedził wszystkich poboczem, obejmując prowadzenie. W ślad za nim pędził ledwo zipiący „maluch”. Po raz pierwszy widziałem coś takiego. Co z przepisami drogowymi?

- Tradycje tego rajdu sięgają głęboko... tak już jest. Ale co mówią na to organizatorzy, policja?

- Policja apelowała do wszystkich, żeby jechali ostrożnie. Niektórzy kierowcy rzeczywiście próbują zachować odstęp pomiędzy samochodami, ale z tego, co widzę, jak tylko robi się on zbyt duży, to ktoś wyprzedza, często z prawej strony, zajmując to miejsce. Tylko po to, żeby być pierwszym.

- Jak zawsze walka jest ostra. W końcu stawka jest wysoka – liczba noclegów w Mikołajkach jest ograniczona... Powiedz nam, czy widziałeś dużo samochodów z obcą rejestracją? Czy udało ci się porozmawiać z jakimiś kierowcami z zagranicy?

- W tym roku jest ich całkiem sporo. Skarżę się przede wszystkim, że jak chcą się włączyć do ruchu, to nikt ich nie wpuszcza.



Guillermo MORDILLO

- Myślę, że to nic osobistego – no, chyba że to Niemcy.

- Być może. Z pozytywnej strony cudzoziemcom szczególnie podoba się to, jak kierowcy jadący w drugą stronę migają światłami, żeby ostrzec przed policją.

- Solidarność w Polsce wciąż silna...

- A już wszyscy myśleliśmy, że zniknęła na zawsze. Moment. Niebawem. Właśnie dostałem wiadomość, że kierowca poloneza dobrowolnie się zatrzymał na żądanie policji. Jechał ponad 170 na godzinę. Policja musiała go puścić. Podobno jakiś poseł. To chyba nieporozumienie?

- Wszystko jest jak najbardziej zgodne z prawem, Mark. Zresztą nie mieszkamy polityki ze sportem. Nasi widzowie chcieliby

jeszcze się dowiedzieć, na kiedy przewidywany jest koniec rajdu.

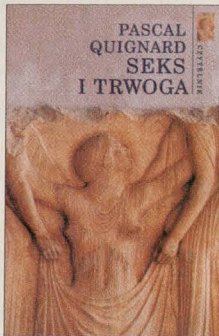
- Trudno powiedzieć. Zawodnicy będą docierać aż do soboty 4 maja. Potem powrót do Warszawy 5 maja. To dopiero będzie konkurencja – wszyscy uczestnicy w jeden dzień. Oddają głos do studia.

- Dziękuję za relację, Mark. Ja się z państwem też żegnam. Zapraszam już za trzy tygodnie na oglądanie kolejnego rajdu. Rajd Boże Ciało 2002. Dziękuję za uwagę.

Muzyka, napisy.

Christiaan van Lierop

Autor o holenderskim nazwisku jest Anglikiem mieszkającym w Polsce.



Pascal Quignard „Seks i trwoga”,
przekład i posłowie
Krzysztof Rutkowski,
Czytelnik, Warszawa 2002



Helen Fielding „Potęga sławy”,
przeł. Katarzyna Petecka-Jurek,
Zys i S-ka, Poznań 2002



Ryszard Przybylski
„Mityczna przestrzeń naszych
uczuć”, wydawnictwo Ślisk,
Warszawa 2002

Pascal Quignard, profesor filologii klasycznej, były sekretarz generalny wielkiego francuskiego wydawnictwa Gallimard i organizator festiwalu muzyki dawnej, napisał – z sukcesem przeniesione na ekran – „Wszystkie poranki świata”. Ale Quignard to przede wszystkim wybitny eseista. W świetnym „Seksie i trwodze” rozmyśla nad sztuką i zwyczajami społecznymi starożytnych Greków i Rzymian, aby pokazać przemianę „radosnego i precyzyjnie skodyfikowanego erotyzmu Greków w melancholię pełną trwogi”, która w sprawach miłosnych stała się udziałem poddanych cesarza Augusta w początkach I wieku po Chrystusie. Przemiana taka mogłaby dzisiaj interesować tylko historyków starożytności, gdyby nie fakt, że chrześcijaństwo przejęło właśnie ów trwony sposób obcowania z seksualnością i uczyniło z niego obowiązującą normę seksualną, pod której panowaniem pozostajemy po dziś dzień. Quignardowskie łowy na miłość to oprócz subtelnych rozważań psychologiczno-filozoficznych prawdziwa kopalnia mało znanych anegdot – jak choćby ta o wielkim pocie rzymskim Owidiuszu, który wygnanie z Rzymu miał zawdzięczać nie romansowi z kobietą z rodziny cesarskiej, ale głoszeniu równouprawnienia rozkoszy erotycznej mężczyzn i kobiet.

(MARBAR)

Satysfakcja gwarantowana, zero ryzyka. Wielbicie (a raczej wielbiciele) Bridget Jones znajdują jej bliźniaczą siostrę w narratore pierwszej powieści Fielding, wydanej w końcu i u nas. Rosie także pracuje w dziale promocji wydawnictwa książkowego, także się upija, także ma nadwagę i romans z facetem o wyższej pozycji społecznej, który oczywiście okazuje się związkofobem. Dlaczego jednak debiut nie był bestsellerem takim jak „Dziennik Bridget Jones”? Może dlatego, że Rosie w odróżnieniu od Bridget jest altruistką i porzuca wygodny Londyn (z jakże podejrzaną wizją osobistego szczęścia) na rzecz obozu dla głodnych uchodźców w Afryce. „Potęga sławy” tkwi ze swoim idealizmem w jakże dalekich latach 80., kiedy czarne było czarne, a białe – białe. Egoizm Bridget pasuje lepiej do czasów, w których pragmatyczna Nowa Partia Pracy realizuje bynajmniej nie socjalistyczny program. Rosie naszkicowana została może nieco grubszą kreską niż jej młodsza siostra, za to „Potęga sławy” ma konkretną fabułę (umówmy się, że w „Dzienniku...” akcja była tylko pretekstem) i o wiele więcej cennych i gorzkich obserwacji ze świata medialnych gwiazdek. (PDW)

„Obowiązkiem starego człowieka jest przypominanie. Na przekór wrzaskom dochodzącym z dyskotek i pubów. Rozkwitające, oszalałe z radości życie w sposób naturalny zapomina bowiem o tym, co zatrzymano w czasie, i nie lubi łączyć sobie na grzbiecie ciężaru odwiecznych »przeklętych problemów«. Ta skaza, która u nastolatków jest naturalna i uroczą, ludzi dojrzałych pogrąża w umysłowej trywialności” – tak we wstępie do swej najnowszej książki eseistycznej konstataje Ryszard Przybylski. Pod piórem każdego innego autora byłyby to stwierdzenia budzące w umyśle czytelnika niepokój, że oto będzie miał do czynienia z kolejnym, jałowym raczej, utyskiwaniem nad nikczemnością współczesnego życia umysłowo-kulturalnego. Ale ponieważ słowa te pochodzą od znakomitego eseisty i historyka literatury, obaw takich żywić nie należy. Bowiem Ryszard Przybylski, posługując się jak zawsze polszczyzną klarowną, zmysłową i esencjonalną, na nowo rozmawia z wierszami Osipa Mandelsztama, Tadeusza Różewicza, Jarosława Iwaszkiewicza i Józefa Brodzkiego. I świat słów wielkich poetów staje się dzięki rozmyśleniom Przybylskiego światem boleśnie zmysłowym i najprawdziej dotkliwym. Autor „Mitycznej przestrzeni...” posiadał bowiem rzadką umiejętność ukazywania literatury w jej wymiarze egzystencjalnym. I tej umiejętności właśnie zawdzięczamy wiarę, że literatura bywa czasem czymś więcej niż nurtem depresyjnych frustratów.

(MARBAR)

Szczęście absolutne

Chodzi o to, żeby bać się przyjemności

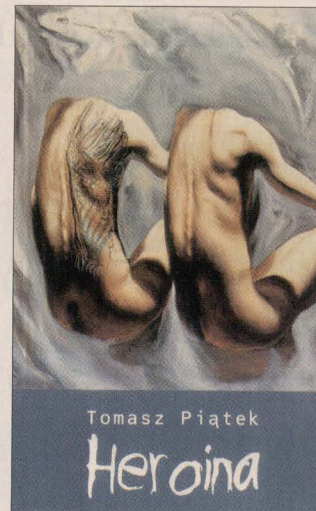
Kiedyś narkotyczne eksperymenty stanowiły przywilej wąskiej kasty artystycznej bohemy, współcześnie narkotykowy nałóg nabrał znamion pokoleniowego doświadczenia całej generacji – pierwszego pokolenia epoki wolnego rynku. Ta generacja zaczyna pisać. Jej głosem okazał się 27-letni Tomek Piątek debiutujący właśnie powieścią, której tytuł niczego nie ukrywa – „Heroina”. Piątek doskonale wie, o czym pisze. Sam zaczął brać w czasie studiów lingwistycznych w Mediolanie, gdzie był korespondentem „Polityki”. Młody debiutant przyznaje, że zaczął brać, bo szukał szczęścia. Teraz, po doświadczeniach z heroiną, szczęście jest dla niego synonimem najgorszego zła. Zdaniem pisarza heroina jest zabójcza, bo daje szczęście: „Kiedy człowiek ma szczęście, to już nic nie musi robić i nic nie chce robić, nawet się umyć nie chce, bo wszystko jest dobrze. Taki człowiek to gotowy kandydat do trumny. Tego się nauczyłem od heroiny i to mnie wyzwoliło z wszelkiego w ogóle poszukiwania szczęścia w życiu”.

Piątek musiał zapłacić wysoką cenę za swoje przywiązanie do szczęścia. Zdolny dziennikarz, współpracownik Radiostacji, Canal plus, agencji reklamowych zaczął wszystko tracić – najpierw

pracę, potem przyjaciół. „Byłem jak ostry przedmiot, który omija się z daleka” – wspomina. W walce z nałogiem pomógł mu „policyjny nadzór” ze strony rodziny i narzeczonej.

Wielu czytelników chce widzieć w książce Piątka środowiskową powieść z kluczem, chociaż on sam temu wyraźnie zaprzecza. „Nie pisałem o tym, co się stało, ale o tym, co mogłoby się stać, gdybym nie przestał ćpać – twierdzi autor. – Ta książka jest o tym, że ludzie, którzy biorą heroinę, tak naprawdę przestają być ludźmi i stają się czymś potwornym. Takie symptomy zaobserwowałem u siebie i u paru moich znajomych, ale to nie znaczy, że książka jest o moich znajomych, ta książka jest o tym procesie”. Mimo tych zapewnień książka zachowuje koloryt konkretnego miejsca i czasu – Warszawy drugiej połowy lat 90. – i stanowi zapis wspólnego doświadczenia. Doświadczenia młodych ludzi, którzy wtedy – wydawało się – najlepiej radzili sobie z ideologią sukcesu rozkwitającego kapitalizmu. Piątek tak mówi o sobie i swoich ówczesnych przyjaciółach: „Nie byliśmy z marginesu, ale łatwo się stoczyliśmy. Domagaliśmy się szczęścia, bo byliśmy przyzwyczajeni do myśli, że mamy mieć wszystko co najlepsze. Nie było w nas skromności. A teraz, kiedy wszyscy dostali po głowie, to myślę, że jest. Heroina to selekcja naturalna dla mojego pokolenia”.

Pracę nad książką rozpoczął, po tym jak sam podjął decyzję walki z nałogiem. „Chciałem w ten sposób cokolwiek ocalić z dwóch lat zmarnowanego życia” – wyznaje. Pierwsze kilkanaście zdań pisał prawie tak długo, jak trwało jego uzależnienie. Dopiero wtedy uznał, że warto pisać dalej, i szybko dokończył resztę. Ta żmudna praca przyniosła paradoksalny efekt. Proces całkowitej zatra-



two jest się bać bólu. Chodzi o to, żeby bać się przyjemności”.

Heroina ludzi obietnicą szczęścia dla każdego. Takiego szczęścia, którego nie jest w stanie już zapewnić żadna społecznie sankcjonowana wartość – rodzina, praca, ideały, bogactwo. „Narkotyki dotykają każdego. Ćpają maklerzy i policjanci. Ci na górze i ci na dole. To jest jak inwazja z innego wszechświata”. Heroina jest groźna, bo źródło tego nałogu tkwi w naturalnym dążeniu do szczęścia. Kultura masowa wbija nam przecież do głowy, że o niczym innym nie marzymy tak jak o szczęściu. Heroina oferuje najkrótszy sposób dotarcia do tego celu. „Szczęście” heroiny jest bowiem idealnie puste i jałowe. „Upalenie brownem” nie przynosi ze sobą jakiegokolwiek inicjacji czy poszerzenia świadomości, które rzekomo znajdowali niegdyś w narkotykach Huxley i Witkiewicz. Konsument heroiny pogrąża się w cieplej zawiesinie bierności. Czysta przyjemność i absolutne szczęście. Tak brzmi definicja zła wyłożona w debiutanckiej książce Tomasza Piątka „Heroina”.

MAREK STASZYC

Tomasz Piątek „Heroina”, wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2002

Sumienie Izraela

Jehoszua i jego rówieśnik Amos Oz należą do tak zwanej grupy Pokolenia Państwa. Pisarze ci urodzeni w latach 30. rozpoczęli swą literacką drogę, gdy Państwo Izrael było już faktem dokonanym. Zdaniem Jehoszuy nie można pisać w oderwaniu od społecznej i politycznej rzeczywistości, w jakiej się żyje.

W opowiadaniu „Na przeciw lasom” bohater – wieczny student piszący pracę o wyprawach krzyżo-

wych – jest strażnikiem lasów państwowych. Drugą postacią jest Arab o uciętym języku. Na gruzach jego wioski posadzono las i Arab zamierza go podpalić, czemu bezczynnie przypatruje się strażnik powodowany sympatią do ofiary, a także odkrywający przyjemność w oglądaniu pożaru lasu, którego powinien strzec. Wedle Jehoszuy niemi Arabowie siedzą w świadomości społeczeństwa i wstrząsają nim od

środka. Intelktualistów poza pocucie winy i strach, że los lasów (metafora Państwa Izrael) podobny będzie do losu królestwa krzyżowców. W całej twórczości Jehoszua wyraża poczucie katastrofy grożącej Państwu Izrael. Na początku publikował sztuki i krótkie opowiadania. Jego pierwsza powieść „Kochanek” (1977) przedstawia degenerację izraelskiego społeczeństwa po wojnie Dnia Sądnego (1973). W powieści „Pan

Mani” (1990) zajmuje się problematyką tożsamości współczesnego Żyda-Izraelczyka. Tematem, którym szczególnie się pasjonuje, jest spotkanie pomiędzy Wschodem a Zachodem. W swych książkach opisuje symbiozę i konflikt między Żydami, którzy dorastali w otoczeniu chrześcijaństwa, a Żydami, którzy przybyli z kultury islamu, oraz zetknięcie ich wszystkich z Palestyńczykami.

SHOSHAN RONEN

GOŚĆ TARGÓW KSIĄŻEK A.B. JEHOZUA



FOT. UZI KERN

Jeden z najwybitniejszych pisarzy hebrajskich, znany również z działalności na rzecz dialogu izraelsko-palestyńskiego. Jego książki są tłumaczone na większość języków oprócz polskiego – miejmy nadzieję, że jego wizyta w Polsce zmieni tę sytuację.



„Poradnik dla samouków.
Nauki filologiczne. Nauki historyczne”
pod redakcją Piotra Chmielowskiego,
Ludwika Krzywickiego
i Adama Mahrburga przy współudziale
grona specjalistów. Wydawnictwo
Aleksandra Heflicha
i Stanisława Michalskiego,
Warszawa 1899, 695 s.

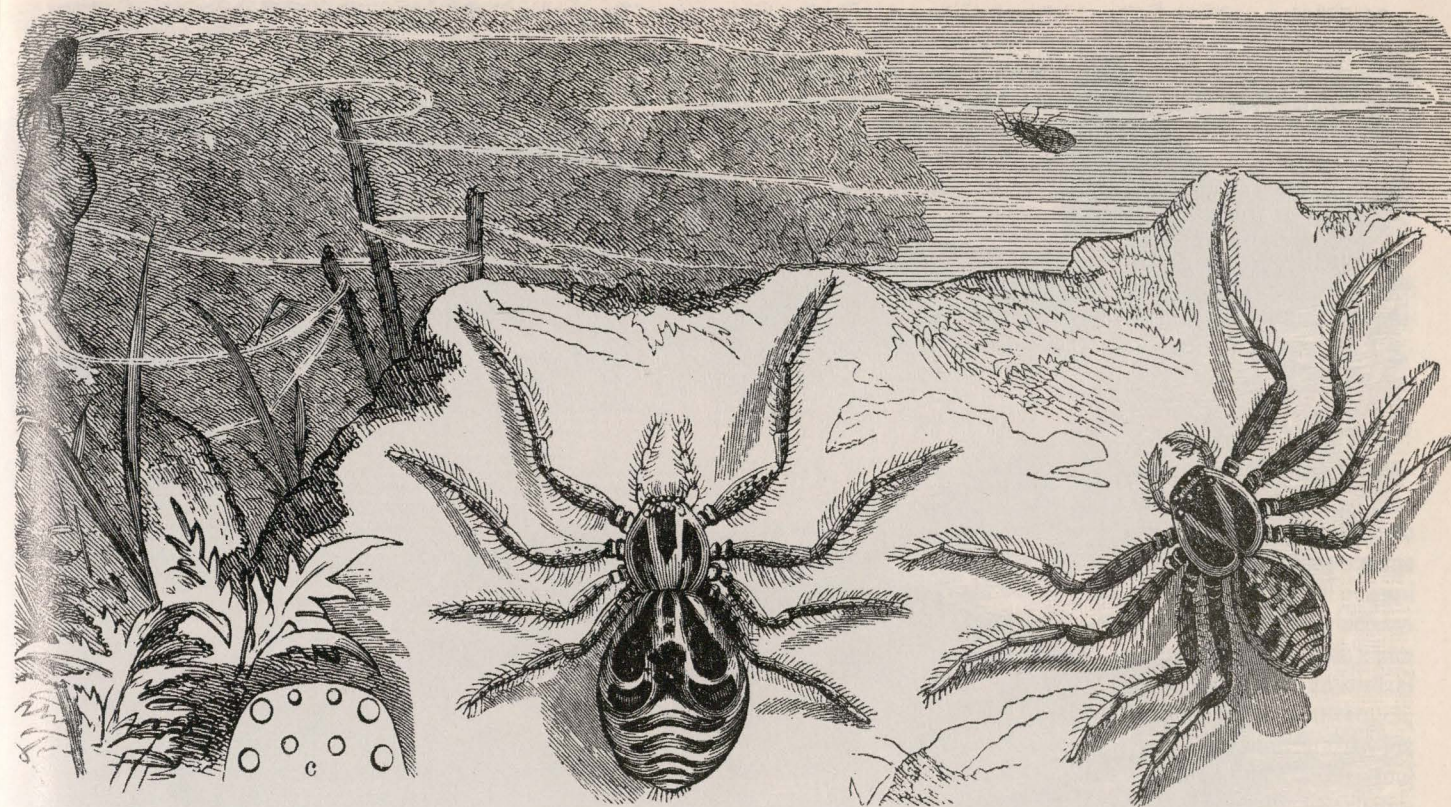
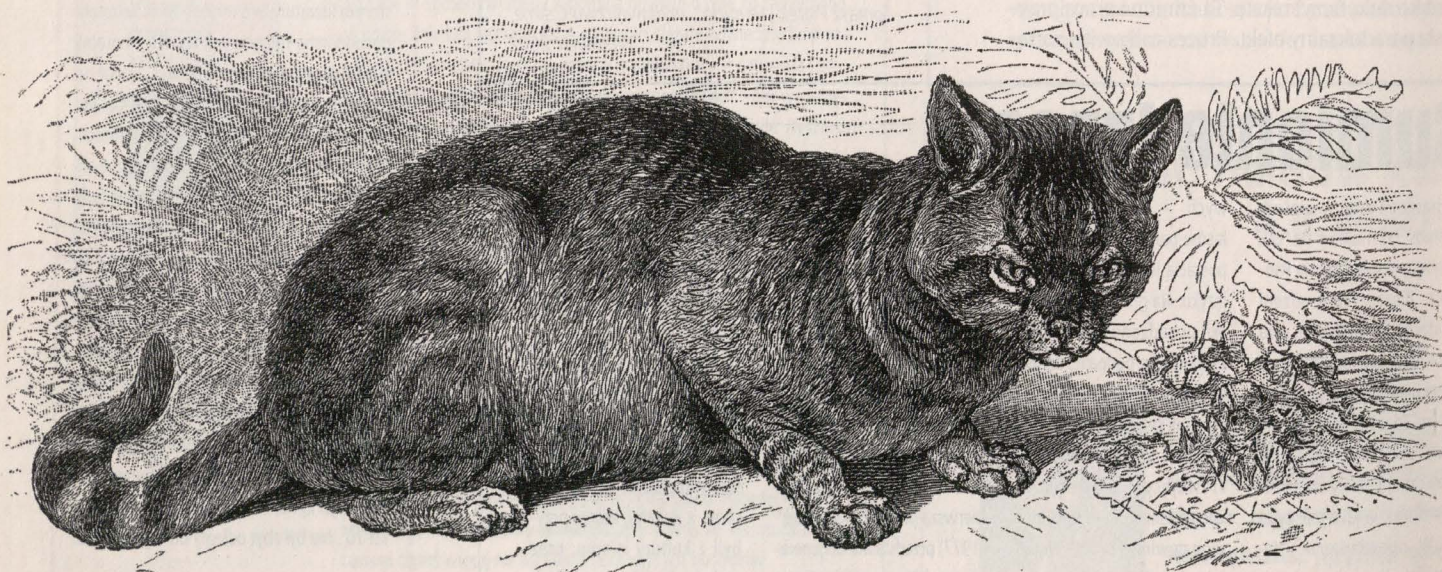
W czasach mojej młodości, gdzieś mniej więcej do połowy, może nawet do samego końca lat 70., zamiastką nieistniejącego wówczas na rynku „Poradnika dla samouków” była w PRL-u coroczna publikacja zatytułowana „Plan wydawniczy Państwowego Instytutu Wydawniczego”. Znam bardzo wiele osób, które własnymi siłami kształciły się, kupując i czytając wszystkie wydawane przez tę oficynę książki – od klasycznych pozycji humanistyki w rodzaju dzieł Gibbona czy Huizingi po współczesne powieści Eugeniusza Kabatca i Aleksandra Minkowskiego. Zapewne, lektury dobierane według „Planu...” tworzyły w niejednej głowie niełichy mętlak, wśród moich znajomych zdawano sobie jednak sprawę, że Huizingę czyta się na serio, a Minkowskiego dla jaj. „Poradnik dla samouków” z roku 1899 wzbogacony o spis publikacji na składzie Księgarni Gebethnera i Wolffa jest świadectwem ogromnego optymizmu w kwestii pojemności ludzkiego mózgu. Egzemplarz, który trafił w moje ręce, był przed laty własnością Kazimierza Czachowskiego, krytyka i historyka literatury, wcześniej – administratora gospodarstw rolnych. Jak wynika z notatek sporządzonych na marginesach, uznał on za godne przeczytania wszystkie niemal pozycje polecane na niespełna 700 stronicach, w tym tak, wydawałoby się, egzotyczne jak „Budowa kanałów ulicznych” i „Wykłady z chirurgii operacyjnej”. Że przeczytał je naprawdę, nie mam wątpliwości. Czachowski nazywany przez przyjaciół jednoosobowym zwariowanym Instytutem Badań Literackich czytał, nie wychodząc tygodniami z mieszkania, gdy zaś wreszcie zdecydował się ogolić i wyrzucić na miasto, szedł do knajpy, pił do rana wódkę, kaca leczył klinem na dworcu, po czym wracał do domu i kontynuował lekturę. Tryb życia, który prowadziłem w końcu lat 70., nie był zbyt odległy od tego wzorca.

ZBMENTZEL@WP.PL

Przedstawiamy fragmenty ostatniej książki Jana Kotta, która ukazuje się właśnie nakładem Fundacji Zeszytów Literackich. Pochodzą z niej również towarzyszące tekstowi ilustracje. „Powiastki dla wnuczek” to miniatury opowiadające o zwierzętach, ale także – a może przede wszystkim – o życiu i śmierci. Wybornie napisane, w istocie prawdziwe poematy prozą, ostatnie teksty Jana Kotta po raz kolejny przypominają, że wraz z nim utraciliśmy nie tylko mędrca, lecz także nieporównanego stylistę

Powiastki dla wnuczek

JAN KOTT



Lidia i Julia

Nie byłem dobrym ojcem. Dzieci mi przeszkadzały. Naprzód krzykiem, potem samą swoją obecnością. Mieszkanie było małe, jak to w Warszawie, ale przecież to nie dlatego. Dużo wtedy pisałem i otwarty byłem na świat. Odsuwałem od siebie, co mi w tym otwarciu na świat przeszkadzało. Mówi się, że mężczyźni często są jeszcze za młodzi, żeby mieć dzieci. Być może, ale teraz nie o tym.

Mówi się również, że dziadkowie bardziej kochają wnuki od swoich własnych dzieci, ponieważ są samą radością bez obowiązków. To czasem prawda, ale dziadkowie dzielą z rodzicami również troski, niepokoję i jakże często, zwłaszcza teraz, obowiązki. Mówi się również, że między córką i matką, między synem i ojcem istnieje rywalizacja. Świadoma albo nieświadoma, być może przekazywana dziedzictwem. Ale teraz i nie o tym. Myślę, że miłość do wnuków przychodzi z jeszcze głębszych pokładów. Nazwałbym ją może metafizyczną, ale boję się takich słów.

Po kolejnym zawale serca kazałem sobie nad szpitalnym łóżkiem zawiesić fotografię mojej wnuczki. Kiedy miała niewiele więcej niż miesiąc, przyjechała do nas z matką z Argentyny. Zadziwiające, jak w tym nowym świecie niemowlęta podróżują łatwo z jednego kontynentu na drugi. Wtedy, na tym łóżku szpitalnym, zawał jeszcze nie przeszedł, zrozumiałem, że nie ma co tak się bać śmierci. Odjadę tam, skąd ona przyjechała. W jej oczach powoli odbijał się świat. Ale zaczęła się śmiać, albo nam się tak tylko wydawało, do małych gwiazdeczek na jej pościeli.

Nasza druga wnuczka ma już trzy miesiące. Urodziła się w Kansas, niedługo potem pojechała z matką do Warszawy. Nie widzieliśmy jej i oboje nie jesteśmy pewni, czy ją jeszcze zobaczymy. Ale co dzień rano i wieczór oglądaliśmy jej pierwszą fotografię. I mówimy, teraz się obudziła i domaga się mleka. Raz usłyszeliśmy jej płacz w telefonie do Polski. Śni z rączkami podniesionymi do góry, ma

okrągły brzusek i moja żona nazywa ją „balonik”. I czasem się boimy, żeby nie uleciała w powietrze.

Weszła w nasze życie. Obie weszły: Lidia i Julia, Lidusia i Julcia. Obie będą żyły, kiedy umrę. I to jest wiara w życie poza grobem niewierzących.

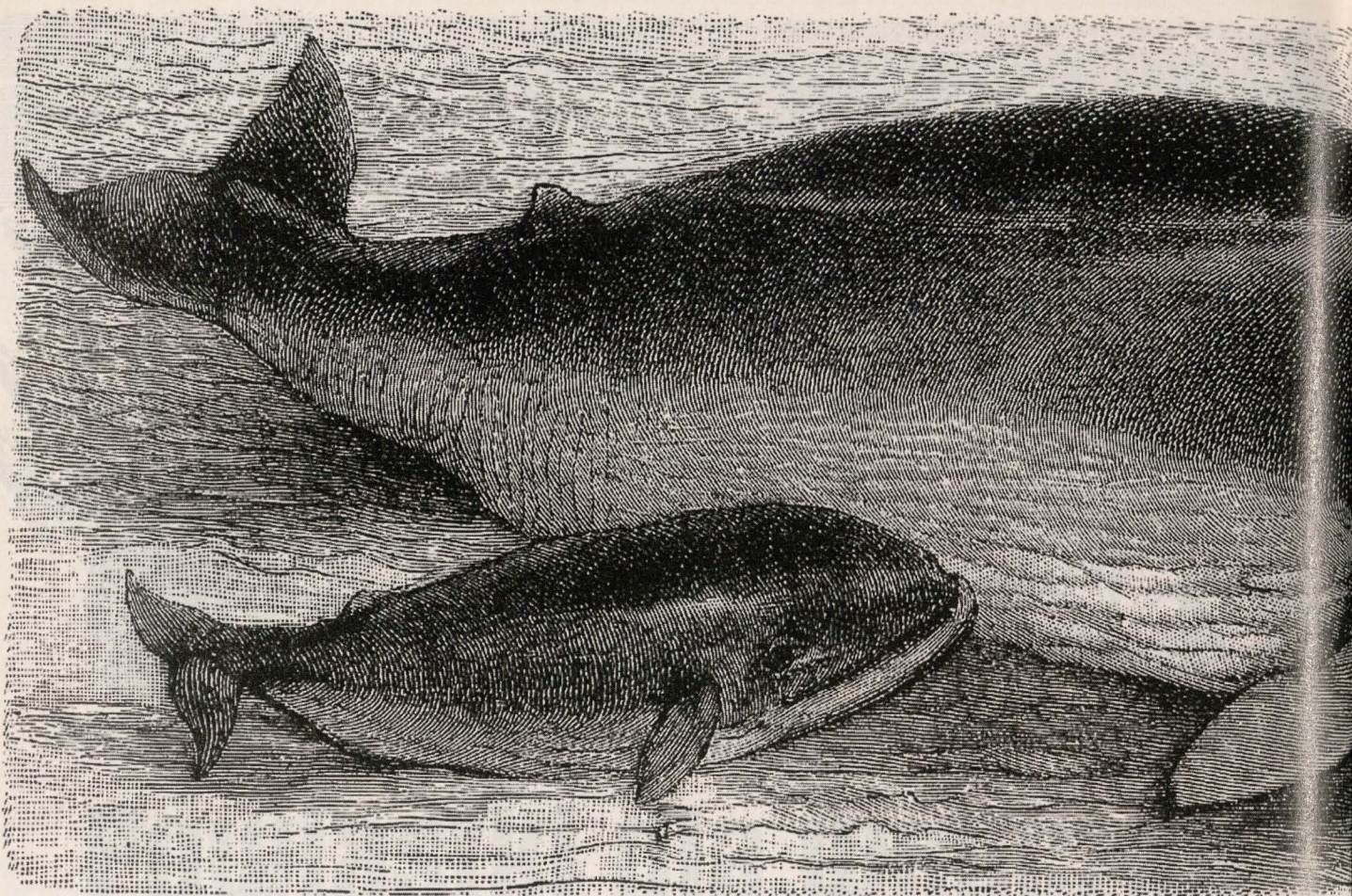
Pająki

W dzieciństwie interesowały mnie pająki. Jeszcze i teraz mnie interesują. Ale wtedy badałem ich zachowanie w sposób naukowy. Kiedy tylko znalazłem dwie pajęczyny, przenosiłem pająka i wkładałem w cudzą pajęczynę. Pająki tego bardzo nie lubiły. Właściciel pajęczyny zjeżdżał po nitce wypływającej z gardła lub połykaną. Za nim drugi. Znowu stały naprzeciw siebie, srożąc się i strasząc, po czym znowu jeden z nich wjeżdżał lub zjeżdżał na dół. Zawsze pionowo, jak akrobaci wspinający się i zjeżdżający po linach. Te pojedynki potrafiły trwać godzinami. Fascynowały mnie.

Pająki musiały robić do siebie okropne miny: wyższości i niższości, i w tych minach władczości i upokorzenia zwyciężały albo uznawały się za pokonane. Niestety, nie znałem jeszcze wtedy Gombrowicza. Ani moja babcia, u której mieszkalem i która szybko wymiotła wszystkie pajęczyny z mojego pokoju.

Bardzo ludzka gorylica

Nie wiem, czy jest takie słowo, ale nie potrafię o niej pisać „samica goryla”. W ostatnim tygodniu pokazywano ją na wszystkich kanałach telewizji przez parę godzin. Miała więcej niż dziesięć lat, jak na gorylicę nie była młoda. Na głowie nosiła zawsze swoje dziecko; goryle noszą dzieci na głowach, jakżeż inaczej, muszą mieć wolne przednie kończyny, kiedy na wolności skaczą po drzewach, i nawet



w zoo, kiedy wspinają się na wysoko osadzonym drążku. Z tym dzieckiem na głowie pokazywano ją na ekranach telewizji.

Do klatki z gorylami wpadł dwuletni chłopczyk. Nie wiadomo jak. Może wspiał się po kracie i osunął w dół. Musiał upaść na głowę, bo nie płakał i stracił przytomność. Gorylica, ciągle ze swoim dzieckiem na głowie, podskoczyła do chłopca, wzięła go delikatnie w ramiona i zaniósła do bramki, którą otwierano, żeby podać gorylomienne pożywienie i koryto ze świeżą wodą. Czekala tam spokojnie, aż przyjdzie ktoś i zabierze chłopczyka. Podobno się wtedy zaśmiała albo coś w tym rodzaju. Potem ze swoim dzieckiem dalej uczepionym na głowie podbiegła do drążka. I bujała się tam długo, ciągle z dzieckiem na głowie.

Gorylica z zoo w Chicago stała się sławna i pisano o niej we wszystkich gazetach. Posyłano jej zewsząd prezenty. Ale jakie prezenty można przysłać gorylom w zoo? Banany. Całe kosze bananów. Kiedy ten pierwszy kosz wniesiono do jej klatki, gorylica rozsypała wszystkie banany. Zbiegły się inne goryle: było ich pięcioro, obu płci i w różnym wieku. Przysiadły naokoło niej. Gorylica po kolei podnosiła banany z ziemi i swoją łapą podawała całemu towarzystwu, jak na eleganckim przyjęciu. Dopiero na samym końcu zjadła trzy pozostałe banany. Bardzo ludzka gorylica, ale może to nie jest dla niej komplement.

Moją wnuczkę zaprowadzono po raz pierwszy do ogrodu zoologicznego w Warszawie. Nie interesowały jej lwy. Patrzyła długo na starego goryla i on także bacznie się jej przypatrywał. Potem powiedziała bardzo cicho, bo była dobrze wychowana: „Tatusiu, dlaczego ten pan jest w klatce?”

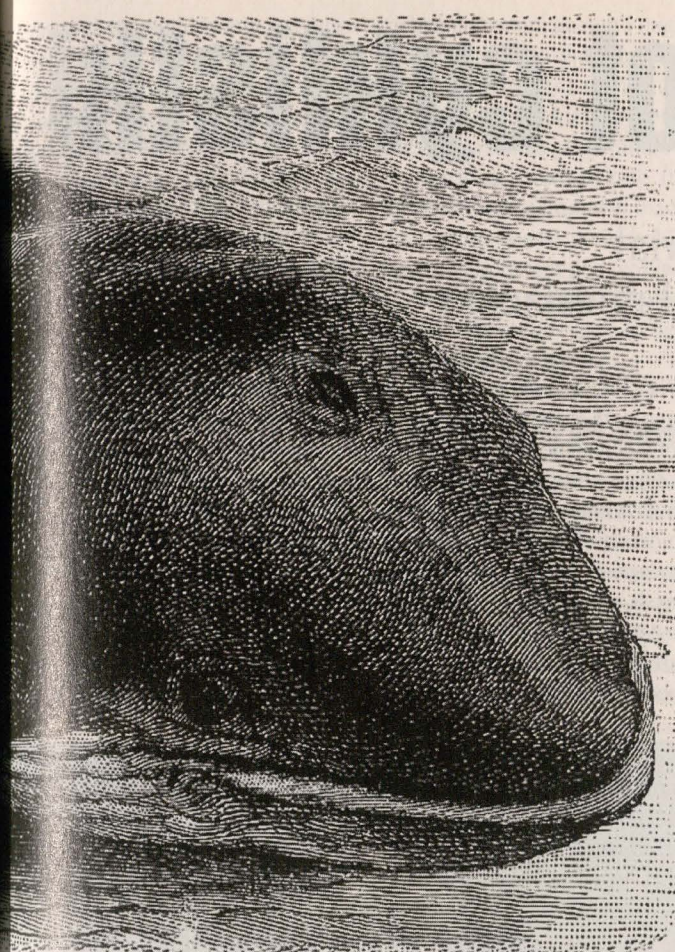
Wieloryb Dziecko

Znaleziono go wczesnym rankiem na pustej plaży w Venice w Santa Monica. Wydawało się, że nie daje znaku życia. Chłopcy,

którzy nadbiegli, polewali tego maleńkiego wieloryba wodą i próbowali go zataścić z powrotem do morza. Ale to stworzenie boże, bo jak je inaczej nazwać, ważyło blisko pięćset funtów. Wezwano pogotowie. Obłożono prześcieradłami, jak obkłada się śmiertelne ofiary wypadków. Za pomocą niewielkiego dźwigu załadowano go na ciężarówkę do San Diego. Jest tam największy w Ameryce Świat Morza. W wielkich basenach wyskakują do góry ogromne delfiny. Może są i tresowane, a może raczej lubią się bawić, same ze sobą i z ludźmi. Na omszonych kamieniach grzeją się w słońcu, jak ogromne zwały mięsa, lwy morskie. Nie zwracają uwagi ani na ludzi, ani na foki, tylko czasem błysną białymi kłami, które im zwisają z pyska na podbródku.

To wielorybie cielátko było odwodnione i niedożywione. Karmiono je co dwie godziny przez specjalny smoczek. – Jak to, co dwie godziny? – spytałem doktora morskich istot. Zdumiał się. – Przecież to jest niemowlę – powiedział. Oczywiście, niemowlę, chociaż nie może płakać. Dostawało specjalne mleko i witaminy. I zastrzyki przeciwko infekcjom. Karmiono je przez specjalny smoczek imitujący cycek matki. Po dwóch tygodniach już piło z butelki. Odżyło i zaczęło samodzielnie pływać. Dwa dorosłe wieloryby w tym samym basenie podpyły do tego cielátka, jeszcze nie było wiadomo, jakiej jest płci, z wielkim zainteresowaniem i zapewne z oznakami przyjaźni.

To dziecko musiało bardzo niedawno się zgubić, bo jeszcze nie miało oderwanej pępownicy. Matki wielorybie bardzo dbają o dzieci, bo zachodzą w ciążę nie częściej niż raz na dwa lata i rodzą tylko jedno wielorybiátko. W świecie wielorybim, jak nie tak dawno czytałem, oseski trzymane są czasami jakby w żłobkach i karmione wtedy przez różne matki. Temu cielátku w basenie w San Diego mierzyli trzy razy w ciągu dnia i nocy temperaturę, jak pacjentom w szpitalach na Special Care, na oddziale reanimacji.



W trzech szkołach w Kalifornii i dwóch w Teksasie dzieci na lekcjach rysowały i malowały małe wieloryby. Obrazki pokazano w telewizji. Były to wielorybki we wszystkich kolorach. Jedno dziecko napisało jeszcze koślawymi literami: *We love you, baby whale*.

Skąd to urzeczenie małym wielorybem w świecie nieustannych straszności? I to właśnie wśród dzieci. Być może dlatego, że wielkie stało się małe w tym odnalezionym opuszczonym dzieciątku na piasku nad oceanem. Bezbronny przybysz. Wieloryb jest najdawniejszą z istot mitycznych, obecną wśród nas od biblijnej Genesis po białego wieloryba w „Moby Dicku” Melville’a.

Znam te fascynacje wielorybie. Na moim stole i na półkach, gdzie jest tylko odrobina miejsca wśród książek, są małe wieloryby, drewniane, porcelanowe, ze wszelkich sztucznych tworzyw. Dostają je od córki i ze wszystkich stron świata od przyjaciół. Najmniejszy jest z kryształu i mogę go zmieścić w pudełku od zapalek.

Przedwczoraj telewizja znowu, chyba po raz ostatni, pokazywała tego już odchowanego wieloryba. Ważył półtora tysiąca funtów. Wypuszczono go na samodzielne życie z tej samej plaży w Venice, gdzie został wyrzucony na piasek. *Baby whale*, Wieloryb Dziecko, popłynął.

Keiko wielorybica

Panna Keiko – *kei*, jak mi powiedziano, znaczy po japońsku zmysłna; *ko* oznacza kobietę – była moją przewodniczką po teatrach bunraku. Ale nie o niej pisały niemal wszystkie amerykańskie gazety w pierwszych tygodniach września. Nawet dwukrotnie widziałem jej zdjęcia na rozkładówkach w tygodnikach. Keiko jest wielorybicą, orką, to gatunek szarych wielorybów, stosunkowo najmniejszych. Schwytana została na wodach Islandii prawie dwadzieścia lat temu i przeniesiona do basenu u wybrzeży Kalifornii. Jest słynną

bohaterką filmu „Uwolnić orkę”. Uwolniono ją po dwudziestu latach i przewieziono wojskowym samolotem transportowym w zimne wody Islandii. Powitało orkę dwustu dziennikarzy i tłumy mieszkańców wyspy.

Ale pannie Keiko było zimno w Islandii i absolutnie nie chciała zacząć samodzielnego życia mimo wszelkich namów i przynęt. Znaczący twierdzą, że ta reaklimatyzacja może potrwać parę lat. Może nawet o wiele dłużej. Smutny los Miss Keiko, którą po latach tryumfów w Hollywood uczą żyć się małżami w zimnym północnym Atlantyku.

Macierzyństwo

Przez dwa poranki, o szóstej trzydziestej, siódmej, siódmej trzydziestej, ósmej i ósmej trzydziestej, wiadomości telewizyjne na wszystkich kanałach zaczynały się od obrazu burej kotki. Była niepozorna, futerko na grzbiecie miała osmalone i łapki przednie obwiązane bandażami. Leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami i tylko baraszkowało po niej pięcioro małych kociąt; dwa z nich były jak ona bure i trzy białe. Poprzedniego wieczoru wyniosła z płonącego domu tych pięcioro, jedno po drugim. Brała je za karczki w pyszczek i wynosiła na dwór. Kiedy wyniosła dwoje ostatnich, cały dom płonął i pełen był czarnego gryzącego dymu. Strażacy już bali się tam wejść, polewali tylko sikawkami ten dom z trzech stron.

Kiedy bura kotka wyniosła ostatnie z kociąt, padła bez ruchu. Była nieprzytomna. Zatruta dymem. Odratowano ją. Bura kotka śpi śmiertelnie zmęczona. Po jej grzbiecie biega pięcioro dzieci. Matka.

Siedmioraczki

Były naprzód ósmioraczki. Ale najslabsze, łatwo można było je unieść na dłoni, nie przeżyło drugiego tygodnia.

Siedmioraczki leżą w inkubatorach i zostaną tam jeszcze wiele tygodni. Podwiązane mają nóżki i rączki, żeby leżały w tej samej pozycji jak w łonie matki.

Jeszcze do niedawna nie miały imion; nazywano je literami alfabetu, od A do F i G. W ostatnim tygodniu dostały imiona. Bardzo piękne, w starej tradycji, w każdym z imion powtarza się Bóg: „Bóg dał”, „Bóg błogosławi”. Kiedy już każde z nich ma swoje własne imię, siedmioraczki przyjęte zostały do rodziny ludzkiej.

Niedawno przeczytałem, że najstarsza z dziewczynek, ta, która urodziła się pierwsza, uniosła powiekę, jakby chciała obejrzeć świat. A najmłodszy z braciaków podniósł po raz pierwszy paluszek.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego to mnie przejęło. Może dlatego, że sobie pomyślałem, że dopiero co przybyły stamtąd, dokąd ja już niedługo pójdę.

JAN KOTT



„Powiastki dla wnuczek” ukazują się w dniu rozpoczęcia 47. Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie, które odbędą się w Pałacu Kultury i Nauki (15–19 maja). Dwa pierwsze dni imprezy są zamknięte dla publiczności. Miłośników książek zapraszamy w piątek 17 maja (od godz. 10 do 19), sobotę 18 maja (od 10 do 20) i w niedzielę 19 maja (od 10 do 18).

Bolesny żywot cyklistki

Nic, co ludzkie, nie jest mi obce – mawiał Terencjusz. Łatwo mu mówić. Nie miał miesiączki

Czy miesiączka to cecha ludzka, czy zwierzęca? Czy to normalne, by organizm pozwalał sobie co miesiąc na utratę kilkudziesięciu mililitrów cennej krwi? Jest objawem choroby czy zdrowia kobiety?

Wynalazek amerykańskich naukowców wywołał kolejną serię pytań o istotę naszego człowieczeństwa i możliwości zmian, jakich możemy dokonywać wobec natury.

Fiction? Science!

– Nigdy więcej miesiączki! – krzyczały kobiety, masowo wykupując z aptek nowe cudowne pigułki, dzięki którym mogły zatrzymać na dowolnie długo menstruację. Z czasem przywracały ją sobie tylko wtedy, gdy chciały zajść w ciążę. W zasadzie trudno się dziwić. Bolesna, kłopotliwa i niezbyt estetyczna przypadłość nie była tym, o czym każda kobieta marzyła co miesiąc. Z czasem normą stał się fakt, że kobiety nie miesiączkują. Dlatego za swego rodzaju dziwactwo uznano ruch „cyklistek” – kobiet, które farmaceutyczną manipulację uznały za zamach na ich godność. Walczyły o życie kobiety zgodne z jej biologią i naturalnym cyklem.

Młode, zbuntowane, szukające swojej drogi w życiu kobiety z pogardą wyrzucały cudowne pigułki. Starsze, doświadczone przyglądały się temu z pobłażaniem. – Poczekajcie do pierwszej prawdziwej miesiączki – mówiły. I wiedziały, co mówią. Zbuntowane córki, doświadczając pierwszej naturalnej menstruacji, przybiegały z płaczem do matek. – Dlaczego nie uprzedziłyście, że to tak boli?! – krzyczały.

Gdy w jednym z pism *science fiction* czytałam opowiadanie takiej treści, nie myślałam, że tak szybko stanie się rzeczywistością. Ale oto proszę: amerykańscy farmaceuci donoszą o opatentowaniu nowej

pigułki, która pozwoli kobietom regulować miesiączkę – pisze fachowa gazeta „New Scientist”.

Stara znajoma pigułka

Dla pań, które biorą pigułkę antykoncepcyjną – żadna nowość. Zazywanie ich bez robienia przepisowej tygodniowej przerwy przynosi właśnie ten skutek.

Pigułki antykoncepcyjne są oparte na syntetycznych odpowiednikach kobiecych hormonów płciowych – estrogeny i progesteronu. Przyjmuje się je przez 21 dni w miesiącu. Wprowadzają organizm kobiety w błąd, powodując, że myśli, iż jest w ciąży. Skutkiem tego zahamowuje owulację – nie uwalnia komórek jajowych. Pod wpływem sztucznych hormonów

w bardzo niewielkim stopniu przyrasta też błona śluzowa macicy przygotowana na to, by przyjąć hipotetyczny zarodek.

Lekarze zalecają przerwę między 21-dniowymi okresami zazywania pigułek. Wtedy rozpułchnięta błona macicy złuszcza się i jest wydalana z krwią, naśladując miesiączkę. Gdyby nie było przerwy, krwawienia też by nie było.

Nowy środek działa tak samo. Jest nawet dokładnie tym samym – pigułką antykoncepcyjną. Ma jednak inną nazwę i opakowanie. Jak przystało na każdy nowy lek,

również ten poddawany jest właśnie testom klinicznym... Jeśli biurokratycznym wymogom stanie się zadość i testy wypadną pozytywnie, pigułka znajdzie się w aptekach już w roku 2003. Powoli rozpoczyna się kampania reklamowa.

Producenci cudownego leku uświadamiają kobietom, że tysiące, a może i miliony, lat pozostawały w niewoli zwierzęcego atawizmu, jakim jest menstruacja. Lepsze odżywienie i poprawa stanu zdrowia spowodowały, że dzisiejsze kobiety zaczynają miesiączkować wcześniej niż ich prababki. – Dziś u zdrowej kobiety, jeśli nie ma dzieci, miesiączka zdarza się około 440 razy w życiu. Każde dziecko oszczędza jej około 12 razy.

W ten sposób przez całe życie regularnie miesiączkująca kobieta traci około 38 litrów krwi. To mo-

że być powodem anemii i migren – przekonują „antymiesiączkowcy”. Przypisują też menstruacji powodowanie takich kobiecych przypadłości jak rak jajnika i endometrioza (wędrowanie fragmentów błony śluzowej macicy do innych części ciała kobiety i przerastanie tam pod wpływem wahań hormonów). Dowodzą również, że menstruacja to swego rodzaju wybryk natury.

Kotka na gorącym dachu

Przywołują przykłady samiczek licznych gatunków zwierząt, którym ta przypadłość nie jest znana. – Zaledwie kilka gatunków małp, nietoperzy i gryzoni ma tak częste krwawienia – krzywią się. – Wydaje się, że nie jest to zjawisko preferowane przez naturę – twierdzą przedstawiciele zainteresowanych wynalazkiem firm farmaceutycznych. Objawy towarzyszące comiesięcznym krwawieniom: bóle brzucha, głowy, złe samopoczucie, raczej przypominają chorobę, niż są dowodem zdrowia kobiety – przekonują.

Rzeczywiście, większość znanych mi kobiet nie wyczuje z utęsknieniem tych kilku dni w miesiącu określanych okrągłym słowem „niedyspozycja”. Co więcej, jednym z eufemizmów tego stanu jest wyraz „choroba”. Czy zatem menstruacja jest nam potrzebna? Dlaczego doświadcza jej tak niewiele gatunków zwierząt? Czy mamy prawo pozbyć się jej, uznając, że jest mało estetycznym atawizmem, którego my, ludzie, w ogóle nie powinniśmy doświadczać?

– Krwawienie będące zakończeniem cyklu miesięcznego (w odróżnieniu od krwawień sygnalizujących okres płodny u zwierząt) rzeczywiście występuje w przyrodzie dość rzadko – mówi ginekolog profesor Longin Marianowski, kierownik I Katedry i Kliniki Położnictwa i Ginekologii Akademii Medycznej w Warszawie. – Nie jest jednak atawizmem ani jakąś pomyłką ewolucji. Argument, że doświadcza jej bardzo nieliczne zwierzęta – w tym głównie samice małp naczelných – jest słuszny, ma jednak i drugą stronę. Zastanówmy się bowiem, jak natura rozwiązała problem płodności u zwierząt, które nie mają menstruacji.

Widzieliście kiedyś kocicę w marcu? Przymus prokreacji – instynkt – całkiem odbiera jej rozum. Zrozpaczeni właściciele cichego i miłego do tej pory zwierzątka nie są w stanie z nim wytrzymać. Rozdzierające miauczenie, szorowanie brzuchem po podłodze, próby rozbicia okna, gdy po jego drugiej stronie zamajaczy choć cień kocura. Ruja. Doświadcza jej większość zwierząt. Na kilkanaście dni w roku pożądanie usypia ich rozum. Nie są w stanie myśleć o niczym innym.

Z jaką pobłażliwością możemy patrzeć na te zwierzęce chucie – my, ludzie, potrafimy kontrolować swoją płodność. Potrafiący przewidywać z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością nasze płodne i bezpłodne okresy. A jeszcze kilka milionów lat temu także braliśmy udział w tym rujo- wym opętaniu. Wyzwolenie przyniósł miesięczny cykl płodności, którego widocznym przejawem jest właśnie kilkudniowe krwawienie zwiastujące koniec i początek pewnego rytmu. Miesiączką okupiliśmy wejście na wyższy szczebel ewolucji, tak jak bolesnymi porodami spłacamy naszą dwunożność. A więc to właśnie menstruacja świadczy o naszym człowieczeństwie.

Czy zatem nowa cudowna pigułka się przyjmie? – W moim odczuciu nie – prognozuje profesor Marianowski. – Jestem lekarzem od wielu lat i z moich obserwacji wynika, że dla kobiet miesiączka to coś więcej niż dowód ich dojrzałości płciowej. Zdarza się czasem, że na skutek choroby musimy usunąć kobiecie macicę – mówi ginekolog. – Co zaskakujące, ogromna część kobiet przeżywa załamanie nerwowe nie ze względu na brak tego narządu, ale właśnie ze względu na brak miesiączki! Podobnie dzieje się u kobiet, które przechodzą menopauzę – wyjaśnia. – Farmakologia pozwala łagodzić objawy przekwitania za pomocą hormonalnej terapii zastępczej. Można prowadzić ją tak, by przywrócić krwawienia miesięczne, a można z nich zrezygnować. Logiczne wydawałoby się, że kobiety nie będą tęsknić za dość uciążliwą menstruacją. A jednak kilkadziesiąt procent prosi o przywrócenie im miesiączki.

Przecucie profesora Marianowskiego jest chyba słuszne. Kobiety

nie przyjęły z entuzjazmem pomysłu amerykańskich farmaceutów. Protestują nawet feministki. – Lekarze z myślą o zysku czynią z miesiączki coś w rodzaju choroby, którą trzeba leczyć! – protestują.

Wstępne badania przeprowadzone przez Światową Organizację Zdrowia w siedmiu krajach ujawniły, że tamtejsza większość kobiet nie chce zmieniać częstości występowania cykli miesięcznych. Tajki i Hinduski uważają nawet, że częste miesiączki korzystnie wpływają na ich zdrowie i urodę.

Jedynie kobiety Zachodu są nieco zmęczone własną fizjologią. Najnowsze ankiety przeprowadzone w Holandii pokazują, że około 70 procent kobiet chciałoby przechodzić miesiączki rzadziej niż raz na miesiąc. Podobnie uważają kobiety w Szwecji i Wielkiej Brytanii.

Nie grzebać w zegarach (biologicznych)

Podzieliło się także środowisko lekarzy. Optujący za pozostawieniem w spokoju miesięcznego cyklu kobiety uważają, że jest on dowodem jej zdrowia i prawidłowego funkcjonowania organizmu.

– Podawanie kobietom takich pigułek utrudni wykrycie objawów zaburzeń funkcji jajników – ostrzega Lawrence M. Nelson z National Institute of Health w USA. – To opóźni ewentualne leczenie schorzenia i może grozić niepłodnością.

– Comiesięczna utrata kilkudziesięciu mililitrów krwi nie wpływa źle na organizm kobiety – potwierdza profesor Marianowski. – Co więcej, stanowi bodziec dla szpiku kostnego do produkcji krwi. Złuszczenie się błony śluzowej macicy – bo to właśnie jest istotą miesiączki – jest też zabezpieczeniem przed możliwymi zmianami chorobowymi w tej błonie. Poza tym uważam, że niezwykle łatwo jest manipulując cyklem miesięcznym, rozregulować go, co może doprowadzić nawet do zatrzymania jajczkowania i bezpłodności – ostrzega profesor.

Co do mnie, przystąpię do cyklistek. Może to i boli, ale kto obiecywał, że będzie łatwo? Być człowiekiem – to zobowiązuje. Także do miesiączki.

OLGA WOŹNIAK



Bywa, że zaczyna. „**Więc** pijmy za zdrowie miłości”. „**Więc** przepijmy naszej babci domek mały”. Zaczyna biesiadne piosenki. Wesołe. Czasem figlarne.

Ale nie powinienem zaczynać od „**więc**”. To jeden z nielicznych respektowanych zakazów szkolnych. Więc jak zaczynam od „**więc**”, to zaraz mówię, że nie powinienem zaczynać od „**więc**”.

A dlaczego tak zaczynam? Bo niewygodnie jest w ogóle zaczynać. I kiedy zaczynam, to udaję, że właściwie wcale nie zaczynam teraz, że naprawdę zacząłem już wcześniej i teraz tylko z tego, co wcześniej niby powiedziałem, wyprowadzam wniosek. Bo „**więc**” zaczyna wniosek. „**Więc**” wzięło się z „więcej”, „dalej” – wnioskowało, czyli prowadziło rozumowanie dalej. Taki wniosek dalej idący.



rys. Marek Sobczyk

„A **więc** tak” – mówię, kiedy przechodzę do „wniosków mowy”. „A **więc** to tak!” – wołam zdziwiony, pełen zgorszenia, potępienia i groźby. Znaczący, wyciągnąłem wniosek. Mało tego, wyciągnę wnioski!

Przez „**więc**” nie tylko wnioskuję. Także mówię, że wnioskuję. Kiedy mówię: „kałuża, bo padało”, banalnie mówię o przyczynie. Kiedy mówię: „kałuża, **więc** padało” – mówię naprawdę o sobie. Że tak wnioskuję. Taki wniosek wyciągam z kałuży.

Przez „**więc**” odpowiadam. Pytasz, **więc** odpowiadam. Pytasz, co słysząc. **Więc** nie jest źle. Czasem wyliczam. Gdzie byłem? **Więc** byłem tu, i tu, i tam, i ówdzie.

Można by więcej. Ale można na tym skończyć. **Więc** kończę. Nie ma zakazu, żeby kończyć na „**więc**”. Kończę więc.

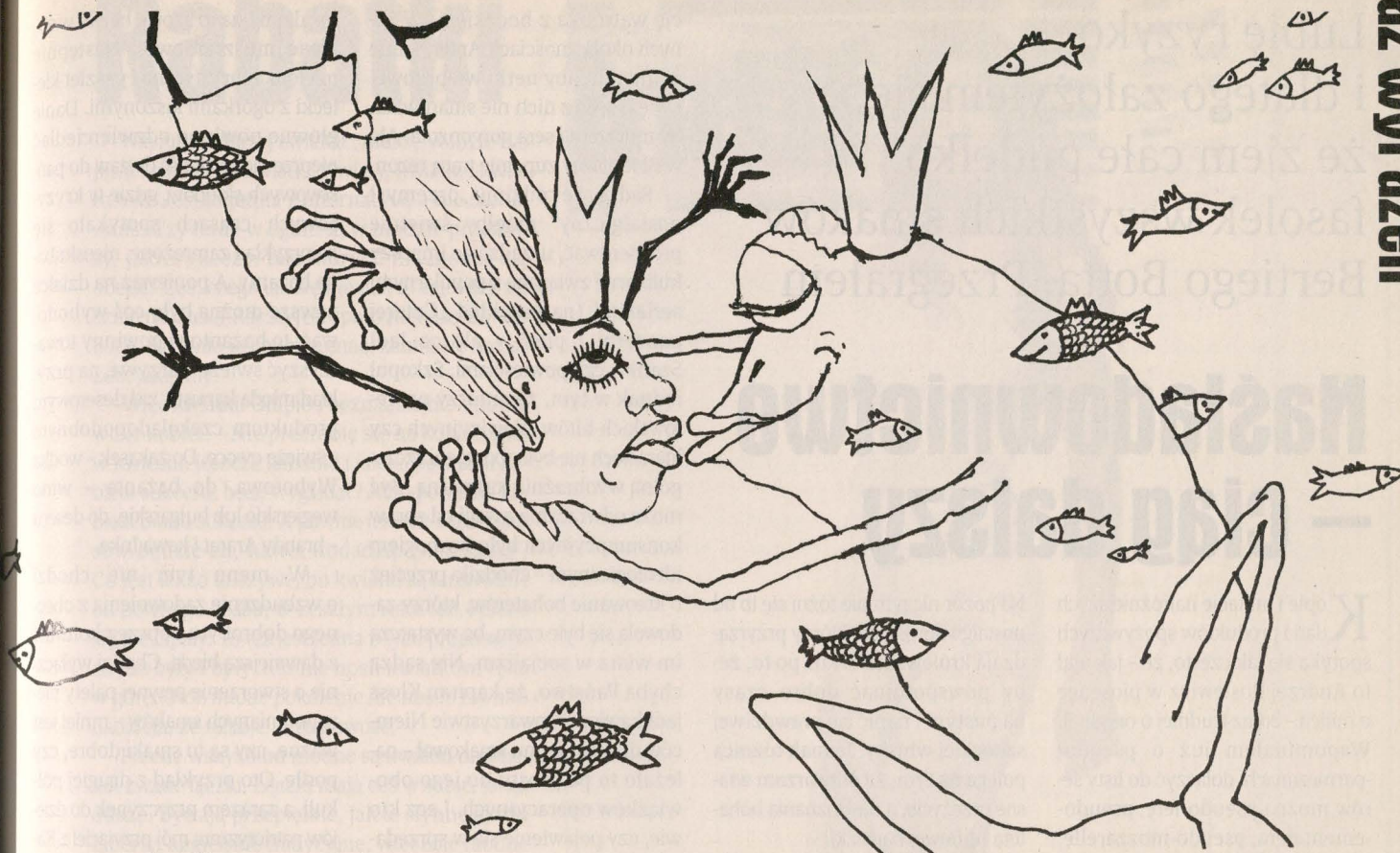
Jerzy Bralczyk

Kici Kici

Zestaw niezbędnych wyrażen i zwrotów w różnych językach świata

- w Polsce: NA DWOJE BABKA WRÓŻYŁA
- w Wielkiej Brytanii: THERE'S NO TELLING HOW THINGS TURN OUT (dosłownie: nie można przewidzieć, jak się sprawy potoczą)
- we Włoszech: FARE A TESTA O CROCE (robić coś na głowę albo na krzyż)
- w Turcji: NE CÝKARSA BAHTÝNA (to, co się wydarzy, jest w rękach losu)
- w Niemczech: ES KANN SO, ES KANN AUCH ANDERS WERDEN (może być tak, ale może i inaczej) lub ES IST NOCH NICHT ALLER TAGE ABEND (dni jeszcze się nie zakończyły – w domyśle: nie wiadomo, co się może wydarzyć), lub DER AUSGANG IST NICHT VORAUSZUSEHEN / IST UNSICHER (nie jest pewne, jak to się zakończy)
- we Francji: ON NE SAIS PAS, COMMENT LES CHOSES VONT TOURNER (nie wiadomo, jak się rzeczy potoczą) lub C'EST A VOIR lub C'EST CE QUE L'ON VERRA (to się zobaczy/okaże)
- w Iranie: JĀ NASIB-O JĀ QESMAT (albo los, albo fatum / albo łut szczęścia, albo pech)

rys. Marek Sobczyk



Odpowiedz: Czuję się jak ryba w wodzie

za 1000 złotych można (usunąć) • pięcioosobowej rodzinie kamień nazębny ze wszystkich zębów. W cenę wliczone jest także lakierowanie preparatem przeciwko próchnicy • zmarszczki z górnych powiek (lub z jednej trzeciej twarzy). Cena nie obejmuje konsultacji ani znieczulenia • pięć dużych gniazd szerszeni wraz z mieszkańcami przez specjalistyczną firmę. Przy zamówieniu hurtowym – rabat • dwa spore tatuaże. Jeden bezbolesny zabieg trwa około pół godziny • płyty azbestowe z 26 metrów kwadratowych dachu – w cenie demontaż, pakowanie, transport i utylizacja • grzyby ze ściany. Cena obejmuje odgrzybienie całego pomieszczenia, a także skucie tynku, osuszenie ścian i powtórne ich pomalowanie • szczury z czterech niewielkich domków jednorodzinnych. Zapłacimy więcej, jeśli dom stoi w polu • jedną jodłę lub dwa dęby, lub 10 sosen o obwodzie pnia między 100 a 200 centymetrów

teraz szczęście

Françoise Verny, dzięki której ukazało się (lub nie) wiele książek francuskich, opowiada, że pewien wydawca zaprosił na kolację znanego krytyka. Miał nadzieję natchnąć go życzliwością do jednej z książek swojego wydawnictwa, bo tamten był jurorem poważanej nagrody literackiej.

Przy deserach wydawcę coś podkuśiło spytać towarzyszącą mężowi żonę krytyka, czy ona także pisuje. Żona odpowiedziała, że tak i że właśnie kończy dziejącą się w średniowieczu powieść. Grzecznościowo wyraził zainteresowanie.

Po powrocie do domu oświadczył swojej żonie, że nieco się upił na kolacji z krytykiem i nieodpowiedzialnie chlapnął coś, przed czym każdy wydawca powinien się trzy razy zastanowić. Po paru dniach przyszła paczka z maszynopisem. Mówi więc żonie, że nie może pograć swojego wydawnictwa w oczach tamtego ważnego krytyka i oddała się czytać.

Ku własnemu zdumieniu orientuje się, że ma do czynienia z wciąż żywą średniowieczną, dobrze się trzymającą realiów XIII wieku, sagą.

O szczęściu wydawcy

Odetchnął i postanowił wydać liczący 1500 stron maszynopis. Podobał mu się, ale bał się tego średniowiecza i tej objętości. Kalkulował ostrożnie. Wydał pierwszego nakładu 10 tysięcy egzemplarzy. I co? Książka osiągnęła ponad milion nakładu i została napisany dalszy ciąg.

Żaden wydawca, który czegoś takiego nie przeżył, nie czuje się dobrze, opowiadając taką przygodę. Ja również, jako historyk literatury z cenzurem, trochę się denerwuję, chociaż i tak „robię w przeszłości”. Wydawcy mają przewidzieć i „zmusić” przyszłość do zaakceptowania ich planów.

Jak zauważa Verny, potem dorobiono teorie, dlaczego ta właśnie książka wydawała się ludziom lepsza niż inne i była tak bardzo poszukiwana. Ale na początku o tym, żeby książka w ogóle się ukazała, decyduje stanowczo (jak dla nas) za dużo przypadków i łutów szczęścia. Tak jednak po prostu jest. To tylko dowodzi, że literatura, co intuicyjnie i tak wiemy, należy naprawdę do życia. A ono bez szczęścia nie może się obyć.

Małgorzata Baranowska

Lubię ryzyko i dlatego założyłem się, że zjem całe pudełko fasolek wszystkich smaków Bertiego Botta. Przegrałem

Naśladownictwo – ciąg dalszy

Kopie i imitacje najróżniejszych dań i produktów spożywczych spotyka się tak często, że – jak ujął to Andrzej Rosiewicz w piosence o milicji – coraz trudniej o oryginał. Wspominałem już o pseudo-parmezanach: dołączyć do listy serów można pseudo-fetę, pseudo-ementalera, pseudo-mozzarellę, pseudo-camembert, pseudo-fontinę i wiele innych. Właśnie w przypadku serów różnicę pomiędzy smakiem oryginału i imitacji odczuwa się najdotkliwiej, choć pseudo-whisky też może dać się mocno we znaki (doświadczyłem tego kiedyś na pustyni, gdzie podawano wyłącznie odmianę libijską, a noce były chłodne). Lecz to właśnie imitacje napędzają gospodarkę. Szczególną niszę tego procesu zajmuje produkcja gadżetów związanych z Harrym Potterem – na przykład fasolek Bertiego Botta.

Fasolki Botta to kolorowe cukierki w kształcie jajeczek. Występują w wielu smakach, nawet chrzanowym i marchewkowym, jak również bardziej konwencjonalnych: kukurydzianym i pomidorowym. Lubię ryzyko i związane z nim nagrody, więc założyłem się o dobry obiad z pewnym smakoszem, że zjem całe pudełko tych fasolek. I przegrałem, ponieważ wzbudzały we mnie odruch wymiotny. Lecz dzieci znajomych bardzo wysoko cenią te wredne jajeczka i objadają się nimi z niepojętą rozkoszą. Zapewne dlatego, że udaje się im przez to powrócić na chwilę do bajki o Harrym Potterze. I szybko wrócić do kojącej rzeczywistości.

Na pozór niczym nie różni się to od nostalgii dorosłych, którzy przyrządzają królewski kuskus po to, żeby wspominać dobre czasy na pustyni i napić się prawdziwej szkockiej whisky. Jednak różnica polega na tym, że odtwarzam własne przeżycie, a nie doznania bohatera filmowej bajeczki.

Lecz naśladowcza determinacja skądinąd rozsądnych ludzi jest przemożna. Podczas obchodów Bloomsday w Dublinie przybyli z całego świata (choć głównie z USA) wielbiciele „Ulissesa” Joyce’a jedzą te same rzeczy co bohater tej powieści Leopold Bloom. Czyli na śniadanie nerka wieprzowa z patelni, na lunch kanapka z gorgonzolą i musztardą, na kola-

cję wątróbka z boczkiem. W innych okolicznościach Amerykanie ci nie tkneliby nerki wieprzowej i większość z nich nie smarowałaby musztardą sera gorgonzola. Ale w Bloomsday zupełnie tracą rezon.

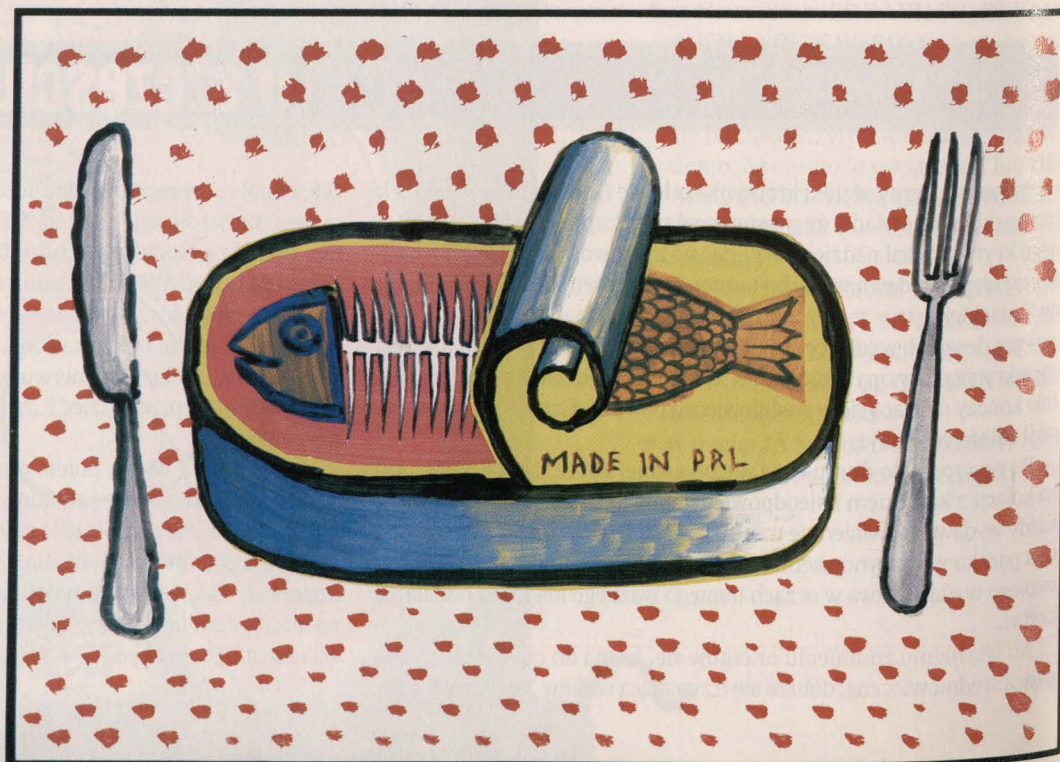
Sądzę, że rodzimy „przemysł nostalgiczny” mógłby świetnie prosperować, urządzając imprezy kulinarne związane z popularnymi serialami (na przykład „Czterej pancerni i pies” – ale co jadł Szarik?) czy powieściami. Szkopuł jednak w tym, że autorzy peerelewskich hitów telewizyjnych czy literackich nie byli obdarzeni szczególną wyobraźnią kulinarną. Być może odwracanie uwagi od spraw konsumpcyjnych było wymogiem ideologicznym – chodziło przecież o kreowanie bohaterów, którzy zadowolą się byle czym, bo wystarcza im wiara w socjalizm. Nie sądzą chyba Państwo, że kapitan Kloss jadł kawior w towarzystwie Niemców dlatego, że mu smakował – należało to po prostu do jego obowiązków operacyjnych. Lecz kto wie, czy pojawienie się w sprzedaży sucharów bądź konserw mięsnych z wizerunkiem czołgu „Rudy” nie doprowadziło do kolejnej emisji tej pancernejszej sagi w telewizji publicznej. Zaś słodczyce opakowane w imitacje kartek żywnościowych z lat 80. mogłyby się przydać w nauczaniu historii najnowszej.

A oto propozycja menu nostalgicznego. Najpierw – konserwa ryb-

na, dajmy na to szprot helski w zalewie musztardowej. Następnie mielonka turystyczna i pasztet kiełki z ogórkami kiszonymi. Danie główne powinno odzwierciedlać nieprzewidywalność dostaw do państwowych sklepów, gdzie w kryzysowych czasach spotykało się na przykład zamrożone, nieoskubane bażanty. A ponieważ na dzieńce zawsze można było coś wyhodować, to bażantowi powinny towarzyszyć świeże warzywa, na przykład młoda kapusta, zaś deserowym produktom czekoladopodobnym – świeże owoce. Do zakąsek – wódka Wyborowa, do bażanta – wino węgierskie lub bułgarskie, do deseru – brandy Ararat i kawa Inka.

W menu tym nie chodzi o wzbudzenie zadowolenia z obecnego dobrobytu poprzez kontrast z dawniejszą biedą. Chodzi wyłącznie o stworzenie pewnej palety niezapomnianych smaków – mniej jest ważne, czy są to smaki dobre, czy podłe. Oto przykład z drugiej półkuli, a zarazem przyczynek do dziejów patriotyzmu: mój przyjaciel z Kalifornii, który spędza prawie każde lato w Paryżu, po powrocie każe się wieźć prosto z lotniska do obrzydliwej meksykańskiej knajpy na Telegraph Avenue w Berkeley, gdzie pochłania fatalnie przyrządzone potrawy, za którymi tęsknił na obczyźnie. Wie, że są niedobre, lecz dlatego je kocha.

TADEUSZ PIÓRO



Rabatkki

Nie ma co dłużej zwlekać, muszę Wam to napisać: modne są kwiatki. Kwiaty, kwiatki i kwiatuszki. Jest to jedna z alternatyw, a nie modamus. Czy teraz w ogóle są w modzie przymusy, jakieś rzeczy, bez których nie można się obejść? Coś, czego jak się nie ma, to człowiek się czuje na aucie? Raczej jest sporo różności do wyboru. Ale miło je chociaż znać, zanim się na coś zdecydujemy.

Więc kwiatki. Głupio i beznadziejnie – powie wiele kobiet. – Nie przerobię się na kobieciątko w kwieciu, jeszcze falbanki i jak ja, poważna kobieta sukcesu, będę wyglądać? Albo poważna kobieta braku sukcesu. A pewnie jeszcze więcej głosów będzie za, nawet dodadzą: „nareszcie”. Co jest lekko fałszywe, bo kwiatki są lansowane od pewnego czasu, w zeszłym roku też, i jakoś się nie łapały. To też jest jedna z tych propozycji, co już były i były. Kto nie nosił kwiatków, ręka w górę. Otóż młode pokolenie nie nosiło i w nim nadzieja, że uznaje to za nowość.

Przed wszystkim modne są kwiatki drobne, tak zwane łączki. Łączki mają coś w sobie, jakąś duszę. Bywają przepiękne, jak te słynne łączki Liberty, angielskie tradycyjne, wiecznie modne bawełny w drobne, przepięknie wydrukowane kwiatki, które od czasu do czasu robią się dziko modne i wtedy wszyscy je kopiuja, naśladują, usiłują zrobić choć podobne. Obecnie kwiatki małe dochodzą do miniaturki kwiatków, takich ledwo-kwiatków. Troszkę zaznaczonych malutkich kwiatków gęstych lub rzadszych, a w dodatku nie bardzo kontrastowych. A jeszcze proszę sobie wyobrazić stonowane tło, na przykład jasnoszare, i kwiatek jasnoniebieski albo takiż na tle ekri. Albo jasnobrązowy na tle ekri, szary na białym, różowy na szarym. Z pewnej odległości prawie zlewają się z tłem. Ale są też łączki ostrzejsze, żywiej zestawione. A same tła są albo jasne, ale i bure, khaki i szaro-nieokreślone, albo też zdecydowanie ciemne, czarne, brązowe, granatowe. Te mają w sobie zawsze urok dawnego fartucha lub spódnicy wiejskiej. A łączki na jasnym są troszkę słodziutkie i to jest ich zaletą. Wielbiciele sukien kwiecistych mają wybór; oprócz tych małych modne są kwiaty średniej wielkości, zwykle teraz na tłach jasnych. Są to kwiaty ładnie namalowane, na ogół niezbyt gęste. A jeszcze są też kwiaty duże, czasem wręcz ogromne, narysowane dość rzadko, tak że widać dużo tła. U nas są popularne wielkie czerwone kwiaty na czarnym.

Ale kwiaty to nie tylko sukienki. Z kwiatów są też letnie spodnie, bardzo modne są bluzki w kwiaty. Modnie jest zestawiać kwiaty – wtedy drobne – z paskami, ale w podobnych kolorach. Lansowane od kilku sezonów teraz wyraźnie chwyciły, ale nadal nie czuje się, żeby suknie w kwiaty opanowały ulice naszych miast. Może szkoda.



DROGI „PRZEKROJU”

Przepadam za piórem Fallaci. A jednak tym razem nie zdołałam się przejąć tą hańbą, jaka spada na świat i Europę. Może dlatego, że przyczyna terroru na Bliskim Wschodzie kojarzy mi się z praktyką Lebensraumu, a fakt niedopuszczania pomocy medycznej do rannych wydaje się wręcz niepojęty. Arogancja rządu Izraela wobec przedstawicieli państw europejskich i komisji ONZ też budzi nie tak dawne historyczne asocjacje.

O ile się orientuję, to nie dla wszystkich Żydów, zwłaszcza w Polsce, sprawa jest tak jednoznacznie prosta jak dla Oriany Fallaci („P” nr 17-18). Z przykrością pisałam te słowa.

Pozdrawiam

TERESA LECHOWSKA,
Norwegia

STRASZNY SEN
Z HAPPY ENDEM

Miałam straszny sen. Rynkiem Krakowa sunął tłum ludzi, chyba jakiś pochód. Dwóch starców niosło sztandar o barwach biało-niebieskich, a na nim napis: Sentymentalne Stowarzyszenie Obrońców Krakowskiego Przekroju. Na czele pochodu szedł Prezydent Gołaś niosąc transparent z odezwą „Nie przenoście nam Przekroju do Warszawy”. Po prawej ręce Prezydenta kroczył Grzegorz

Turnau, po lewej – Piotr Skrzynecki. Tłum śpiewał „Nie rzucaj ziemi, skąd twój ród”, z tylnych szeregów dochodziły rzewne pieśni „Przekroju, czy ci nie żal”. Na końcu szła jakaś postać kryjąca się jakby wstydlawie za plecami innych pochodowiczów. Jeśli mnie wzrok nie mylił, był to chyba Ludwik Jerzy Kern. Pochód z Rynku przeszedł placem Szczepańskim, skierował się w stronę ulicy Reformackiej i zatrzymał się przed redakcją Przekroju, począł skandować – zostań z nami, zostań z nami. Na czoło wysunęła się dziwna postać w czapeczce z dzwoneczkami, w ręce trzymała coś w rodzaju kija w kształcie węża. Kij ten wręczyła redaktorowi dyżurnemu ze słowami: to prezent dla redaktora naczelnego Przekroju w Warszawie. Coś zamąciło mi się w głowie. Nie zdążyłam pozbiierać myśli, bo nagle cały pochód znikł, jakby się rozpułnął. Jawa czy sen, pomyślałam. W tym momencie zbudziłam się zroszona potem.

Jak Pan myśli, Panie Redaktorze, ile jawy w tym moim śnie (podobno w każdym śnie jest coś z faktów i coś z mitów). Pamiętam, że idąc we śnie obok tego pochodu, miałam ochotę włączyć się do niego, ale coś mnie powstrzymywało. No, bo to jest tak: ja jestem z krwi i kości krakowianką, wychowałam się na Eilowskim Przekroju, rozumiem doskonale sentyment do krakowskiego Przekroju, ale wydaje mi się, że on osiągnął już apogeum świetności i popularności, i aby uchronić go przed

marazmem, należało przewietrzyć ten sympatyczny tygodnik, nadać mu nowy kształt, zasilić świeżym spojrzeniem na problemem dzisiejszego świata. Miałeś rację, panie Adamie, krakowianinie, choć rodem z Kalisza, pisząc już z końcem XVIII wieku: „...trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe...”.

Wydało mi się, że „warszawski” Przekrój, nie wdając się w rozważania nad przyczyną przenosin do stolicy, zaczyna z żywymi naprzód iść. Już z pierwszych numerów widać wyraźnie, że nabiera on rumieńców świeżości... i odwagi. Tak, odwagi. Bo żadne piśmo w Polsce poza Przekrojem w numerze 17 nie odważyło się do tej pory dać na tytułowej stronie zdjęcia Oriany Fallaci, tej „legendy włoskiego i światowego dziennikarstwa”, i wydrukować w całości jej wspaniałego, ale jakże „bezwzględnego i namiętnego” pamfletu na islamskich fundamentalistów”, którzy za tragedię 11 września w Nowym Jorku obwiniają w sposób urągający zasadom moralności i sprawiedliwości Izrael i – to już kompletna paranoja – Amerykę i Amerykanów.

Odwagi – bo w jednym z marcowych (a może kwietniowych) numerów wydrukował Przekrój artykuł Saud Abu Radamana „Męczeństwo, najlepsza broń”, ale też obok – Anny Librowskiej „Nienawidzę palestyńskiej nienawiści”.

Odwagi – bo tenże Przekrój w numerze z 7 kwietnia 2002 w artykule „Tak-tak, nie-nie” odważył się wypunktować wykrętne

tłumaczenie się Arcybiskupa Paetza z Poznania, a jego kościelnym zwierzchnikom wytknąć zachowanie resztek pozoru, Episkopatowi Polski – spuszczenie zasłony milczenia na prawdziwe powody odejścia Arcybiskupa. Odwagi, bo wiadomo, że te i tym podobne tematy są u nas tematami tabu.

Za tę odwagę i za inne twoje „plusy” chwala ci, Przekroju. Życzę całemu zespołowi powodzenia i szczęścia „na nowej drodze życia”. Nie zrywajcie, kochani, z Krakowem, skąd wasz ród, ale też nie zwracajcie z drogi, jaką obraliście, aby duch pana Asnyka nie wytknął wam kiedyś, że w „uwiędłych laurów liść znów stroicie głowę”.

CZYTELNICZKA z Krakowa
(nazwisko i adres znane redakcji)

DROGA REDAKCJO!

W tym numerze 11. przeczytałem wspomnienie Pawła Dunina-Wąsowicza o Grzegorzu Ciechowskim „Obywatel metafory”. I zapowiedź spektaklu „Kombinat”. Teraz, kiedy telewizja pokazała już to przedstawienie, a wczoraj (1 maja) obejrzałem je ponownie na Polonii, nadal jestem pod ogromnym wrażeniem. Ciarki przechodzą... Kto widział, ten wie, o czym mówię. Są Artyści wielkiej miary, których nie da się zapomnieć. Dziękuję, Grzegorzu.

Pozdrowienia dla całej Redakcji.

W.E. z Zielonej Góry

Wydawnictwo Czarne
38-307 Sękowa, Wołowiec 11
tel. 018 351 00 70, 0502 318 711
fax 018 353 63 60
www.czarne.com.pl
e-mail: info@czarne.com.pl

Jurij Andruchowycz
OSTATNIE TERYTORIUM

wydawnictwo **czarne**

PRZEKROJ

wp.pl
książki.wp.pl

Zapraszamy do stoiska 129 sektor A
na Międzynarodowych Targach Książki
w Warszawie, PKiN 15–19.05.2002



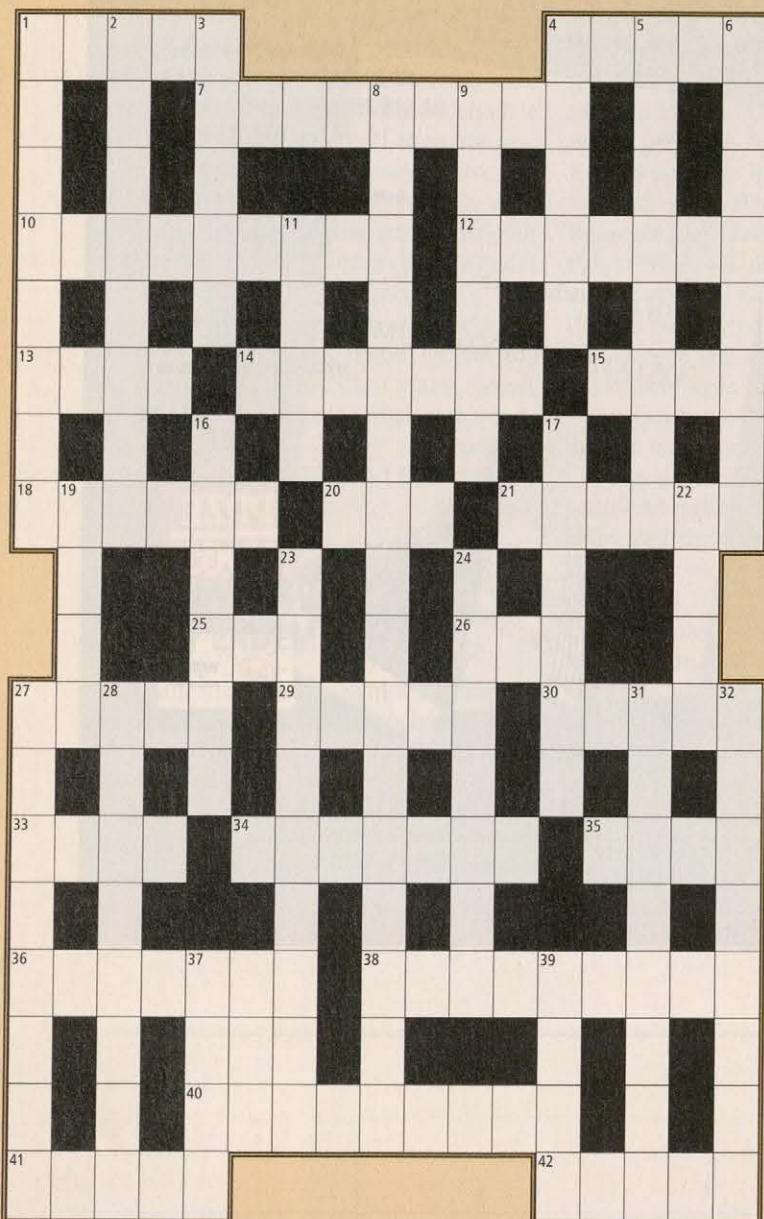
- 1- CZY W CAŁYM KRAJU JEST TAKI BAŁAGAN JAK TUTAJ?
- 2- NIE. DWA LATA TEMU KUPIŁEM 4 HEKTARY ZIEMI POD WROCŁAWIEM, A KURT KUPIŁ ZIEMIĘ DLA SWOICH KONI NA MAZURACH.
- 3- PIĘKNIE.

WILHELM SASNAL

PRZEKROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor **MARIAN EILE**

REDAKTOR NACZELNY: Roman Kurkiewicz REDAKTOR NACZELNEGO: Jacek Kowalczyk ASISTENTKA REDAKTORÓW NACZELNYCH: Maria Świetlik SEKRETARZE REDAKCJI: Magda Bauman (szef), Ewa Biała, Magda Gędziorowska KULTURA: Manana Chyb (szef), Bogna Świątkowska (z-ca), Marcin Baran, Paweł Dunin-Wąsowicz, Joanna Gromek Ilg, Leszek Mazan, Tadeusz Nyczek, Magda Sendecka, Marcin Sendecki, Justyna Sobolewska WYDARZENIA: Dariusz Rosiak (szef), Małgorzata Fiejdasz, Agnieszka Litorowicz-Siebert, Filip Łobodziński, Wojciech Maziarski, Jakub Mielnik, Magda Papuzińska, Wawrzyniec Smoczyński, Kazimierz Targosz, Anna Tarnowska, Michał Wójcik REPORTAŻ: Monika Piątkowska, Leszek Talko (szefowie), Marcel Andino Velez NAUKA: Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak	ROZRYWKA: Paweł Sito (szef) PRACOWNIA GRAFICZNA: Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Łukasz Dziedzic, Dos Dominos FOTOEDYCJA: Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański, Bogdan Krężel (fotograf) KOREKTA: Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej ARCHIWUM: Wanda Lacrampe PRODUKCJA: Agencja Poligraf – Maciej Kowalski REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor ADRES REDAKCJI: ul. Wiejska 12a, V p., 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 584 25 25, faks (0-prefiks-22) 628 86 32 e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl WYDAWCA: Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 584 22 00, faks (0-prefiks-22) 584 22 01	PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała WICEPREZES: Krystyna Kaszuba WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Ewa Redel DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski DYREKTOR WYDAWNICZY: Ewa Niezbecka DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH: Agnieszka Smit DYREKTORZY ARTYSTYCZNI: Elżbieta i Bogdan Zochowscy DYREKTOR PUBLIC RELATIONS: Katarzyna Bem DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefiks-22) 584 22 28, Grzegorz Barej – dyrektor DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik), Agata Obrębska	BIURO REKLAMY: Agata Eigner – dyrektor, Maciej Stożek, Bartek Kluczny, Adriana Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków) Warszawa, ul. Wiejska 19, tel. (0-prefiks-22) 584 22 94 faks (0-prefiks-22) 584 22 98 DRUK: Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła, tel. (0-prefiks-67) 210 84 00 PRENUMERATA: u Wydawcy Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska, tel. (0-prefiks-22) 584 22 29 lub 584 22 30 faks (0-prefiks-22) 584 22 32 przez pocztę przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe na terenie całego kraju przez Ruch SA informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31, faks (0-prefiks-22) 532 87 32 Zabroniona jest bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych „Przekroju” po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż po cenie innej niż wyżej określona jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością prawną. Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótków w nadanych artykułach i listach.
---	---	--	---



KRZYŻÓWKA nr 20

POZIOMO:

- 1 wbrew nazwie to nie właściwie kopalni soli, ale staropolski ubiór
- 4 niewolt
- 7 występuje przy nowych projektach
- 10 dał się złapać
- 12 roślina krzewiasta z rodziny ciastkowatych
- 13 zorza pożarna
- 14 pomarańczowa alternatywa dla niezdrowego jedzenia
- 15 jak go wrzucał, to kuczał
- 18 PRL-owska nazwa dżinsu
- 20 krótko, ale zdrowo w Belgii
- 21 żabojad
- 25 niemieckie miasto, w którym urodził się Einstein
- 26 nie plus i wbrew idei
- 27 kra kry nie mija
- 29 w Niemczech już nieważny
- 30 do niej zmierza Bug
- 33 elewacja
- 34 kelner bujający w obłokach
- 35 starożytny tułacz
- 36 płóciennogumowe, sportowe
- 38 brzoskwinia bez zarostu
- 40 zwierzę twarde i zamknięte w sobie

PIONOWO:

- 41 skrzyżowanie pionów i poziomów
- 42 imię dziewczyny, co zbierała maliny
- 1 ogrodenie, które może urosnąć
- 2 ogrodenie, które nie urosło
- 3 nie Raksa, ale też Polka
- 4 uzbrojone aniołki
- 5 Caruso skrzypiec
- 6 z głową w obłokach, ale nie kelner
- 8 nie jest naszą zaletą narodową
- 9 ósma część beczki
- 11 leśny pies
- 16 matka
- 17 łąka w lesie
- 19 europejskie Alcatraz jednego więźnia
- 22 jedno z jezior tworzących Drogę św. Wawrzyńca
- 23 oszukany przez Zeusa małżonek Alkmeny
- 24 wskazuje północ
- 27 jeden z ubiegających się o wdzięki Penelopy
- 28 toczy broń
- 31 faceci na polonistycie
- 32 ognista dziewczica
- 37 żegnaj, tato, na dachu
- 39 ptak zimnych obszarów

Rozwiązanie krzyżówki nr 17:

POZIOMO: 1. powiernik 5. wykład 6. pilnik 8. oliwa 9. Ksantypa 11. relief 13. rzeźucha 17. młynarz 19. amper 21. par 22. szarańcza 23. admirał 24. ton 25. harce 27. diament 29. Akwarele 33. amator 34. Artemida 36. wapno 37. angina 38. Poprad 39. zatraski

PIONOWO: 1. Puławy 2. wodolaz 3. Ermitaż 4. kilogram 5. węgry 6. pajac 7. kurier 9. komasacja 10. przedziek 12. fantaska 14. empatia 15. ubranie 16. harmider 18. Norma 20. Erazm 25. hrabia 26. Carewicz 28. epizod 30. wyrwa 31. rozpacz 32. latopis 35. trepi

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 15 nagrody wylosowali: Anna Michańska, Warszawa; Mieczysław Raczyński, Siemianowice Śląskie; Wiesława Ulanowska, Grudziądz; Jacek Gałkowski, Poznań; Anna Krzyszczyk, Brzeg. Gratulujemy!

ODPOWIEDZ ZA TYDZIEŃ

Spacer prezesa Dokładnego

Prezes Dokładny jest dokładny. Rozumieją to wszyscy jego podwładni. I dlatego wszystko w firmie prezesa Dokładnego dzieje się dokładnie jak trzeba. Jednak życie jest życiem i czasem chce zniszczyć tak wspaniałe zaplanowaną dokładność. Prezes Dokładny walczy z tymi kaprysami otaczającej go rzeczywistości z pełnym osobistym zaangażowaniem.

I tak było z dojazdami prezesa Dokładnego do pracy. Każdego dnia o tej samej porze co zwykle osobisty kierowca prezesa Dokładnego wyruszał z firmy i zawsze o tej samej godzinie przyjeżdżał pod dom prezesa służbowym autem. Każdego dnia prezes Dokładny wsiadał do auta dokładnie o tej samej porze, jechał do swojej firmy dokładnie tyle samo czasu co zwykle i wkraczał do swojego gabinetu dokładnie o tej samej godzinie.

Jednak pewnego dnia kierowca zadzwonił, informując go, że z powodu awarii auta (o zgrozo!) może przyjechać pod dom prezesa nieco później niż zwykle. Prezes Dokładny skrócił swoje dokładne poranne procedury, dokładnie godzinę wcześniej niż zwykle wyszedł z domu i ruszył do pracy na piechotę. Kierowca uporał się jednak z awarią auta na czas i wyjechał z firmy o tej samej porze,

o której codziennie wyjeżdżał po prezesa. Spotkał go po drodze. Prezes wsiadł i pojechali do firmy prezesa Dokładnego dokładnie z tą samą prędkością co zawsze. W rezultacie tych jakże nadzwyczajnych zdarzeń prezes Dokładny wkroczył do swojego gabinetu dokładnie 10 minut wcześniej niż zwykle. Ile dokładnie czasu trwał ów niezaplanowany spacer prezesa Dokładnego do pracy?

Odpowiedź z ostatniego numeru

Wiemy, że Placek zawsze mówił prawdę. Nie mógł więc stać w środku, bo wtedy – jako prawdomówny – powiedziałby: „Jestem Placek”, a środkowy powiedział: „Jestem Jacek”. Ten z prawej strony środkowego też nie mógł być Placekiem, gdyż powiedział o środkowym: „Ten to Placek”. A więc Placek stał po lewej stronie środkowego. W środku stał (zgodnie z tym, co powiedział Placek) Wacek, a z prawej strony środkowego – Jacek, który akurat, odpowiadając na pytanie Inspektora, skłamał.

JOLKA nr 20

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

A1 – G6 – D13 – K16 – C3 – Ł5 – F4 – K5 – H8 – B17 – A9 – H16 – L3 – H10 / L8 – I2 – K14 – B1 – A16 – E1 – E14 / C14 – H3 / I17 – A3 – I8 / J7 – G11 – F13 – K12 – B15 – L1 / E7 – Ł15 – B7 – F10 – I5

Wyrazy 9-literowe:

• oś kostuchy • dostaje krzyżyk na drogę (od koncernu GM) • zawalipółka

Wyrazy 8-literowe:

• intelektualny nietop • mniej więcej tysiąc dni przed Waterloo

Wyrazy 7-literowe:

• ciupka dudka • tata świata • kręcone na ambonę • czy ugasi pragnienie alchemika? • frontman opatrunku • żywa to człowiek, świetlna to neon • daje nura w zoo • kuluar zasadzki • nie wyhodujesz go z syntetycznego kawioru • zakała rodu paradoksów

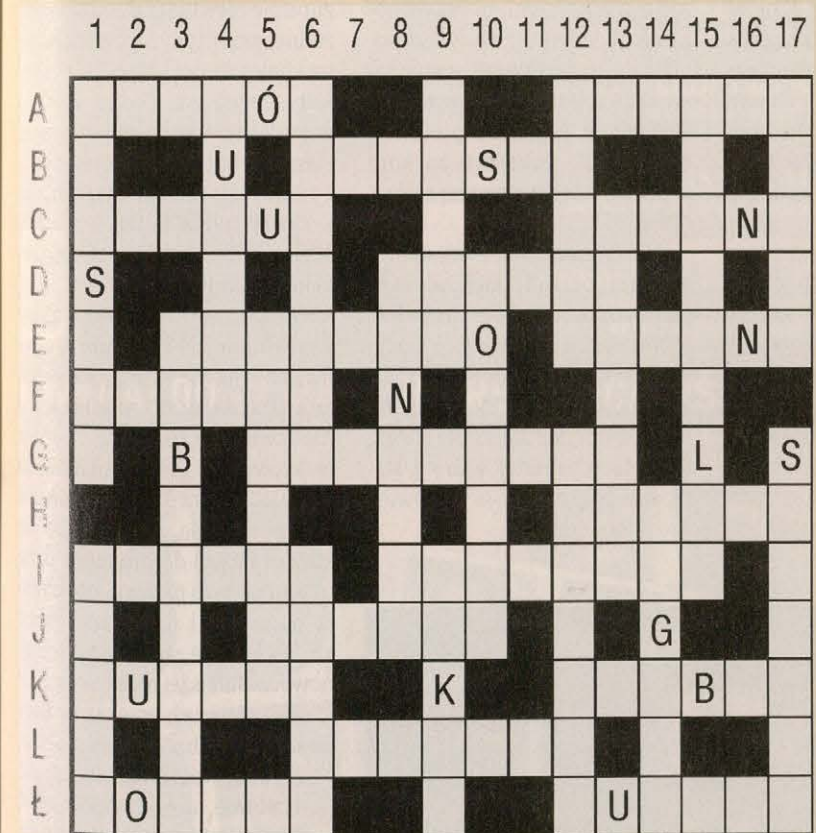
Wyrazy 6-literowe:

• pieczywo dla chomikujących • ogniwo ogonka • sarni na piecyste

• sędzia kalosz! • coś, co pociąga nie tylko Blaszanego Drwala • dwa ssaki, a hałas jaki! • grudniowe dobrodziejstwo dla wstrzemięźliwych • mała z rodowodem • gdy znosi jaję, słyszeć daje • obserwowany przez profesora Miodka • Bergman • nie myl z plewą • łobuzuje • bezuniżna towarzysza Jowisza • lej na rany • agora taksówkarzy

Wyrazy 5-literowe:

• w ręku planktonologa • czy uświetni wesele kiszek? • nie umywa się do trójzębu • miga politykami • artysta balii • jaszczurka do ścian



Rozwiązanie jolki nr 17: KIEDY KONIA KUJĄ, ŻABA NOGĘ NADSTAWIA

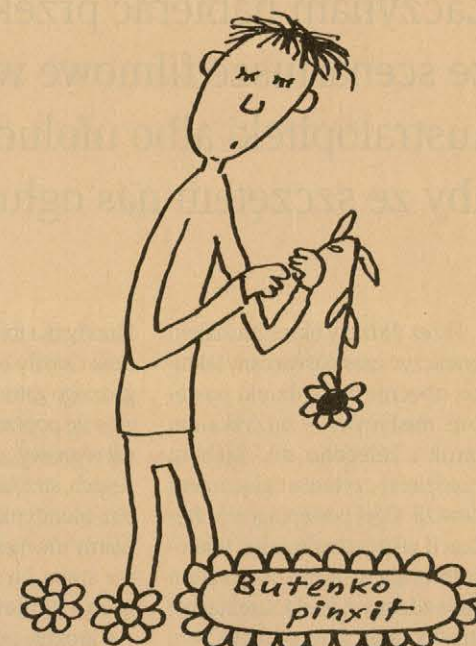
Rzędami: wypiek, buddystka, Laszka, kukurydza, rufa, kieliszek, obsiew, pontyfikat, przyssawka, dworek, łęgowsko, hymn, konfitury, Pawłow, uzurpacja, Szawel.

Kolumnami: welocyped, węgorz, Puszkina, termofor, kresy, krawul, kłatwa, Filip, bekas, krąg, złaz, ohyda, żyłwy, dółtko, impas, sosna, stylistka, Wrocław, krzyże, wiatrował.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 15 nagrody wylosowali: Jerzy Panfil, Łódź; Agnieszka Rotkiel, Kraków; Kazimierz Oleś, Drawno; Lesław Stocki, Wrocław; Krystyna Wójcik, Radom. Gratulujemy!



AGATKO!
TAK RZADKO...

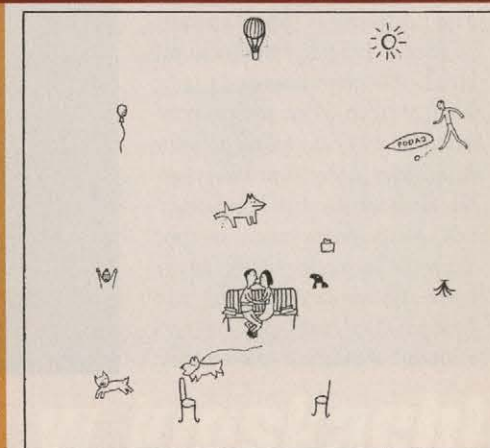


Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 26 maja (decyduje data stempla pocztowego) nadeślą poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy powieści Bohumila Hrabala „Pociągi pod specjalnym nadzorem” (wydawnictwo Świat Literacki).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 20 lub Krzyżówka 20.



WYŁĘŻ WZROK
rozwiązanie ze s. 68-69.



Ostatni idiotyzm

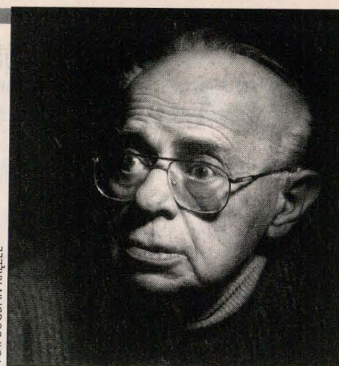
Zaczynam nabierać przekonania, że scenariusze filmowe wymyślają australopiteki albo ufoludki, aby ze szczętem nas ogłupić

Przez dłuższy okres musiałem ograniczyć czas poświęcany lekturze, obecnie zaś – dzięki postępom medycyny – odzyskałem wzrok i zalecono mi, ażeby przedzielać czytanie oglądaniem telewizji. O jej postępującej kretynizacji wspominałem już wielokrotnie, ale ostatnio obejrzałem sprowadzony z miski satelitarnej amerykański film pod tytułem „Ostatni dinozaur”, który zmusza mnie do powrotu do tego tematu. Jakkolwiek już okazjonalnie doświadczałem ekstraktów rozmaitych bałwaństw w serialach, ten dinozaur dał mi pałkę w łeb. Historia zasługuje na krótkie streszczenie.

Uczeni w śnieżnobiałych kombinizonach zgromadzeni w mrugającym wskaźnikami laboratorium planują wyprawę nurkującą podwodnie pociskiem na Antarktydę. Załódze przewodzi sumiasty starszy pan, który w oczekiwaniu na spotkanie z dinozaurem daje profesorowi słowo honoru, że żadnej krzywdy bydłciu nie zrobi. Pod jego komendą jadą: jeden Murzyn, jeden średnio przystojny szatyn oraz jedna ponętna blondynka (żaden film amerykański nie może się obyć bez blondynek). Ich pojazd wynurza się spod lodów na biegunie południowym, gdzie – jak wie każde dziecko – rozpościera się zwrotnikowa puszcza i latają chmarami pterozauy.

Blondynka fotografuje każdy krzaczek i każdy odcisk stopy potwora gadziego gatunku, który wnet ukazuje się poprzez chaszcze. Kierownik wyprawy, zapomniawszy o przysięgach, strzela do niego, gubi karabin, blondynka wpada do kałuży, czarny również, zaś *Tyrannosaurus rex* stąpa ku nim na dwóch nogach – ponieważ innych nie ma – w groźnej postawie.

Ponadto na sawannie dziwnie gorącej pojawia się stado prawie nagich australopiteków, to znaczy przedludzi, w długich czarnych perukach i usmarowanych w sposób nieboski jakąś szminką. W tym miejscu zacząłem nabierać przekonania, że cały scenariusz wymyślił jeden z tych australopiteków, zaś inni dopomogli mu



FOT. BOGDAN KRZĘŁ

Co Pan na to,
Panie LEM?

w kręceniu filmu. Wyprawa ucieka i wraca. Kierownik wyzbyty broni palnej buduje coś w rodzaju rzymskiej balisty naprzeciw jaskini, z której ponownie ma się wyłonić tyranozaur. Oprócz łączności z bazą amerykańską psuje się wszystko. Pitekanropy atakują wyprawę, ale szef wytwarza kuszę i szyje do zacnych małpoludów pierzastymi strzałami, jakich dostarczył mu myślący reżyser. Małpoludy uciekają, łączność z bazą zostaje nawiązana, balista nie trafia kamieniem w tyranozaura. Blondynka z szatynem odpływają, pomysłowość scenarzysty każe wąsatemu kierownikowi ekspedycji, który kompletnie ją zmarnował, pozostać za karę w dżungli razem z pewną małpoludką.

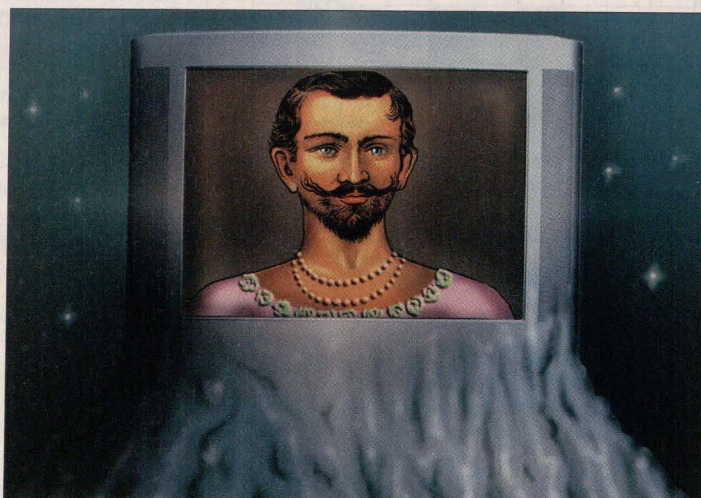
Nie wierząc własnym, naprawionym, oczom, obejrzałem tę potworną brednię i postanowiłem sobie uczynić wszystko, co możliwe, ażeby takie szmirowate zlepkę głupoty, razem z blondynkami i szatynami, nie zakłócały mi już topniejących resztek wiary w stare, dobrze znane hasło „Człowiek – to brzmi dumnie”.

Najdziwniejsze jest to, że pomysłami kilka tysięcy razy mojej kretyńskimi można sypać jak makiem z korca. Tymczasem zostałem już pouczony o tym, że filmowe motywacje jakichkolwiek działań sprowadzają się do przemytu narkotyków, włamań do fortacnie bronionych sejfów, ataków na nieznane a znakomite postaci z politycznej elity nieistniejących państw, jako też do zwyczajnych mordów przy użyciu pistoletów z tłumikami, albo dla przyczyny zupełnie niewiarygodnej, albo bez żadnej przyczyny – poza naturalną koniecznością zbiccia filmowej kasy. Jeżeli zaś dodać do tego wszystkiego sposób, w jaki nam te Himalaje bałwaństwa prezentują – to znaczy reklamową sieczkę – gdzie mu się na mózgu od tych reklam porobiły nagniotki.

Szczególnie majonezy, zupy z prawdziwymi kluskami, budynie, jak relikwie wznoszone przez tańczące staruszki, wielkie stare niedźwiedzie walczące o papier toaletowy oraz pełna uroku młoda niewiasta, która daje nam minami do zrozumienia, że ona zbliża się każdorazowo do orgazmu przy użyciu takiego papieru, dopełniają nareszcie i doskonale czary szczęścia, jakie zawdzięczamy najnowocześniejszej technologii najidiotyczniejszych przekazów z orbit satelitarnych w nowym stuleciu.

Zresztą wolałbym się zapaść pod ziemię, aniżeli opowiadać znowu cokolwiek o tym, co robi Superman oraz jego kolega Spiderman. Zaczynam się domyslać, że zielone ufoludki naprawdę istnieją i że to one póty będą ogłupiać ludzkość, aż da im się ona pozbierać bez oporu i bez przypraw.

STANISŁAW LEM
7 maja 2002

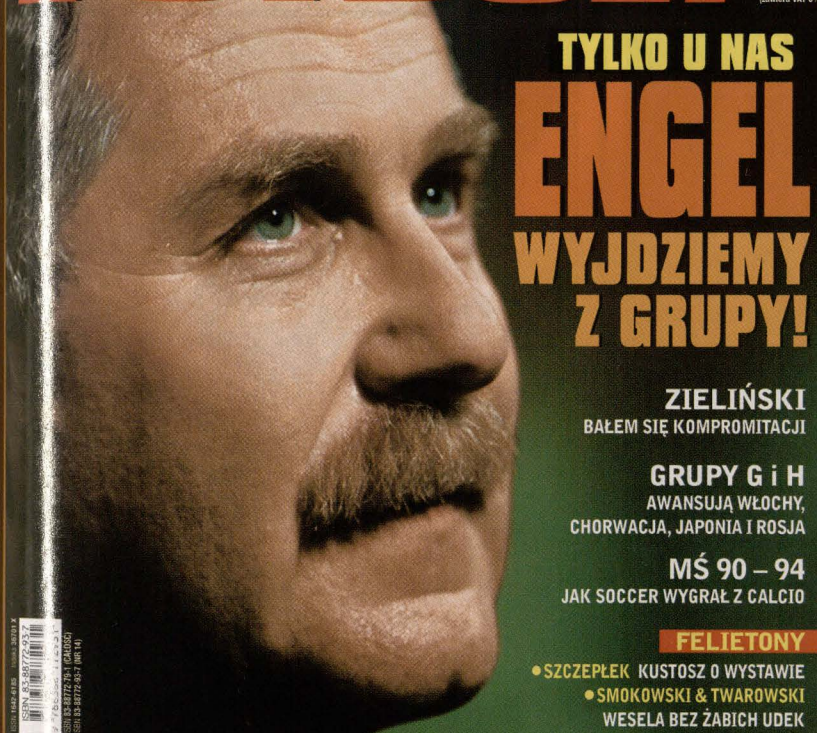


RYŚ. DMITRI SZEWONKOW-KSMIELOW

VIVA FUTBOL!

RAPORT O BUKMACHERACH: JAK SIĘ DOROBIĆ NA MUNDIALU

VIVA ENCYPLOPEDIA MISTRZOSTW ŚWIATA 2002
NAPLEJKI W PREZENCIE
FUTBOL! NR 14
CENA 4,90 zł
(zawiera VAT 9%)



TYLKO U NAS
ENGEL
WYJDZIEMY
Z GRUPY!

ZIELIŃSKI
BAŁEM SIĘ KOMPROMITACJI

GRUPY G I H
AWANSUJĄ WŁOCHY,
CHORWACJA, JAPONIA I ROSJA

MŚ 90 – 94
JAK SOCCER WYGRAŁ Z CALCIO

FELIETONY

- SZCZEPŁEK KUSTOŚZ O WYSTAWIE
- SMOKOWSKI I TWAROWSKI
- WESELA BEZ ŻABICH UDEK

UWAGA! OD 22 MAJA SKARB KIBICA MŚ 2002



Naklejki
w prezencie!

Wielka Gra
czyli Mundial
u bukmacherów

Zdrowia, szczęścia,
pomyślności
czyli wywiad
z Jerzym Engelem

Podwójny Leksykon
Mundiali
– Włochy '90 i USA '94

Już w kioskach!

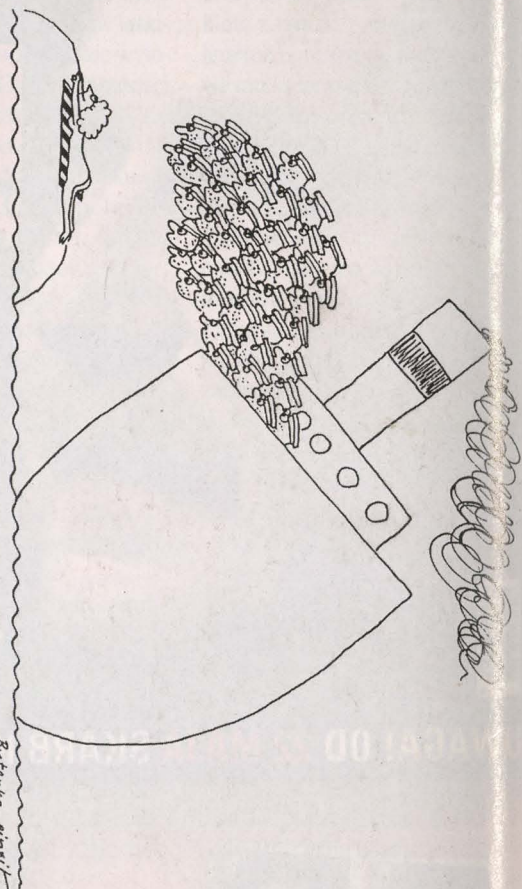


ROZ MIA STO

HE!

Nigdy nie wierz w to, co napiszesz. Szczególnie wtedy gdy uznaje się ciębie za genialnego pisarza.

Rys. Bohdan Butenko


Z GŁOWY...

Gdy wilk syty i owca cała, widać połknął ją w całości.

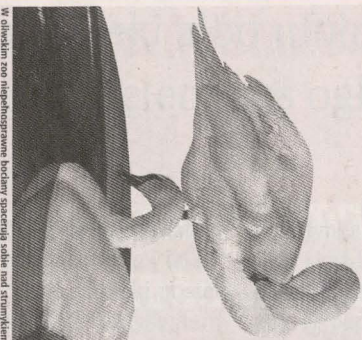
...KRZYSZTOFA BILICY
**KINOTEATRZYK
P. JURKA**
„Armageddon”

ORAZ

„Dzień zagłady”
OBWIESZCZENIE:

W związku z ponownym ocaleniem świata przez dziełnych obywateli społeczeństwa Stanów Zjednoczonych Armageddon oraz Dzień Zagłady odbędzie się w terminie późniejszym. Za powstałe utrudnienia przepraszamy. Kasza zwraca pieniądze za bilety.

 KURTYNA
/THE END

BOCIANI ŚPIEW


W oddział zoo niepełnosprawne białory spacerują wolno i strątkiem...

Jeśli to są niepełnosprawne bociany, to strach pomyśleć, jak wyglądają niepełnosprawne łabędzie...

(Zdjęcie z „Dziennika Bałtyckiego” z 5 kwietnia nadesłał Czesław Hezko z miejscowości Grabina Zamczek)

**POKAZALI,
JAK OBCHODZIĆ
MAMY**

Białoruskie ministerstwo spraw zagranicznych na swojej stronie internetowej www.mia.gov.by zamieściło informację, iż w dniach 27-28 marca w Gdańsku, Gdyni i Redzie odbyły się uroczyste obchody 57. rocznicy oswoobodzenia spod niemieckiej okupacji, na które tłumnie przybyli:

„liczni weterani, przedstawiciele administracji szczebla wojewódzkiego i miejskiego, wojska, przedstawiciele organizacji młodzieżowych”.

Wydarzenia nie zauważyły polskie media, co nie dziwi, bo ich złośliwość jest znana nie od dziś. Całe szczęście, że brałnie MSZ w Mińsku dostarczyło te tłumy z rocznicowymi wiankami i poinformowało o tym świat.

(Znalazł W.M.)

HAI!

Jeśli kobieta chce mieć tyle płaszczy, ile ma ich cebula, to mężowi pozostaje tylko zapłakać.

**HUMOR
ZESZYTOWY
SZKOLNYCH**

Ameryka od czasów Kolumba pozostaje w prywatnych rękach.

Karol Wielki był umiarkowany – pił mniej, niż jadł.

Podczas I wojny światowej wprowadzono gazy bojowe i dlatego wymyślono wtedy maski tlenowe.

Faraona wożono w lektyce, a w zaprzęgu był poddani.

Judasza zdradził Jezusa, ponieważ wietrzył interes.

W karcerze szczyła się nie tylko rozpusta, lecz także patriotyzm.

Człowiek renesansu jest przeciwieństwem człowieka odrodzenia.

ŁAŁ, JAKI RYTULAŁ


FOT. AP

W poprzednim numerze „Przekroju” na s. 43 dwa byki – jeden piękny na zdjęciu, drugi, też widoczny – w tekście:

„Coś, co uznawalem dotąd za bezsensowne

Onegał mi się raz przysnuło, że ci, co są u kraju stertu, taki nam przepis uchwalili: „Gdy masz samochód, to nie możesz mieć roweru”.

Wy tłumaczenie było proste i stołkie jak lukier u tortu – chodzi, by dziełnie zapobiegać monopolizacji środków w transporcie.

Ja tradycyjnie rzad popieram i zgadzam z nim się co do nuty, więc mnie nie zdziwił podpunkt drugi: „Kiedy masz rower, oddaj buty”.

W podpunkcie trzecim było prawo (bardzo rozsądne między nami), by kupić bilet lub wykazać, że się nie jeździł pociągami.

Jakie to miłe, nysię sobie (tu przypominam, że to sen), ktoś o nas myśli w dzień i w nocy niech sam wielki Kim Ir Sen.

**WYDZIAŁ
DO SPRAW
TŁUMACZEŃ**

„Gazeta Pomorska” z 8 marca donosi:

„Studentci pierwszego roku wydziału w Wydziale pedagogiki i psychologii Akademii Bydgoskiej muszą pisać za kuns kolonijny. Uczelnia tłumaczy, że można go zastąpić praktykami”.

(Nadesłała Krystyna Brąjkowska z Bydgoszczy)

okrucieństwo, postregam teraz, jako rytuał uwodzenia. Cudze ganiły... swego nie przegapiły.

(Znalazła redakcja „P”)